

NAUKA I WOLNOMYŚLNOŚĆ

Biblioteka filozoficzno - społeczna zawiera :

GABRIELA SÉAILLES

prof. Sorbony

DEMOKRACJĘ I OŚWIATĘ

w przekładzie Konrada Drzewieckiego

8ka, str. 249, cena rb. 1.

K. RENOUVIER

członka Instytutu

O OBOWIĄZKACH SPOŁECZNYCH CZŁOWIEKA I OBYWATELA

w przekładzie Konrada Drzewieckiego

8ka, str. 220, cena rb. 1.

BIBLIOTEKA FILOZOFICZNO - SPOŁECZNA

NAUKA I WOLNOMYŚLNOŚĆ

ROZPRAWY, LISTY I MOWY

MARCELEGO BERTHELOT, FERDYNANDA
BUISSON, JERZEGO CLEMENCEAU, GA-
BRJELA SÉAILLES I MAURYCEGO VERNÈS

PRZEŁOŻYŁ

KONRAD DRZEWIECKI



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



94425

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-119/49/101076

DLACZEGO DOGMATY NIE ODRADZAJĄ SIĘ

PRZEZ

GABRIELA SÉAILLES

PROF. SORBONY

Trudno jest mówić o sprawach religijnych i zachować przytym zimną krew. Ludzie wierzący są przekonani, że moralność ludzka opiera się na dogmatach, w które oni wierzą, i wyobrażają sobie, że ich przeciwnicy chcą tylko wyłamać się z wszelkich karbów i bez przeszkody oddawać się namiętnościom brutalnym. Nie jasne uczucie, że wątplenie jest zaraźliwe, że wiara utrzymuje się tylko przez zgodę umysłów, dodaje do niecierpliwienia się zaprzeczeniami pewnego rodzaju niepokój osobisty. Niewierzący najczęściej odwracają tylko fanatyzm: odrzucając religię, zachowują wszystkie złe uczucia, którymi ona natchnąć może. Nie chcą oni przypuścić, że może istnieć szczerza wiara, której oni już nie dzielają, okazują dumną pogardę dla dogmatów, których historii nie znają, których sensu nie rozumieją, i nie przypuszczają innej

alternatywy dla dusz religijnych, prócz hipokryzji lub głupoty.

Gniew i nienawiść są złemi rękojmiąmi bezstronności. Żeby wydać sąd o instytucji, dobrze jest ją zrozumieć, i jeżeli to możliwe, polubić; żeby wypowiedzieć zdanie o jej przyszłości, pożyteczne jest wiedzieć, co stanowiło jej siłę dawniej. Zło, które sprawiły religie biją w oczy wszystkim: sprzedajność kapłanów, tyranja sumień, zaprzeczanie wielkich prawd naukowych, prześladowania, stosy, zabójstwa; dobro, którego były przyczyną, w znacznej części uchodzi naszej uwagi, jest ono tajemnicą dusz, które one podtrzymywały, oczyszczały, którym dodawały siły i przynosiły pociechę. Bezbożność z zasady nie tylko jest rzeczą niemądrą, lecz niewdzięcznością; dogmaty, któreśmy przerośli, przyczyniły się do uformowania naszego sumienia. W każdej religii pozytywnej jest coś, co zasługuje na nasz szacunek, i tym jest samo uczucie religijne, którego one są tylko formą chwilową. Nie mówiąc już o wpływie moralnym, który wywierają jeszcze dotychczas na wiele dusz, jakże można zostawać obojętnym na wszystko to, co religie stworzyły pięknego, na legendy i symbole, świątynie, śpiewy i ceremonie: katedry budzą w nas mocą mimowolnej sympatii wzruszenie mistyczne, którego same są żywą mową.

Nie chodzi mi więc o polemikę; nie przystoi mi mówić lekko o kwestjach, które poruszać z powagą winienem i sobie samemu, i innym. Nie napadam na klerykalizm; nie patrzę na chrześcijaństwo jako na narzędzie polityczne, jako na potężny środek zastój społeczny; biorę go jako to, czym chce i powinien być, teorię świata, doktrynę moralną i zapytuję siebie, jakie są przyczyny, że traci coraz więcej panowanie nad umysłami, którego używał w ciągu wieków.

KOSMOLOGJA.

I

Wielkie to złudzenie wierzyć, że osłabienie wierzeń religijnych jest przypadkiem, że można je wytłumaczyć niepoczciwością bezbożników, przez zepsucie wieku; związane jest ono z samą ewolucją i postępem myśli nowoczesnej, jest jej konsekwencją nieuniknioną.

Kiedy Kościół poczuł się zagrożony przez Reformację, przez Odrodzenie, przez ducha badania niezależnego i przez naukę, gdy minęła pierwsza chwila zamętu, obrał godną podziwu drogę polityki: nie dał się pociągnąć na drogę ustępstw bezpożytecznych, stawiał czoło wrogowi, obstawał przy zasadzie po-

wagi, skoncentrował swe siły, poddał kapłanów karności coraz i coraz surowszej, rozszerzył władzę biskupów, podporządkował duchowieństwo narodowe i jego zwierzchników papieżowi, ogłoszonemu za nieomylnego.

Wobec przeciwników, których już sama metoda badania niezależnego rozdziela, zachował jedność doktryny i kierunku. A jednak Kościół już nie jest tym, czym był: posiada on bardzo wielkie bogactwa, gorliwych obrońców, karność godną podziwu; jest coś, czego pomimo wszystko nie może odzyskać: wpływu duchowego. Więcej on ma klientów, niż wiernych; już nie żąda się od niego prawdy, żąda się tylko, żeby podtrzymywał złudzenia, konieczne dla ludu. Sztuka, nauka i moralność rozwijają się zewnątrz niego. Należy on do przeszłości: tryumf jego polega na tym, żeby trwać. Nie podtrzymują go już jak dawniej biedni i maluczcy, którym przynosił dobre słowo, ludzie czynu i ludzie myślący, których pobudzał niepokój nowego ideału; po jego stronie stoją uprzywilejowani, ci, którzy władają, wszyscy wrogowie Jezusa, Cezar, faryzeusze, poborcy, bogaci i potężni tego świata. Kościół nie wybierał sobie swej roli; została mu ona narzucona przez historję i przez warunki, które stworzyły dla niego postępy nauki i sumienia. Coraz i coraz więcej staje się potęgą doczesną: umysły wymykają mu się. Dziwi

się on temu, oburza się, oskarża filozofów, wolnomyslicieli, masonów, Voltaire'a i Rousseau; myli się jednak, jest lepiej zorganizowany, silniejszy, bogatszy od swoich wrogów, lecz po ich stronie walczy coś, czego on nie może zniszczyć. Dogmaty nie zostały obalone przez krytykę negatywną, przez pamflety, przez szyderstwa bezbożników, one znikły przed prawdami pozytywnymi, które nie dają się pogodzić z niemi, które dopiero wtedy przenikają do umysłu, gdy usuną zeń dogmaty. Te nie zgadzają się już z pojęciami, które mamy o wszechświecie i jego prawach; nie zaprzecza się ich, lecz się je ignoruje.

Umysł nie jest rodzajem magazynu, do którego się rzuca wszystko, co się chce, w którym przedmioty najróżnorodniejsze mogą leżeć koło siebie, nie mieszając się i nie przeszkadzając sobie, jak książki w bibliotece, ustawione obok siebie, z których jedna obala drugą. Umysł jest istotą żyjącą, utworzoną z istot żyjących nie dlatego, żeby należało go utożsamić, poprostu i bez zastrzeżeń z ciałem ożywionym, gdyż posiada on swoje prawa i własne funkcje, lecz idee jego nie są pierwiastkami biernymi, nieustannie dążą do ułożenia się w systemy określone, a z tych systemów dzięki pracy, w której uczestniczą samorzutność i refleksja, usiłuje on zbudować system jedyny, spójny, którego różne członki działają jedno-

myślnie. Zasady tożsamości i przeczenia wyrażają w swej formie najogólniejszej i najprostszej tę potrzebę zgody z samym sobą. Nie możemy jednocześnie twierdzić i zaprzeczać tego samego zdania. Odkiedy myśl zwróciła się ku sobie, odkiedy siebie obrała za przedmiot badania, filozofowie mówili i powtarzali, że rozum jest porządkiem, że jedność jest jego prawem. Idee nie są dla umysłu czymś zewnętrznym, on panuje nad nimi, lecz one jego stanowią; jeżeli są sobie przeciwne, przeczą sobie, ten nieład jest jego nieładem; nieład ten dzieli go, osłabia, wyraża się w niepewności i cierpieniu. Ja nie jest substancją daną, nie różniącą się od swych wyobrażeń, uczuć, pozostającą bez zmiany przy anarchji żądz i myśli sprzecznych, istnieje ono istnieniem rzeczywistym tylko w tym stopniu, w jakim zdoła pogodzić swe pierwiastki w harmonijnej jedności formy duchowej.

Jeżeli to jest tak, jeżeli prawem umysłu jest pogodzenie swoich wyobrażeń w system określony, jakże przypuścić, że nasze pojęcie o wszechświecie, o jego prawach, o jego urządzeniu, o jego rozległości przekształca się, idea o człowieku i o jego roli tutaj na ziemi, o społeczeństwie i o jego celach moralnych odnawia się, a tylko dogmaty religijne, odpowiadające hipotezom zupełnie prze-

ciwnym, pozostają przedmiotem niezmiennej wiary? Umysł odrzuca stare dogmaty, wyłącza je już przez to samo, że nie może ich zasymilować. Są idee przeciwne sobie, jak są idee, które wzajem się wywołują. Roznamiętniano się niegdyś zagadnieniami teologicznymi, teraz jest się śmiertelnie obojętnym, i nie bez przyczyny, w kwestji Trójcy, Transsubstancji; dawniej wszystko było z tym związane, obecnie nie myśli się już o tym wcale. Nie oskarżajmy o to ani złośliwości umysłu, ani zepsucia serca; nowe myśli wytwarzają nowe umysły; niewiara tylko pozornie jest zaprzeczeniem, zaprzecza ona bowiem tylko tego, czego nie może pogodzić z prawdami, które sam Kościół po próżnym oporze uznać był zmuszony.

Krótko mówiąc, dogmaty były w związku z nauką i filozofją, które musiały ustąpić miejsca nowej nauce i nowej filozofji; niema takiej reakcji, takich prześladowań, takich skarbów, takiej karność, któreby mogły wrócić Kościołowi jego władzę nad umysłami. Dogmaty nie mogą odżyć tak samo, jak pojęcie o wszechświecie i o życiu, które je zrodziły: jest to prawo myśli, od którego uchylić się nie można.

II

Nie cofajmy się do wieków średnich, rozważmy system świata, który był wykładany we wszystkich szkołach jeszcze w wieku XVII, przekonamy się, jak był ściśle związany z teologią, jak każe przypuszczać i potwierdza jej istnienie. Ciągłe jeszcze jest się za czasów *Fizyki* i *Traktatu o niebie* Arystotelesa. My, wyłączając troszcząc się o teorje, które wplotły się w wątek myśli nowoczesnej, znamy tylko imiona Kopernika, Keplera, Galileusza, Dekarta. Powiedziawszy prawdę, ci heretycy nauki ortodoksyjnej, potępiani przez Kościół, który pewny instynkt ostrzegał o niebezpieczeństwie, na jakie go oni narażali, ważyli o wiele mniej, niżbyśmy byli skłonni przypuszczać. Na początku wieku XVII, sądząc podług liczby i powagi nauczycieli, podług potęgi zakonów religijnych, zdaje się, że scholastyka kwitła jak nigdy. Ukazują się liczne traktaty; Jezuici, Dominikanie, Franciszkanie rywalizują gorliwością. Święty Tomasz i Duns Scot zarówno mają zwolenników, a te przeciwieństwa nawet przy jedności metody i doktryny przyczyniały się do złudzenia, że ma się do czynienia z życiem. Aż do Piotra Bayle, tego gienjalnego dziennikarza, którego dykcjonarz miał w tak

znacznym stopniu przyczynić się do wykształcenia Voltaire'a, niema nikogo, ktoby nie ogłosił swej *institutio totius philosophiae in quatuor partes divisa*. Humanizm Odrodzenia wywarł dodatni wpływ na mistrzów scholastyki: poczęli unikać subtelności, mowa ich stała się prostsza i ściślejsza. Jezuici z Koimbry w swoich *Komentarzach* okazują się godnymi podziwu profesorami ze względu na porządek wykładu i jasność roztrząsania. Lecz idee nie uległy zmianie, Arystoteles zostaje po dawnemu mistrzem, »ponieważ niema innej prawdziwej filozofji oprócz jego«, a forma jeżeli ulega ulepszeniu, to po to, żeby doktrynę uczynić więcej zakrzepłą przez jej utrwalenie.

W roku 1614 niejaki Teofil Bouju, radca i jałmużnik królewski, ogłosił w języku francuskim »*Corps de toute la philosophie*«, podzielony na dwie części, pierwszą, zawierającą wszystko, co się tyczy *mądrości* (logika, fizyka, metafizyka); drugą, zawierającą wszystko, co się tyczy *roztropności* (moralność, ekonomja, polityka), wszystko na zasadzie dowodzeń i powagi Arystotelesa. Ów Teofil Bouju był nowatorem, śmiałkiem. Łacina była świętym językiem kolegów. Kiedy w r. 1612 Camus, przełożony kolegjum w Tréguier zapowiedział, że będzie wykladał filozofję po francusku, Uniwersytet zabronił mu tego pod karą

wylączenia z liczby profesorów¹⁾. W swej dedykacji, poświęconej Marji Medicis, Bouju powiada dworsko: »Będzie to ozdobą Twego panowania, Pani, że czasu pokoju, w którym roztropność Waszego Majestatu nas tak słodko chowała, i pod waszą szczęśliwą wróżbą, filozofja zupełnie się uwolniła z zależności języków obcych, żeby używać wolności i swobodnie się rozwijać w języku Francuzów: czego dotychczas jeszcze zgola nie było... Zastępujesz, Pani, Filipa Macedońskiego temu Aleksandrowi francuskiemu (Ludwikowi XIII). Oto Arystoteles, przedzierżgnięty w Francuza, przedstawia się Waszemu Majestatowi, żeby się stać Waszym poddanym«. W istocie, dwadzieścia lat przed ukazaniem się *Rozprawy o Metodzie*, filozofja przemawia po raz pierwszy po francusku; szkoda tylko, że w tym języku żyjącym wyraża tylko idee martwe; Bouju winien był swej śmiałości, żeby nam zostawić parę tekstów autentycznych i budujących.

Jakąż więc ideę doktor scholastyki ma o wszechświecie? Jakiż jest system świata, który po Koperniku, w czasach Galileusza

¹⁾ »Vetitum est ne philosophiam, juxta suum programma, vernacula lingua profiteretur, sub poena exclusionis perpetuae a gremio et consortio dictae Universitatis parisiensis.«

i Dekarta, panuje jeszcze nad umysłami i przygotowuje je do przyjęcia dogmatów Kościoła?

Teologia rozróżnia niebo od ziemi: ziemia jest pomieszkaniem człowieka, wszystko, co się na niej znajduje, podlega prawu przemiany; na niej człowiek się rodzi, cierpi i umiera; niebo jest miejscem pobytu duchów czystych, jest miejscem światlistym i tak nie ulegającym skazie jak one, kiedy zaś chrześcijanin zwraca swe oczy ku niemu, modły i spojrzenia jego istotnie wznoszą się ku Bogu. Nauka potwierdza teologję, dowodząc, że niebo i ziemia są przeciwne sobie z natury i z praw swoich. Jeżeli obserwujemy rzeczy tutaj na ziemi, widzimy, że wszystko jest poddane prawu powstawania i rozkładu; że ciała złożone składają się z pierwiastków, że następnie rozkładają się, że nic nie jest stale, że wszystko rodzi się, przekształca i umiera. Podczas nocy pogodnych oczom ludzkim ukazuje się zawsze ten sam obraz: te same gwiazdy błyszczą z tym samym przepychem, grupują się w te same konstelacje, zachowują między sobą te same stosunki, odbywają w tych samych okresach czasu te same ruchy perjo-dyczne. A więc niebo nie składa się z pierwiastków, które nie ulegają rozkładowi, jest to ciało niezłożone: »ani materja, ani forma jego nie ulegają rozkładowi... Po raz pierwszy Arystoteles począł utrzymywać, że niebo jest in-

nej natury niż pierwiastki, a opierał się na tym, że nie widział, żeby ulegało odradzaniu się, rozkładowi, ruchom ciał pierwiastkowych, ani innym przypadkom. Zresztą, gdyby składało się z pierwiastków, toby nie było umieszczone nad niemi«. (Bouju). Niebo zawiera materję swoistą, eter, »który może wykonywać tylko coś w rodzaju czynu i jest zdolny tylko do zmian miejscowych«. Jednym słowem niebo jest przeciwne ziemi, jest materialne, ale nie ulega rozkładowi, porusza się, ale nie ulega prawu stawania się i już ten charakter niezmienności świadczy o jego wyższej godności.

Kształt jego może być tylko okrągły lub sferyczny; dowodzą tego racje estetyczne: »Ciału doskonałemu należał się też kształt doskonały, jakim jest kula, ponieważ nic nie można do niej dodać, zważywszy, że początek i koniec są w niej złączone w ten sposób, że każda z jej części jest zasadą, środkiem i celem«. (Bouju). Następstwo dnia i nocy, różnaitość pór roku, bezpośrednia obserwacja gwiazd dowodzą, »że niebo porusza się ustawicznie, nie znając nigdy wypoczynku«; ruch ten jest kołowy, zaświadcza o tym doświadczenie: gwiazdy obracają się ze wschodu na zachód, pociągane przez sfery, około których są utwierdzone; celowość wymaga: »Ciału doskonałemu jest stosowany ruch kołowy, jedy-

nie doskonały, ponieważ powraca do swojej zasady«.

Chociaż niebo różni się od ziemi, nie jest jednak dla niej obce; jest ono wzniesione nad nią, obejmuje ją, panuje nad nią. Wszystko, co się dzieje tutaj na ziemi, ma zasadę, przyczynę skuteczną w ruchach, które ono wykonywa. »Bóg posługuje się niebem do odradzania i wytwarzania innych rzeczy złożonych«. Pierwiastki łączą się, rośliny wzrastają, zwierzęta rodzą się i umierają, wszystko rodzi się i umiera w naszym świecie podksiężycowym pod wpływem niebieskim. Astrologja, poszukująca tajemnicy losów indywidualnych w gwiazdach i ich konstelacjach, nie jest niedorzeczną fantazją; powagę jej łatwo objaśnić; ona tylko przesadza i wyciąga ostateczne konsekwencje z teorii, uznawanej powszechnie przez uczonych, że ruchy niebieskie są rzeczywistą przyczyną wszystkich zjawisk ziemskich, zasadą wszelkiego porządku i celowości w rzeczach.

Jeżeli liczne formy, łącząc się z materją, stanowią substancje przyrodzone najrozmaitsze co do własności i działania, i zależą w ostatniej instancji od ruchów niebieskich, trzeba, żeby w przyczynie tych ruchów było coś, co objaśnia ich skutki. Zasada porządku może spoczywać tylko w rozumie. Ponieważ niebiosą nie są ożywione, są pozbawione rozumu,

nie mogłyby więc same nadać sobie kierunku, zgodnego z wysoką funkcją, która przypadła im w udziale. Pozostaje więc przypuszczenie, że porusza niemi i kieruje Bóg lub aniołowie: »Lecz dla Opatrzności Boskiej, która urządza wszystkie rzeczy z miłością, więcej stosowne jest zarządzać rzeczami, które stworzyła, za pośrednictwem stworzeń, poddanych sobie.« Niebiosami poruszają więc »motory zewnętrzne, przez filozofów nazywane *inteligencjami*, a przez teologów *aniołami*«. Przeto, wszelki porządek w świecie należy objaśniać nie zapomocą ślepych i koniecznie powiązanych ze sobą ruchów, ani przez wewnętrzną celowość, leżącą w prawach przyrody, lecz działalnością aniołów, całkowicie przenikniętych myślą Boską i całkowicie poświęcających się jej urzeczywistnianiu w świecie zewnętrznym. Nauka bynajmniej nie przeczy teologii, lecz ją potwierdza, przywołuje ją i posiada własne dogmaty dla wniosków koniecznych.

Jeżeli teraz będziemy rozważać system świata, ujrzymy, że porządek i układ gwiazd, ich stosunek do niebios, które porywają tamte w swe obroty, nauka sprowadza do hierarchii duchów czystych, do działalności rozumnej i opartej na dobrej woli aniołów, pracujących nad porządkiem kosmicznym pod bodźcem myśli i miłości Bożej. Od sfery do sfery wznosimy się coraz wyżej w czystości, w łasce,

w błogości, coraz bliżej punktu, gdzie zebrana została wszelka doskonałość, aż wreszcie docieramy do tronu Boga.

W środku wszechświata ziemia stoi nieruchomo. Wszystko się układa i porządkuje w stosunku do niej. Słońce oświeca jej dnie, księżyc i gwiazdy oświecają jej noce, a ruchy tych ciał wzniosłych według wyroków mądrości Boskiej określają na jej powierzchni kombinacje pierwiastków, pojawianie się istot żyjących, następstwo urodzin i śmierci. To stanowisko uprzywilejowane ziemi świadczy o ważności i wielkości człowieka, dla którego ona jest miejscem pobytu.

Żeby wyjaśnić obroty, których ciała niebieskie dokonywają wokół ziemi, nie wystarczy przypuszczenie, że istnieje jedno niebo, do którego są one przytwierdzone i którego obracanie się powoduje ruch ich wszystkich w jednym kierunku. W istocie jest siedem gwiazd, które nazywają planetami »od wyrazu greckiego *πλανασθαι*, błądzić, błąkać się«, a każda posiada własny kierunek, własny ruch i własną szybkość. »Wskutek czego astrologowie przypuszczali, że każda z tych gwiazd posiada własne niebiosa i że stąd jest osiem niebios: z których najwyższe jest to, gdzie się znajduje owa mnogość gwiazd, nazywanych stałemi, ponieważ zachowują między sobą zawsze ten sam porządek, nigdy go nie zmienia-

jąc; drugie z kolei niebo nazywa się niebem Saturna, niebo niższe Jowisza i tak, gdy zstępujemy ku ziemi, znajdujemy niebo Marsa i Słońca; potym Wenery, Merkurego i wkońcu Księżyca, które jest najbliższe ziemi.» (Bouju.) Jak mamy wyobrażać sobie te niebiosy? Ponieważ natura nie znosi próżni, te niebiosy są kulami pełnymi, koncentrycznymi, z przyczepionymi doń gwiazdami; mieszczą się one jedno w drugim i niema między nimi próżnej przestrzeni: każda z tych kul obraca się, pociągając za sobą gwiazdę lub gwiazdy, które są do niej przytwierdzone. Niebo ósme, do którego są przytwierdzone gwiazdy stałe, nazywa się firmamentem. Nad firmamentem znajduje się niebo dziewiąte, które nim porusza. Niebo dziesiąte jest pierwszą przyczyną, która porusza to niebo dziewiąte i cały firmament i wszystkie planety ze wschodu na zachód własnym ruchem, spełniającym się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wstąpcie jeszcze wyżej, a dotrzecie do nieba jedenastego, do którego został wzniesiony św. Paweł, wstąpicie w empireum z ognia tak subtelnego i tak rzadkiego, że go wzrok nie spostrzega. To niebo nieruchome, najwyższe, pas nadprzyrodzony wszechświata, skąd promienieje miłość Boska, zasada wszystkiego, co jest, wszystkiego, co się staje, jest niebem teologicznym: tam wznosi się tron Boski, tam w błogości

przebywają zastępy wybranych i świętych, świat wieczności, wzniesiony ponad ruch, nie znający ani czasu, ani przestrzeni, w którym życie bez namietności, bez upadków jest czynnem czystym, płomieniem duchowym, podsycającym się nieustannie z samego siebie.

Th. Bouju zgola nie przesadza, gdy pisze w przedmowie: »Filozofja poddaje się jedynie pod jarzmo religji i pochyla swe znaki cesarskie jedynie przed teologją chrześcijańską, i uznaje, że najwyższy punkt jej doktryny służy tylko jako pierwiastek i stopień ku wzniesieniu się do pojmowania boskich tajemnic tamtej. Ponieważ wiara i filozofja jako cel mają prawdę, zgadzają się zawsze... Filozofja i teologja świadczą sobie wzajemnie i potwierdzają się.« Wyraz »niebieski« ma jednocześnie znaczenie naukowe i religijne. Naturalne narzędzie Opatrzności, mechanizm, zastosowany do swych celów, zasada rzeczywista wszystkiego, co się dzieje na ziemi, niebo, jest zbiorem kul, poruszanych przez aniołów, których święta hierarchja stopień po stopniu wznosi nas aż do samego Boga, którego wolę najwyższą wyrażają i urzeczywistniają we wszystkim, co jest, te sługi duchowe.

System świata jest w doskonałej zgodzie z ideą Boga osobistego, powziętą na obraz człowieka. Wszechświat nie zawiera tysięcy

światów, rzuconych w przestrzeń bez granic i wiodących istotność niezależną; zamknięty w granicach niezmiernej kuli, w której ziemia zajmuje środek, stanowi on całość zamkniętą, której części działają zgodnie, jest wyrazem jednej jedynej myśli, którą poznajemy z jego urządzenia. Z empireum przez pierwszą przyczynę, przez firmament, czynność stwórcy udziela się jego dziełu i przenosi na nie. Nic się nie dzieje tutaj na ziemi bez współdziałania Boskiego: świat nie tylko opowiada o chwale Boga, lecz jest organizmem, który jego miłość ustawicznie ożywia i stwarza na nowo. Jak jest jeden świat, tak jest jeden Bóg. Podległa prawu stawania się, zmiany i śmierci, wytrącona z porządku kosmicznego i moralnego przez grzech Adama, ziemia została zdobyta z powrotem przez odkupienie, przez ofiarę Chrystusa. W ten sposób przywrócona została harmonja pierwotna stworzenia tak, jak ją poczęła Miłość Najwyższa. Określony, ograniczony, ukształtowany, zgodny we wszystkich swoich częściach, w każdej chwili swego istnienia, wszechświat jest obrazem praw umysłowości ludzkiej. Bóg jest człowiekiem o spotęgowanych wszystkich jego władzach. Na Campo Santo w Pizie znajduje się fresk, namalowany przez jakiegoś teologa, na którym został przedstawiony naiwnie ten antropomorfizm: cały obraz jest wypełniony kołami kon-

centrycznymi, przedstawiającymi sfery niebieskie, tylko u góry z poza kół wygląda głowa i z każdej strony ręka olbrzymiego Chrystusa, który te koła obejmuje. Niebo uczonego jest takie samo, jak niebo wierzącego: uczony nie może się obejść bez aniołów, poruszających niebiosy, i wie, poza którąby sferą stanął w empireum i ujrzał Boga. W jednym i tym samym umyśle idee nie przeciwstawiają się i nie przeczą sobie, — mechanizm i celowość, porządek fizyczny i porządek moralny, — zgadzają się ze sobą, najzupełniej dostrajają się, żeby wzmocnić wierzenia, usprawiedliwić i potwierdzić dogmaty. Religja nie jest w umyśle jako coś obcego, jest ona związana ze wszystkim, co umysł wie, ze wszystkim, o czym on myśli, jest zasadą i wnioskiem nauki, ogniskiem życia, według którego kształtują się idee i obrazy.

III

Nie znam nic odpowiedniejszego, co by pozwalało zrozumieć, jak w wiekach średnich nauka i wiara przenikały się, jak idee filozoficzne przekształcały się w dalszym ciągu w intuicje mistyczne, jak syllogizmy i abstrakcje nabierały życia w obrazach i symbolach, od *Raju* Dantego. Ten wielki, godny po-

dziwu, poemat, którego teraz już nie rozumiemy, bez wysiłku urzeczywistnia ten związek nauki i poezji, to wcielenie prawdy za pomocą piękna, której nasz świat materji i ruchu, powiększony w przestrzeni do nieskończoności, lecz oderwany od ducha, zdaje się wyrzekać. *Komedja Boska* jak katedry gotyckie zawiera tajemnicę wieku, którym się zaznaczał najwyższy punkt rozwoju katolicyzmu. Dla scholastyki świat jest mową, myśl Boska przeziara w nim ze wszystkich stron: piękno jego nie jest złudzeniem, zrodzonym przez przypadkową grę naszych wrażeń i uczuć, lecz zapomocą dźwięków, barw i kształtów jest wyrazem mądrości i miłości Boskiej. Intuicje czuciowe ukrywają przed nami i objawiają nam to, co jest; nauka, odkrywając idee, które one wyrażają, przygotowuje nas do zrozumienia i odczucia tych harmonji. Czyż piękno nie jest ideą, widocznym wzruszeniem ciała wrażliwego, z którym stanowi jedno?

Niebo jest rajem, jego przepychy materialny jest tylko odbiciem przepychu moralnego, którego promienie w swym czystym świetle przynoszą nam gwiazdy. Wszystko jest pełne Boga, niema nic, coby nie zawierało istoty jego woli twórczej, nie dzieje się nic bez jego wszechmocnego współdziałania: »Chwała temu, kto wszystkim porusza, przenika Wszechświat, i jaśnieje tu mniej, a tam więcej.« (Śpiew I, 1.)

Poeta, opisując niebo, układ koncentryczny sfer, obroty gwiazd, prawa mechaniczne, podług których przenosi się coraz dalej ruch pierwotny, rozpamiętywa jednocześnie duchy błogosławione, które zgodnie z zamiarami wiecznemi zarządzają temi ruchami; rozpytuje je o wiarę, o łaskę, o święte tajemnice religji. Subtelności scholastyki zostają uwieńczone intuicją ekstazy mistycznej. Wszystko jest symbolem, wszystko ma znaczenie duchowe, wielkość przestrzeni odpowiada intensywności miłości: »Koła cielesne (sfery) są obszerne lub ścieśnione stosownie do cnoty, rozlanej w ich częściach; większa dobroć pragnie, żeby z niej wypływało więcej dobra: więcej dobra za wiera większe ciało, jeżeli jego części są równie doskonałe: więc ten (przyczyna pierwotna), który porywa za sobą cały wszechświat górny, odpowiada kręgowi, który najwięcej kocha i najwięcej wie.«

Wstępowanie poety jest materialne w przestrzeni, a jednocześnie duchowe w porządku doskonalenia się: wstępując, wznosi się. Od sfery do sfery zbliża się on do Boga, źródła pierwotnego, z którego wypływa bez przerwy miłość, znajdująca się we wszystkich harmonjach kosmicznych i żyjących. Z każdym stopniem oblicze Beatryczy coraz więcej promienieje, jasność jej oczu staje się więcej gorejąca i czystsza: »Nie spostrzegłem się

zgola, że tam wstępuję, lecz że tam byłem, upewniła mnie ma Pani, ujrzałem bowiem, że staje się piękniejsza.» (Śpiew VIII.) Wyrazy przestają oznaczać rzeczywistość, ciała wzniesione do chwały stają się duchami widomemi, dusze błogosławione przyodziewają się w radość, miłość staje się hymnem, światło melodją, którą się czuje zmysłami, choć się jej nie słyszy. (Śpiew XIV.) Poeta ogląda tryumfy zastępów świętych, wojujących i rozpamiętywających, tych, którzy przewidzieli przyjsie Chrystusa, i tych, którzy za nim poszli, proroków i apostołów, wybranych i aniołów: wszystkie te radości są jedną radością, wszystkie te miłości są jedną miłością, wszystkie te promienie wracają nieustannie do wielkiego ogniska, z którego wyszły, i które nie unicestwiając ich, przyjmuje je z powrotem, napawając każdą duszę błogością wszystkich innych i uczuciem nieskończoności, która je w jedno obejmuje, chociaż nie pozbawia świadomości oddzielnego bytu.

Poza czasem i przestrzenią Dante wstępuje do królestwa Boga; »wyszliśmy z największego ciała i weszliśmy do nieba czystej światłości, światłości umysłowej, pełnej miłości, miłości prawdziwego dobra, pełnej radości, radości, przewyższającej wszelką słodycz«; upaja się wizją białej róży, utworzonej około punktu, do którego wszystko się zbiega przez chór duchów

błogosławionych: środkiem kwiatu niebieskiego jest Miłość pierwotna, Bóg w trójcy jedyny, płatkami kwiatu są żyjące światła, których radość jest blaskiem, a piękno widome śpiewem, wielką symfonią, hymnem wiecznym na chwałę Najwyższego, gdyż jedno i drugie jest tylko zgodą instynktową dusz, objętych tym samym uczuciem, tym samym porywem wdzięczności i niewyczerpanej miłości.

IV

Jak ze wszechświatem, tak się rzeczy mają z ludzkością. Wszechświat jest jeden, zawarty w pewnych granicach, posiada formę określoną; możemy go nie tylko pojąć, lecz także wyobrazić go sobie: jest to obszerny mechanizm, ożywiony jedną myślą. Nic się nie dzieje w nim, czegoby miłość Boska nie była pobudką, miłość Boska, która za pośrednictwem aniołów przenosi się, rozpowszechnia i kieruje do celów właściwych wszystkie ruchy, które zachodzą w niebie i na ziemi. Jak świat jest jeden, jedna jest historia. I w tym wypadku nauka jest tylko rozmyślaniem nad wiarą. Bóg jest obecny w zjawiskach, które w czasie następują po sobie tak samo, jak w zjawiskach, które współcześnie zachodzą w przestrzeni. Odkupienie człowieka, upadłego wsku-

tek grzechu Adama, jest wielkim faktem około którego wszystkie inne porządkują się i wiążą. Upadek człowieka, wybranie narodu żydowskiego, Stary Testament, Prawo ogłoszone na górze Synai, proroctwa, przyjsie Mesjasza, opowiadanie Ewangelji, cuda i Męka Pańska, założenie Kościoła, życie Świętych — oto prawdziwa historia ludzkości. Cesarstwa, ich walki, ich następowanie po sobie mają znaczenie i interesują tylko o tyle, o ile są przygotowaniem do zstąpienia i tryumfu Jezusa. Najwyższa miłość kieruje wszystkim ku zbawieniu ludzkiemu, wszystko się dzieje ze względu na wybrańców prawdziwego narodu Boskiego. Politycy ludzcy są mimowolnemi i nieświadomemi sługami polityki niebieskiej. Jeszcze Pascal mówi: »Jak rozkosznie jest widzieć oczami wiary, że Darjusz i Cyrus, Aleksander, Rzymianie, Pompejusz i Herod pracują, nie wiedząc o tym, nad tryumfem Ewangelji!« Jak we wszechświecie przejawia się jedność myśli Boskiej, tak z historii przegląda ciągłość zamiarów wiecznych: »Co jest przypadkiem w naszej radzie niepewnej, to jest zamiarem w radzie wyższej, to jest w radzie wiecznej, która zamyka wszystkie przyczyny i wszystkie skutki w swym łonie.« (Bossuet.) Jezus Chrystus jest środkiem historii: wszystko, co go poprzedza, zwiastuje go i przygotowuje do niego, wszystko, co następuje po nim uzu-

pełnia i potwierdza dzieło odkupienia. Rzymianie walczyli, staczali boje, zdobyli świat dzięki swej zadziwiającej karność po to tylko, żeby Ewangelja mogła się rozpowszechnić i żeby mógł powstać jeden Kościół. Następstwo wypadków przewidywał i określił z góry Bóg osobowy, którego umysł postępuje podobnie do umysłu ludzkiego. Przez pewnego rodzaju grę, której tajemnicę pozostawia nam do odgadnięcia, w przeszłości umieszcza figurę przyszłości, w Starym Testamencie szereg symbolów, których znaczenie zawiera Nowy Testament; zmusza w ten sposób fakty do powtarzania w licznych formach tej samej myśli. Wszystko, co opowiada Pismo, rzeczywiście się odbyło; Abel, Abraham, Izaak, Jakób, patryjarchowie i prorocy żyli i spełnili czyny, przypisywane im, lecz te czyny dla tego, kto potrafi je zrozumieć, zwiastują i wyobrażają wielkie wypadki, których oni są przygotowaniem i początkiem. »Bóg uczynił z tych ludzi heroldów swego syna, który miał przyjść: dlatego też we wszystkim, co powiedzieli, we wszystkim, co uczynili, można doszukać się Chrystusa, można odnaleźć Chrystusa... Stary Testament nie jest czym innym, tylko Nowym, pokrytym zasłoną, a Nowy nie jest czym innym tylko Starym, pozbawionym zasłony.« (Święty Augustyn.) Arka Noego jest obrazem Jezusa Chrystusa na krzyżu, ponieważ ciało

ludzkie jest sześć razy dłuższe niż szerokie, a takie są właśnie wymiary Arki; Abraham poświęca na ofiarę Izaaka, żeby pozwolić przeżyć ofiarę Syna Boskiego; Saul, odtrącony przez Boga, zostaje zastąpiony przez Dawida, żebyśmy zrozumieli, że stary zakon zostanie zastąpiony przez nowy; Jonasz, pozostający trzy dni i trzy noce we wnętrzościach wieloryba, później wyrzucony przez niego na brzeg, jest figurą syna człowieczego, pozostającego trzy dni i trzy noce w łonie ziemi, a potem zmartwychwstającego w chwale. »Wszyscy patryjarchowie, wszyscy bohaterzy, wszyscy prorocy stają się literami tajemniczego abecadła, które Bóg wypisuje w historii imię Jezusa Chrystusa¹⁾.«

Tak uproszczona, zamknięta w tych ciasnych granicach, złożona z wielkich okresów, które odpowiadają sobie i potwierdzają się nie powtarzając się, historia, jak wszechświat jest jedna; jej prosty plan odkrywa nam Boga

¹⁾ Emile Mâle. str. 180 i nast. *Sztuka religijna we Francji w XIII wieku*. Książka p. Emila Mâle jest jedną z najpiękniejszych książek o historii sztuki, jakie znam: bez deklamacji, bez emfazy, siłą pojęcia i umiłowania, analizy stosunku do wszystkich idei i uczuć ludzkich, które ją zbudowały, odtwarza wielkie katedry gotyckie w. XIII. Nie zadowala się obliczeniem w nich kamieni, lecz przenika do duszy, która je wznosiła i złożyła w ich ułożeniu swe bogactwo i swą jednolitość.

osobowego, któremu wystarcza inteligencja ludzka o powiększonych tylko wszystkich swych władzach. Cud bynajmniej nie zadziwia i nie wprawia w kłopot myśli, jest on zasadniczym składnikiem tego pojęcia rzeczy, nie zaprzecza prawa, nie przeczy mu, jest to wypadek szczególny, zastosowanie. Prawo nie jest stosunkiem stałym między zjawiskami, nie jest raz na zawsze określone, nie wpływa ono z natury rzeczy, jest skutkiem współdziałania Boskiego, regularną działalnością Boga, wykonywaną za pośrednictwem jego sług duchowych, jest wolą ogólną, lecz wolą osoby, która nie koniecznie zatrzymuje się na tym, co postanowiła, lecz może z decyzji własnej mądrości zmienić postanowienie, jeżeli tego wymagają nadzwyczajne okoliczności. Czyż cechą inteligencji nie jest stałość zamiarów, a jednocześnie ta wolność wyższego rodzaju, która nie pozwala jej stać się niewolnicą własnych postanowień. Bóg stanowi zarówno prawa i wyjątki. Jaki cud szczególnie może być więcej zadziwiający od tego ustawicznego cudu, że w historii przeszłości spotykamy figury przyszłości, że życie patryjarchów i proroków jest zapowiedzią i symbolem czynów Chrystusa i sakramentów, które on ustanowił.

To też w wiekach średnich nauka jest w doskonałej zgodzie z wiarą, fizyka i hi-

storja są dodatkiem do teologii, studjowanie faktów przyprawia do rozmyślenia nad tajemnicami religijnymi, wiedzę uzupełnia się modłami i miłością. Idee nie przeczą sobie, nie wyłączają jedna drugiej, układają się w jeden system, którego wszystkie pierwiastki są ożywione jedną myślą. Człowiek nie jest w rozterce z sobą samym, myśli o tym, co kocha, kocha to, o czym myśli. Prawda nie jest czymś oderwanym i martwym, jest obrazem i uczuciem: wszechświat jest słowem Bożym, Słowem widowym; prawo moralne jest zbiorem pięknych żywotów, które je urzeczywistniały. Prawda, wyrażona zapomocą obrazów, które ją czynią drogą sercu, staje się pięknem. Katolicyzm XIII wieku znajduje swój najwyższy wyraz w katedrze gotyckiej, wyrażającej siłę, jedność, piękny układ doktryny, która była jej natchnieniem.

Katedra, jak i świat, jest wyrazem, Słowem, żywą mową, wypowiadającą dla oczu prawdę, a przez wzruszenie wsączającą ją do najtajniejszej głębi serca. Przekłada naukę na język symbolów, tłumaczy ją zapomocą obrazów, i obiera ją z wszelkich subtelności i abstrakcji; jest to księga, Biblja z kamienia, którą wszyscy mogą odcyfrowywać i rozumieć. Przemawia swemi linjami, proporcjami, formami, statuami, płaskorzeźbami, witrażami; poucza maluczkich, co człowiek powinien wie-

dzieć, wszystkiego, co jest konieczne do zbawienia, najwyższej prawdy, która nie zna wydziedziczonych, której Bóg odmawia tylko ślepym dobrowolnym. Jest dziełem wszystkich, należy do wszystkich: uczeni dali swą wiedzę, artyści gienjusz, lud ciężki trud, wszyscy wiarę wspólną, która połączyła w jedno wolę i kieruje do jednego celu wysiłki. To wznosi, to upokarza duszę pobożną; linje pionowe wzbijają się, jej lekkie kolumny strzelają w górę, podnoszą nawę, porywają spojrzenia i serca ku niebu; lecz szczyt wierzchołków oczy sprowadza na ziemię, a cień bocznych naw wzywa do skupienia, skruchy, modlitwy.

Formą swoją ogólną katedra przypomina narzędzie Męki Pańskiej; jest to krzyż, na którym Jezus codziennie ponawia swą Boską ofiarę dla zbawienia ludzi. Jej fasada, jej przysionki, wszystkie jej kamienie mówią, opowiadają historję świata i ludzkości; o dziele siedmiu dni, o Stworzeniu, o grzechu Adama i Ewy, o królach judzkich, którzy tworzą związek między Mesjaszem a Dawidem, o Jezusie i o tych, którzy go poprzedzili lub uznali, o patryjarchach i prorokach, o świętych i męczennikach, którzy złożyli świadectwo nauce przez swoje cnoty i zasługi, wreszcie o ostatnim akcie wielkiego dramatu moralnego, który nadaje sens Wszechświatowi, o Sądzie ostatecznym, o nagrodzie dobrych i karze złych,

dla których otwiera się paszcza piekielna, ziejąca płomieniami wiecznie gorejącymi. Katedra nie tylko jest świątynią, miejscem, gdzie wierni zbierają się, stosem kamieni; jest to Kościół żyjący, Kościół wojujący i tryumfujący, to zgromadzeni wkoło Chrystusa świadkowie wiary nowej, potwierdzający prawdę Objawienia, jej nieustanną cudowność, w widomych symbolach urzeczywistniając dogmaty i czynią je widocznymi dla wszystkich oczów i umysłów.

V

Ciągły od trzech wieków postęp nauki pozytywnej zburzył to pojęcie estetyczne i moralne o Wszechświecie. Wszechświat przestał być obszerną świątynią, w której wszystko świadczy o obecności Boga, stwórcy, o współdziałaniu Opatrzności, która utrzymuje swe dzieło, bezustannie je odtwarzając; budowlą wielką, lecz skończoną, której plan jasny, zastosowany do umysłu ludzkiego, ułożony wokoło jednego środka, mówi o osobowym budowniczym, który jedną myślą objął różnorodne pierwiastki. Nie wiemy już nic o uczonnej hierarchii, która stopniuje blask niebios stosownie do piękności dusz, które je poruszają: przestaliśmy rozumieć Raj Dantego, nie

czytujemy już nic oprócz jego Piekła. Niebo przestało być nie ulegającym rozkładowi, nieruchomym, przeznaczonym dla duchów czystych miejscem pobytu, nie wznosi się już po stopniach poza firmament ku empireum do tronu Boga; prawo zmiany i stawania się, prawo narodzin i śmierci wszędzie wtargnęło, a spojrzenie, podnoszące się ruchem instynktowym ku Najwyższemu, gubi się w nieskończoności. Sfery kryształowe, które się obracały pod wpływem aniołów, porywając gwiazdy w swe obroty, rozbite zostały; gwiazdy utrzymują się i poruszają w przestrzeni według praw nieugiętego mechanizmu. Sklepienie, które, jak się zdawało, spoczywało na ziemi i wodach, jest złudzeniem, skutkiem optyki powietrznej, nie istnieje.

Niema już świata jedyne, którego wszystkie części ułożone około jednego środka, zamknięte w formie geometrycznej najdoskonalszej, zgodnie działają i objawiają jedność myśli twórczej, która je poczęła wszystkie jednocześnie; istnieją miliony światów, a każdy wiedzie żywot niezależny. Idea o Wszechświecie miała znaczenie dokładnie określone, kiedy ciała niebieskie obracały się wokoło nieruchomej ziemi. Rozmaitość ich ruchów tylko urozmaicała i wzbogacała harmonję całego systemu, do którego należały. Dziś możemy śmiało mówić o systemie słonecznym, ponieważ planety

opisują kręgi wokoło słońca, jako środka; lecz nie wiemy, czy niezliczone słońca, które zaludniają przestrzeń, tworzą jeden system, czy też przeciwnie stanowią tyleż systemów częściowych i różnych, że żadne prawo wzajemnej zależności nie wiąże ich ze sobą. Idea o Wszechświecie jest odtąd ideą niejasną, zmaconą, którejbyśmy nie mogli określić, ponieważ nawet nie preziera nam z niego jedność planu, któryby łączył światy bez liczby. Bez wątpienia, z punktu widzenia całkiem abstrakcyjnego, przez swe przyciąganie, swe światło, swe ciepło, gwiazdy muszą działać na nasz świat, lecz niezmierność oddalenia czyni to działanie tak nieznacznym, że je pominąć można; odległość gwiazd, praktycznie wzięwszy, jest nieskończona.

W istocie astronomja bada świat słoneczny, jak gdyby reszta Wszechświata nie istniała, a przecież »tablice astronomiczne stanu naszego systemu słonecznego, ułożone bez żadnego względu na działanie innych słońc, zgadzają się codziennie z bezpośrednimi najdrobiazgowszymi obserwacjami¹⁾.«

Nasz świat, który, jak sobie wyobrażamy, ma być tak wielki, jest zapomniany, odosobniony w zakątku przestrzeni; najbliższe od

¹⁾ August Comte, *Kurs filozofii pozytywnej*, t. II, str. 113.

nas gwiazdy są oddalone milion razy więcej niż słońce; »gwiazdy szesnastej wielkości, stanowiące granicę, do której możemy obecnie dotrzeć swemi lunetami, są 965 razy więcej oddalone niż gwiazdy pierwszej wielkości; światło, przebiegające 75.000 mil na sekundę i dochodzące do nas ze słońca w ciągu ośmiu minut, potrzebowałoby 30.000 lat, żeby przebiec odległość, która nas od nich dzieli.« (Faye *O początku świata*, str. 182.) To też Wszechświat nie jest już całością o częściach zgodnych, w której jasno jest widoczny jeden plan, nie jest spójnym zbiorem pierwiastków, których jednoczesny rozwój świadczy o rządach umysłu, rozwijającego myśl własną; dla nas Wszechświat rozbija się na miliony niezależnych światów, z których każdy pędzi żywot dla siebie w pewnego rodzaju egoizmie samotniczym, i nie możemy odkryć myśli przewodniej, panującej nad nimi, wytwarzającej zgodę.

Jeżeli nasz świat słoneczny staje się taką małą rzeczą, to czymże jest ziemia, miejsce pobytu człowieka? Utraciła ona swe miejsce uprzywilejowane, przestała być środkiem świata; nie w stosunku do niej odbywają się ruchy ciał niebieskich, gdyż ruch ich odbiłby się na ruchach, które powodują na jej powierzchni własności rzeczy, ciepło, światło, życie i piękno; jest ona punktem w przestrzeni, »gwiazdą

podrzedną, krążącą według swego stopnia między Wenerą i Marsem. « Odtąd już nie możemy sobie wyobrazić, że człowiek na swej planecie, której nic nie wyróżnia z pomiędzy tylu innych, mogących sobie rościć pretensje do takich samych przeznaczeń, jest zasadą i celem rzeczy. Staje się więcej niż wątpliwym, czy wszystko zostało utworzone i zrobione dla jego użytku. Odkupienie człowieka przez syna Bożego bez trudu dawało się pogodzić z kosmologią średniowieczną; wchodziło ono logicznie do planu Boskiego, o którym, jak się zdawało, świadczył cały układ rzeczy; lecz oto miliony słońc, miliardy planet, ziem zanoszą takie same żądania do troskliwości Boskiej; ileż razy powtarzał się cud Wcielenia? Na ileż światów ten Bóg tułacz musiał i musi jeszcze iść na wygnanie? Na jakąż datę na tej ziemi starej, liczącej więcej niż dwadzieścia milionów lat, należałoby przenieść początek grzechu? Jeżeli Kościół zwalczał o tyle, o ile mógł, nowoczesną astronomję, to nie czynił tego przez próżny upór; słuszny instynkt ostrzegał go o zamachu, jaki ona czyni na jego dogmaty¹⁾.

¹⁾ Ojciec Cazrée, jezuita, rektor collegjum w Dijon, napisał do Gassendiego, przychylnego nauce o ruchu ziemi, list, który świadczy o zdolnościach przewidywania autora: »Nie należy nigdy zapominać, że jesteśmy nie tylko filozofami, lecz także chrześcija-

Przez ogłoszenie o obrotach ziemi i mnogości nieokreślnej światów astronomja zrobiła więcej, niż gdyby ich zaprzeczyła wprost, coby nie było tak niebezpieczne; ona zburzyła je w umyśle, nie zwalczając ich wcale, przez swe pojęcie o świecie, przez zbiór prawd pozytywnych, które stopniowo wyłączały złudzenia, z jakimi te prawdy dłużej nie mogły być w zgodzie. Nie bez przyczyny przeto kongregacja Indeksu ogłosiła system Kopernika »za fałszywą doktrynę pitagorejską, całkowicie przeciwną Pismom Świętym«; nie bez przyczyny Inkwizycja skazała Galileusza na wyrzeczenie się na klęczkach z ręką na Biblii herezji o ruchu ziemi.

nami i że nasza filozofja nie może i nie powinna odstępować od wiary chrześcijańskiej... Przeto myśl nie o tym, co sądzisz, być może, ty sam, lecz o tym, co myśli większa część innych, którzy, skuszeni twą powagą, lub twemi dowodzeniami, nabiorą przekonania, że kula ziemską obraca się między planetami: następnie, ponieważ na niej są mieszkańcy, łatwo będzie uwierzyć, że są także mieszkańcy na innych planetach, i że nawet ich nie brak na gwiazdach stałych, i że są o tyle od nas doskonalsi, o ile inne gwiazdy przewyższają ziemię wielkością i doskonałością. Z tego wyciągnie się wniosek, że należy wątpić o Gieziezie, ponieważ ona mówi, że ziemia została stworzona przed innemi gwiazdami i że te zostały stworzone dnia czwartego, żeby oświecały ziemię i żeby podług nich można było mierzyć czas i lata. Przez to cała nauka w świecie Słowa wcielonego i prawda Ewan-

Podobnie jak Wszechświat ustąpił mnóstwu światów, a nieskończona różnorodność zjawisk przestała się stosować do ziemi, umieszczonej nieruchomie w środku wszystkich rzeczy stworzonych, tak samo historia stała się więcej złożona, rozmaitsza, podzieliła się na liczne i równoległe historie, które nie mogą odnaleźć jedności w wyborze narodu żydowskiego i zstąpieniu Chrystusa. Jedność planu opatrzniościowego, tak jasna dla doktorów średniowiecznych i dla Bossueta jeszcze, przestała dla nas być widoczna w ludzkości, tak jak w światach. Racjonalizm grecki znajduje ciąg dalszy w nauce i filozofii nowoczesnej; posiada on

gigantyczna stana się podejrzanami: daleko więcej, cała wiara chrześcijańska stanie się nia, ponieważ przypuszcza i naucza, że wszystkie gwiazdy stworzone zostały przez Boga stworzyciela nie dlatego, żeby zostały zaludnione przez ludzi i inne stworzenia, lecz wyłącznie, żeby oświecały i zapładniały ziemię.

»Widzisz więc, jak niebezpieczną jest rzeczą, żeby nauki podobne były ogłaszane publicznie, a szczególnie przez ludzi, którzy przez swoją powagę zdają się im udzielać wiarygodności, i że słusznie już od czasów Kopernika Kościół zawsze był przeciwny temu błędowi: i że niedawno jeszcze, nie kilku kardynałów, jak powiadasz, lecz najwyższa głowa Kościoła dekretem pontyfikalnym potępiła je w osobie Galileusza i najświęciej zabroniła, żeby nie były wykładane w przyszłości, czy to ustnie, czy piśmiennie.« (Dzieła Piotra Gassendiego, wydanie florenckie z roku 1727, t. IV, str. 416.)

własne znaczenie i własną wartość. Jeśli nam mówią, że Jerozolima, Ateny i Rzym odegrały rolę w narodzinach i rozwoju chrześcijaństwa, w formowaniu się nauki i jej rozpowszechnieniu, to czy nie jest to coś naiwnego i samowolnego nie uznawać innej cywilizacji oprócz tej, która się ukształtowała na wybrzeżach morza Śródziemnego, i wyłączać z ludzkości wszystkie narody, które w niej nie uczestniczyły? Chrześcijaństwo nie jest środkiem historii, on jest tylko jej epizodem; nie wystarcza ogłosić jedności życia ludzkiego na planecie. Liczne grupy niezależne, odosobnione, formowały się, rozwijały, istniały równoległe, nie znając jedna drugiej. Rozwój religijny Indji daje się objaśnić sam przez się; kultura chińska jest oryginalna, nie zawdzięcza nic ani filozofii greckiej, ani prawodawstwu rzymskiemu, ani mistycyzmowi wschodniemu. Nie szczęściem tych ludów było, że Bóg chrześcijan przypominał sobie o nich dnia pewnego. Cywilizacja amerykańska zawdzięcza chrześcijaństwu tylko to, że była zniszczona. Jeżeli żołnierz nie poprzedza misjonarza, to bez zwłoki za nim kroczy.

Grzech pierwotny, odkupienie, rozpowszechnienie wiary nie wystarczają już do uporządkowania niezmiernego szeregu wypadków, następujących po sobie w ciągu wieków bez liczby. Nie znamy planu Boskiego historii, jak

nie znamy planu Wszechświata. Jedność historii nie objawia się nam w zasadzie jako myśl Boga osobowego; na początku spotykamy tylko wielorodność, anarchję, grupy rozliczne, nie znające się wzajem, wydzierające się ku życiu coraz wyższemu, każda dla siebie, zaznającą się ze sobą najczęściej tylko dzięki współzawodnictwu i wojnie; już daleko przędzej jedność objawia się jako ideał do urzeczywistnienia przez inteligencję i wolę człowieka, który, zmniejszając planetę, wyzwala się z więzów przestrzeni i czasu, mnożąc środki komunikacji, urzeczywistniając solidarność między interesami z początku sprzecznymi, wkońcu nada znaczenie słowu ludzkość dzięki nauce, pokojowi i sprawiedliwości.

Nauka i z zasady, i przez swój sposób wnioskowania wyłącza cudowność. Prawo przestaje być skutkiem woli, sposobem jej niezależnej działalności, jest to fakt jak inne, stosunek stały, powszechny, leżący w zjawiskach, wypływa z nich, a poddany mierzeniu, wyraża się w języku matematycznym. Biorąc rzeczy z tego punktu, obroty perjodyczne gwiazd nie oznaczają mądrości Boskiej, miłości, lecz są koniecznym działaniem praw mechanicznych, które tak samo wprawiają w ruch mgławice jak planety: w tym to znaczeniu Laplace mógł powiedzieć, że się może obejść bez hipotezy Boga.

I my też odrzucamy cudowność nie tylko dlatego, że nie widzimy, iżby kiedykolwiek w szeregu zjawisk stwierdzono wdawanie się potęgi nadprzyrodzonej; niema już miejsca w naszym umyśle na ideę o niej, zostaje wyłączona przez zbiór tego wszystkiego, co stanowi przedmiot naszego myślenia. Niegdyś cud był zjawiskiem powszechnym, odradzał się co chwila z naiwnej łatwowierności, uchodził za dowód, nie dający się obalić, stwierdzał wdawanie się Boga lub jego sług wprost, potwierdzał posłannictwo tych, których był natchnieniem; dziś wydaje się nam dziecinnym, błahym sposobem postępowania, niegodnym wzniosłej inteligencji, której nie może wypadać, żeby mąciła panowanie praw, przez siebie ustanowionych. Takie małe przerwy, samowolnie czynione w wątku zjawisk, te minjaturowe zamachy stanu w jednym punkcie przestrzeni i czasu, podczas gdy miliony światów, rzuconych w milczącą niezmierzoność, świadczą posłuszeństwo najwyższej władzy prawa, są igraszkami, godnymi co najwyżej dobrego gienjusza z bajki czarodziejskiej. W samej rzeczy, ilość cudów jest w stosunku prostym do ciemnoty i głupoty tych, którzy sądzą, że byli ich świadkami. »Metoda pedagogiczna«, polegająca na tym, żeby zapomocą cudów, w których prawa naturalne przewrócone są do góry nogami, dowodzić prawdy

etycznej lub dogmatu teologicznego, przestała być stosowna zarówno dla Boga, jak dla jakiegokolwiek bądź istoty rozumnej. Są rozmaite cuda, jak są rozmaici mnisi, więcej warte dowody. Dodam, że cud szczególny, miejscowy, wyróżniający pewne, wybrane przypadkiem indywiduum, upokarza Boga, jeżeli się go porówna z tym, co może sprawić człowiek sam przez się, dzięki nauce i przemysłowi. W istocie, jakże wygląda ten Pan Bóg wszechmocny, któremu na tysiące pielgrzymów udaje się kilka wątpliwych uzdrowień, zapisywanych jako zwycięstwa, w porównaniu z uczonym, który dzięki surowicy antydyfterytycznej wrywa śmierci co rok tysiące dzieci. Jeżeliśmy przestali uznawać cuda, to nietylko dlatego, że spełniają się one tylko wtedy, gdy się w nie wierzy, lecz dlatego, że odrzuciło je raczej sumienie, niż zaprzeczyła ich istnienia nauka. Odtąd cudowność bynajmniej nie jest dowodem, lecz jest raczej powodem, żeby zacząć wątpić o prawdach i poddać je badaniu, jeżeli chcą je oprzeć na tego rodzaju szczególnej powadze.

VI

Wiek XIII jest wiekiem największego rozkwitu katolicyzmu; w owym czasie katolicyzm

nie występuje jako narzędzie reakcji i oporu, jest życiowo płodny, organizuje myśl spekulatywną w system obszerny, w którym wszystko się trzyma razem i wiąże ze sobą; tworzy nową formę piękna; jest pokarmem umysłów najwyższych i zarazem potrafi udzielić prawd najgłówniejszych maluczkim, ponieważ umie uczynić te prawdy zrozumiałymi dla serca. W jego imię wszyscy ludzie z równym prawem wstępują w społeczeństwo duchowe. Nauka bynajmniej nie grozi mu, ani nie przeczy, zlewa się z nim w jedno. Pojęcie o wszechświecie fizycznym, przyjęte powszechnie, logicznie wiąże się z jego teologią. Cud nie jest pogwałceniem prawa, samowolą kapryśną, nie wydaje się przerwą w kanwie zjawisk, co by czyniło naukę niemożliwą; wypływa on z tej samej zasady, co prawo, pochodzi od tej samej woli Boskiej, która tylko uzupełnia, wienczy zapomocą niego porządek moralny, ustanowiony własnowolnie przez siebie we wszystkich rzeczach. Niema nic, nie trwa nic, nie dzieje się nic, co by się nie działo przy pomocy Bożej, która nas wiedzie ku pragnieniu i miłości dobra. W ten sposób umysł nie otrzymuje dogmatów z zewnątrz, przez pewnego rodzaju gwałt, jako coś obcego, czego by nie mógł pogodzić ze zbiorem swych idei; dogmaty są w zgodzie z jego ideami, są one na-

wet zasadą, według której porządkuje i jednoczy swe idee.

Inaczej dziś. Bóg osobowy, poczęty na obraz człowieka, posiadający w powiększeniu kaprysy i namiętności swego stworzenia, aniołowie, sługi jego, całkowicie zajęci sprawami tutaj na ziemi, święci, obdarzeni mocą nadprzyrodzoną, niebo urzeczywistnione, łączące jednym łańcuchem wszystkie ruchy, odbywające się na ziemi, z pierwotnym impulsem i jakby z uderzeniami serca Boskiego, cała ta naiwna mitologia nie odpowiada naszemu pojęciu o świecie, które przez to samo dąży do wyłączenia jej z umysłu. Rozumiem dobrze, że religja nie należy do tej samej kategorii, co nauka, że nie jest jej celem odpowiadać na te same pytania, ani zaspakajać tych samych potrzeb duszy; lecz umysł nie może występować przeciwko samemu sobie, przeczyć swej nauce swemi wierzeniami, gwałcić prawa jedności, które go zmusza godzić jedno i drugie. Jeżeli nauka przez swe metody i rezultaty nie wywołuje uczucia i potrzeb religijnych, nie może jednak nie wywołać zmian w wierzeniach, któremi te potrzeby się zaspakajają.

Widzimy też, że w ciągu wieków średnich, które dla uniwersytetów, szkół, klasztorów trwają o wiele dłużej, niż się zwykle twierdzi, nauka i religja bynajmniej nie przeczą sobie, lecz się w jedno zlewają. Umysły są

zgodne w twierdzeniu tych samych praw podstawowych, a wiara szerzy się jak pewnego rodzaju zaraza mimowolna. Wielcy doktorzy, święty Tomasz, Duns Scot, Occam nie odczuwają potrzeby porzucenia dogmatu, żeby używać własnej wolności myślenia, poruszają się w obrębie dogmatu wygodnie, niezależność i oryginalność swoją wykazują w sposobach, jakimi do niego dochodzą, jak go rozumieją i interpretują, umieją go odnaleźć jako wniosek metod sprzecznych, które dziś jeszcze dzielą umysły. Nawet heretycy, i ci nawet, zajmują ten sam punkt widzenia, co ich przeciwnicy. Wszystko potwierdza dogmat, wszystko do niego prowadzi, wszystko przyczynia się do utożsamienia go z myślą: nauka przez swą metodę dedukcyjną, która nie poddaje w wątpliwość zasad, przez swą teorię nieba, przez fizykę jakościową, panującą nad prawem przyczyn ostatecznych, przez swą filozofję historii, jak przez filozofję naturalną, przez rozpoczynanie koła faktów od grzechu pierworodnego, a zamykanie go sądem ostatecznym; praktyka przez ogłoszenie życia zakonnego za ideał, przez ustawiczne odwoływanie się do potęg nadprzyrodzonych, przez oczekiwanie cudu, który się spełnia zawsze, gdy się nań oczekuje. Ludzie żyją dogmatem, znajdują go wszędzie, na ustach uczonych, w starych legiendach, w przesądach ludowych, w przy-

zwyczajeniach codziennych, nawet w łatwowiej bezbożności opętanych przez diabła: prawdziwie stanowił on jedność myśli, która nie mogła nań podnieść ręki świętokradzkiej, sama nie ulegając rozprzężeniu.

Czasy zmieniły się bardzo. Wierni skupiają się, grupują się w celu umocnienia swej wiary wzajemnie, z umysłu podnoszą ją ponad wszelkie roztrząsania, lecz nie mogą nie wiedzieć o przeczeniach, które wyrastają naokół, zabezpieczyć się przed prawdami nowymi, które nie zgadzają się ze starymi dogmatami, nie mogą spocząć w spokojnej pewności, która się rodzi z jednomyslności umysłów. Widzą, że ludzie światli lub w pewnym znaczeniu doskonali zaprzeczają tego, co im się wydaje prawdą i warunkiem wszelkiej cnoty. Bez wątpienia, nie zbraknie nigdy teologów, żeby wymyślić jakie »distinguo« subtelne, które godzi naukę z dogmatem i cudem, lecz wiara, opierająca swą równowagę na subtelnościach teologicznych, jest chwiejna. Życie bynajmniej nie mówi nam o dogmacie; przeciwnie, odciąga nas od niego; pozostaje on poza wszystkim, co stanowi przedmiot naszego myślenia. Uczony jako taki nie uznaje go nawet wtedy, gdy w niego wierzy; nie bierze go sobie za przewodnika, nie odnajduje go między przedmiotami swoich studjów, w historii nieba, ziemi lub ludzi. Nauka stała się »świecką«

przedtym nim szkoła. Gieolog przedłuża sześć dni stworzenia, a astronom oblicza skutki ciążenia powszechnego, zamiast rozmyślać nad działaniami aniołów. Metafizyka aleksandryjska, która niegdyś usprawiedliwiała dogmat Trójcy, nadawała mu coś nowego i śmiałego, od wieków została zabalsamowana na cmentarzu idei martwych.

Mówi się, że nauka, oddana wyłącznie studjowaniu zjawisk przyrodzonych, nie burzy ani religji, ani metafizyki. Metody jej nie pozwalają na to, żeby stawiała sobie zagadnienia początku i celu ostatecznego, ustawicznie się narzucające, ponieważ nie może ich rozwiązać; żeby między niemi mogło nastąpić starcie, musi nastąpić spotkanie; religja znajduje się na innym planie niż nauka. Niech i tak będzie, lecz nauka coraz lepiej określa zagadnienie rzeczywistości, jednocześnie określa ściślej i komplikuje jej dane, wreszcie zmienia przedmiot, którego początek i cel religja chce objaśnić. Przedewszystkiem wszechświat tak się rozszerza, tak daleko cofa swe granice w przestrzeni i czasie, że Bóg, zajmujący się drobnostkami nie jest stosowny ani do jego wielkości, ani do jego różnorodności: należy, żeby myśl twórcza i opatrnościowa była poczęta na miarę swego przedmiotu. Wobec światów bez liczby, milionów słońc, miliardów planet, straszny Jehowa, tak dumny ze

swego Behemotha (hipopotama z księgi Joba) który wie, gdzie jest miejsce pobytu światła i miejsce ciemności, który »zły geometra i zły astronom« zatrzymuje słońce, ten Jehowa, którego uwaga skupia się na drobnym plemieniu małej planety, Ziemi, który, podobnie jak bogowie Homera, wtrąca się do walk ludzkich, pragnie zabójstw i krwi, namiętnie interesuje się śmiercią Agaga, króla Amaleczytów, który następnie posyła swego syna w pewne miejsce przestrzeni w postaci człowieczej, żeby zaświadczył, że ojciec nabrał obyczajów łagodniejszych, i od tego zdarzenia czyni zależnym niezmierzoność światów, ten Jehowa byłby postacią szczególną. Nauka nie zaprzecza go, nie zajmuje się nim zgoła, ignoruje go; lecz pomalutku, stopniowo tworzy, odkrywając, świat, w którym dla tego Boga nie ma ani miejsca, ani przeznaczenia. Nie można zmienić idei o wszechświecie, nie zmieniając, czy się chce, czy się nie chce, idei o Bogu.

Nauka przekształca zarówno podmiot, jak przedmiot myśli; modyfikuje umysł przez przyzwyczajenie do metod ścisłych i surowych, które mu narzuca. Wie ona, że jest dużo sposobów oszukiwania się, że najgorszymi kłamstwami są kłamstwa mimowolne, że rękojmią prawdy znajduje się tylko tam, gdzie się znajduje zimna krew, bezstronność i że świadectwo święte bardzo być może tylko halucy-

nacją namiętności. Nie doszukuje się ona tajemniczego kryterjum prawdy, zgoda umysłów wystarcza jej; nie brak jej nigdy, kiedy pokazują rzeczy prawdziwe lub ich dowodzą, kiedy przychodzą z faktami lub dowodami. »Gdzie robią hałas, powiada Leonardo da Vinci, nie ma prawdziwej nauki, ponieważ prawda może mieć tylko jeden wniosek, który ogłoszony na zawsze spór rozstrzyga.« To prawda, że jeżeli uczony zabrania umysłowi wszelkiej spekulacji, która przekracza doświadczenie, z urzędu zamyka go między faktami i prawami, zapomina o tym, że w ten sposób nie niweczy się pytań, które narzucają się myśli. Przypuszczając nawet, że zagadnienia te nie należą do takich, które mogą być ostatecznie rozwiązane, ważną jest rzeczą, żeby nie zostawić ich na łasce kaprysu i fantazji bezładnej, lecz przeciwnie, zastosować do przypuszczeń, na które pozwalają zasady metody racjonalnej. Lecz nauka nie upoważnia nas do ogłaszania naszych przypuszczeń za dogmaty: używanie jej logiki przyzwyczajają nas do posuwania się od rzeczy znanych do nieznanых. Nie możemy sobie rościć pretensji do wytłumaczenia tego, co wiemy, ponieważ możemy tylko przypuszczać. »Patrz, czytelniku, — pisał już Leonardo da Vinci — jak nie możemy spuszczać się na swych poprzedników, którzy chcieli określić, co to jest dusza,

co to jest życie, rzeczy, które nie ulegają dowodzeniom, podczas gdy rzeczy, które zapomocą doświadczenia można w każdym czasie poznać i jasno ich dowieść, pozostawały nieznanne lub fałszywie objaśniane w ciągu tylu wieków. Jeżeli wątpimy o pewności każdej rzeczy, która podpada pod nasze zmysły, o ile więcej powinniśmy wątpić o rzeczach, które nie podpadają tym zmysłom, jak oto: o istnieniu Boga, duszy, i rzeczy podobnych, z których powodu prowadzi się ciągle dysputy i które ciągle poddaje się w wątpliwość! I w rzeczy samej, dzieje się zawsze tak, że gdzie brak dowodów, zastępują je biadania, co się nigdy nie zdarza w rzeczach pewnych.« Objawienie posiada wartość dla tych, którzy je przyjmują. Religja wydaje się nam symbolicznym i subiektywnym objaśnieniem, zasługującym tylko wtedy na szacunek, jeżeli nie rości pretensji do narzucania się umysłom zapomocą siły i przymusu.

ETYKA.

I

Postępy nauki zmieniły nasze pojęcie o wszechświecie, przekształciły metody, które stosujemy do studjowania zjawisk, pojęciem

prawa zastąpiły samowolę i cud, sprowadziły ziemię tylko do stanowiska punktu w przestrzeni, pierwiastku światka, który sam jest pogrążony w niezmierzoności; lecz czy pomimo to nie można utrzymywać, że prawda religijna, będąca esencją chrześcijanizmu, pozostała całkowicie niezmienna? Bez wątpienia, kosmologja wzięła rozbrat z teologją, wszechświat przestał być dla nas przejrzystym symbolem nauk Kościoła; nie moglibyśmy już jasno wyobrazić sobie idei o opatrnościowych rządach światem, umiejscowić Boga, nieba i piekła, lecz nie jestże to raczej powodem, żeby powtórzyć za Chrystusem: »Królestwo moje nie jest z tego świata?« Ojcowie i doktorzy, jak to było naturalne, starali się pogodzić nową religję z nauką i filozofją swojego czasu; zamknęli ideę chrześcijańską w kodeksie dogmatów, w którym zostały skombinowane pierwiastki rozmaite: żydowskie, aleksandryjskie, helleńskie. Jezus nie jest ani doktorem, ani uczonym, nie ma zdania o ruchu ziemi, nie zna ani teologii, ani dogmatyki; nie przynosi ze sobą systemu, przynosi życie nowe. I cóż zależy na tym, że rozsypuje się w gruzy mozolnie wzniesiony budynek scholastyki. Z tej materji umysłowej, która go przygniatała, wydobywa się jeszcze jaśniejszy, jeszcze czystszy duch chrześcijański, który jedynie jest od Boga. Jest coś, czego

postępy naukowe nie dosięgają: własne dzieło Jezusa, życie jego i śmierć, zawierające całą jego naukę, jednym słowem, etyka chrześcijańska. Czy ziemia się obraca, czy stoi nieruchomie w środku świata, równie ważne, równie prawdziwe pozostaną te wielkie słowa: »Będziesz Pana Boga twego kochał z całego serca twego, z całej duszy twojej, z całej myśli twojej. To jest pierwsze i wielkie przykazanie. A oto drugie, do tego podobne: będziesz kochał bliźniego twego jako siebie samego¹⁾».

Rzecz nie jest tak oczywista, jak to niektórzy udają, że wierzą. Umysł, powiedzieliśmy już to, nie jest miejscem pustym, w którym na los szczęścia można układać obok siebie idee i uczucia, jest to działalność żyjąca, dążąca do zorganizowania swych pierwiastków wewnętrznych. Pomimo niekonsekwencji, które można wykazać w zasadach indywidualnych, w maksymach i postępowaniu ludów, umysł jest systematyczny. Dopóki może przyswajać sobie to, co przenika weń nowego, trzyma się idei panujących, najczęściej narzuconych przez otoczenie; prawo bierności stanowi siłę tradycji. Lecz kiedy sprzeczności stają się

¹⁾ Zauważmy, że te dwie formuły nie należą do Jezusa, który tylko powtarza dwa teksty zakonu żydowskiego.

zbyt jaskrawe, kiedy nie można już dłużej zamaskowywać ich przed sumieniem, umysł czuje, że występuje sam przeciwko sobie i odczuwa potrzebę uwolnienia się z tej sytuacji. Życie wewnętrzne, jeżeli ma w sobie coś poważnego i ludzkiego to tę szczerość z samym sobą, ten bunt przeciw kłamstwu, do których nie można się przyznać, tę wolę istnienia, a żeby istnieć, poddania myśli jedności, która jest jej prawem. Byłoby coś dziwnego w tym, gdyby nauka, zmieniawszy pojęcie o wszechświecie, włożywszy w ręce człowieka potęgę niezrównaną, której granice nie są oznaczone, nie zmieniłaby, zgodnie z temi nowymi warunkami życia praktycznego, naszej idei o przeznaczeniu człowieka, o jego roli tutaj na ziemi, o jego stosunku do przyrody. Miejmy więc odwagę to powiedzieć, nauka nie tylko przeczy starym dogmatom i temu, co one utrwalają z metafizyki aleksandryjskiej, obrządkom magicznym i sakramentom, wszystkiemu, czym w ciągu wieków Kościół przy pomocy Ducha Świętego obciążył naukę Jezusa, lecz samej etyce chrześcijańskiej, przeczy jej pojęciu o życiu i przez to samo przeczenie dąży stopniowo do osłabienia go w duszach. Przeciw duchowi chrześcijańskiemu staje duch nowy.

Powiedziawszy prawdę, jeżeli się opuszcza pole ogólników i próbuje określić etykę chrześcijańską, człowiek znajduje się wkońcu

w pewnym ambarasie. Chociaż Słowo Boże pozostaje niezmiennie, etyka ta, jak wszystkie dzieła ludzkie, nie przestawała się zmieniać. Uzupełniana była pożyczkami od racjonalizmu pogańskiego, od IV wieku poczynając, przez świętego Ambrożego pożyczkami z *De officiis* Cyserona, później przez świętego Tomasza z Etyki Arystotelesa. Jest czym innym dla katolika, który między Bogiem a sobą chce mieć jako pośrednika kapłana, a czym innym dla protestanta, który wierzy, iż odkrywa prawdę chrześcijańską przez badanie z zastanowieniem własnego sumienia. Kto ją uważa za jedno z etyką Jezusa, naraża się na gromy Kościołów: za to, że propagował nie sprzeciwianie się złu, że wziął na serjo słowo, jak mu się zdawało, Boskie, że wyciągnął zeń sumiennie wnioski społeczne, Tolstoj usłyszał przeciw sobie oskarżenie, że »skaził święty tekst Ewangelji«, i został wyklęty.

Nie wdając się w rozbiór metamorfoz etyki chrześcijańskiej, nie przywiązując wagi do różnych interpretacji, którym ulegała, zadowolmy się wyszukaniem tego, co ją wyróżnia i wyodrębnia, jej idei ogólnej o przyrodzie i przeznaczeniu człowieka. Etyka starożytna pomimo różnorodności systemów streszcza się w tej formule: *sequere naturam*, idź za naturą. Iść za naturą nie znaczy oddać się instynktowi, wydać się na łup kaprysów zmys-

łowości; człowiek powinien być człowiekiem, zrozumieć, czym jest, żeby się nim stać, jeżeli dąży za naturą, to z warunkiem, że będzie posłuszny rozumowi. Jeżeli natura i rozum bynajmniej nie przeczą sobie, lecz zgadzają się, a w gruncie są jednym i tym samym, jeżeli właściwą funkcją rozumu jest rozumienie natury, żeby ją urzeczywistniać, nauka jest mądrością, dobro moralne jest dobrem naturalnym, zawierającym cnotę i szczęście, a to co nazywamy grzechem, jest tylko błędem rozumu, ponieważ dobrowolnie niktby sobie złe nie życzył. Człowiek, zwierzę polityczne, uzupełnia swą naturę i wznosi się do egzystencji ludzkiej tylko w społeczności greckiej, w której w postaci prawa wyraża się rozum w stosunkach ludzkich i urzeczywistnia swą najwyższą formę, sprawiedliwość. Przeto to, co charakteryzuje etykę starożytną, to to, że ona nie oddziela szczęścia od cnoty, że za cel człowieka uważa najwyższe dobro, które tutaj na ziemi godzi jedno z drugim i to jeszcze, że zasady moralności ludzkiej doszukuje się w rozumie, czyniąc z najwyższego dobra cenę mądrości.

W zasadzie etyki chrześcijańskiej jest idea nowa i przeciwna, idea »winy«, grzechu. Natura nie jest dobra, nie dąży do dobra i harmonji, bezwiednie w rzeczach, widocznie w człowieku, w którym staje się świadomoś-

cią siebie i rozumem; jest zła, nieuleczalnie zła, a, pozostawiona sama sobie, może wytworzyć tylko nieład i zło. W człowieku jest panowaniem ciała, egoizmu, źródłem wszelkich namiętności przewrotnych, pomocnikiem Szatana; poza człowiekiem nie jest uczoną harmonją, igraszką myśli Boskiej, jak sobie wyobrażali Grecy, jest środowiskiem tragicznym, nad którym unosi się gniew Boski, mszczący się panowaniem cierpienia i śmierci. Człowiek więc jako twór przyrody jest zdegenerowany, zepsuty, jest synem grzechu, umarłym dla życia duchowego. Przeto nie wystarcza znać siebie samego, znać zło i dobro, żeby osiągnąć najwyższe dobro; należy przez akt, który wszystko, co było, rozpoczyna na nowo, przez kryzys woli, »nawrócić się«, zmienić serce, zwrócić oczy ducha ku przedmiotom, których oczy cielesne zgoła nie widzą. Dobro nie polega na uzupełnianiu natury, lecz na jej pokonaniu. Chrześcijanin umiera na ciele, żeby odrodzić się i odżyć na duchu. »Kto znalazł duszę swoją, straci ją; a kto by utracił duszę swą dla mnie, najdzie ją.« Świadomość grzechu, który tkwi w naszym ciele, który toczy się w naszych żyłach, dążenie do wyzwolenia, którego samemu nie podobna dokonać, pokora, wzywanie Boga, nawrócenie serca i woli, niepokój natury zawsze obecnej, zawsze złej, pokuta, żal i wy-

rzuty, wyrzeczenie się samego siebie, poświęcenie, radość z cierpienia i pokuty, nadzieje niebieskie, takie są myśli nowe, które karmi się pobożność chrześcijańska. Mędrzec staje się świętym.

Nauka przestaje być narzędziem mądrości; gdyby nawet zeszła do głębi natury, nigdyby nie wyprowadziła z niej czystego źródła; zamiast nauki zjawia się wiara (πίστις). Wiara jest aktem woli i porywem serca; przynosi ze sobą pojmowanie rzeczy, znajdujących się poza rzeczywistością przyrodzoną; jest ufnym oddaniem się, miłosną i zrezygnowaną uległością słowu i wyrokowi Boskim. Przez nią spełnia się palingeneza (παλιγγενεσία), odrodzenie duchowe; Duch przebywa w człowieku odrodzonym. »Owocem Ducha (ὁ καρπὸς τοῦ πνεύματος) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, słodycz, dobroć, wierność« (Św. Paweł. List do Gal. V, 22), wszystkie cnoty chrześcijanina. Cnotą najwyższą, zasadą wszystkich innych, pochodząca z wiary, już w niej się zawierająca, ponieważ jest jej koroną, jest miłość. Miłość nie jest czym innym tylko wiarą czynną; objawami jej są dobre uczynki. »Najmilejsi, miłujmy się zobopólnie: bo miłość jest z Boga; i każdy, co miłuje, z Boga jest urodzony, i zna Boga: (List pierwszy św. Jana, IV, 7). Miłość więc dla chrześcijan jest tym samym, czym była mądrość dla filozofów starożytnych, pier-

wiastką wszelkich cnót. »Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzęiący.« (Do Koryntjan XIII, 1.) Miłość nie jest cnotą ludzką, nie wielkodusznością szlachetnego serca; można »rozdąć cały swój majątek na pokarm biednym« i wcale jej nie posiadać; jest to uczucie metafizyczne, lub, wyrażając się właściwiej, uczucie mistyczne, religijne. Jako istota wyrodna, z gruntu zepsuta, człowiek nie ma nic pociągającego sam przez się; miłość, którą go darzymy, jest skutkiem miłości, którą go darzy Bóg. Żeby podobać się Bogu, żeby połączyć się z Bogiem, kochamy swych bliźnich. Głębiej jeszcze wzięwszy miłość jest połączeniem się z Bogiem ojcem, uczestnictwem w jego istocie i miłości, konkretnym i żywym uczuciem synostwa Boskiego, które czyni wszystkich ludzi braćmi nie ze krwi, która płynie w ich żyłach, lecz z tego, że we wszystkich odnajduje się Miłość, z której są zrodzeni.

Tej etyce, której pierwszym dogmatem jest zepsucie natury, odpowiada nowe pojęcie najwyższego dobra, to jest połączenia szczęścia i cnoty. Wszyscy starożytni uważali, że między szczęściem a cnotą istnieje stosunek tożsamości: według Sokratesa i Platona, według Arystotelesa i Zenona, kto posiada cnotę, posiada szczęście, według Epikura,

kto zażywa szczęścia, jest cnotliwy. Harmonja między naturą a rozumem pozwala na to, żeby przeznaczenie człowieka spełniło się tutaj na ziemi. Według chrześcijaństwa przeciwnie, wszystko jest zastosowane do życia przyszłego, które jedynie może rozwiązać tajemnicę życia teraźniejszego. Ziemia jest miejscem wygnania dla duszy, ciało więzieniem; dusza staje się z powrotem sobą w miarę tego, jak przez swoje myśli i pragnienia już się umyka z niego i żyje życiem duchowym. Cnotą jest miłość, to znaczy ukochanie Boga i ludzi przez miłość Boga i dla Boga; szczęście polega na posiadaniu Boga. Miłować Boga to znaczy bez wątpienia stąd już wybiegać ku Niemu, zbliżać się do Niego, lecz to nie znaczy posiadać Go zupełnie, jest to rozpamiętywać Go poprzez półciemności natury upadłej, duszy zaćmionej przez grzech, a miłość dąży do zlania się zupełnego. Cnota więc jest tylko początkiem szczęścia, ponieważ na nie zasługuje. Najwyższe szczęście nie jest z tego świata, nasze przeznaczenie spełnia się w innym życiu.

Wiara, wywołana tym oczekiwaniem, wiara, jako wierzenie w przyszłą i konieczną rzeczywistość najwyższego szczęścia, staje się nową cnotą, *nadzieją*, której przedmiotem jest błogość, obiecana wybranym, i która do poświęceń, przygotowujących rozkoszowanie się tą błogością, dodaje radości utajonej. Wiara, na-

dzieja i miłość są trzema wielkimi cnotami chrześcijańskimi, cnotami najściślej związanymi ze sobą, nierozdzielniemi, które są objawem tego samego usposobienia duszy. Lecz cnoty te nie zależą od woli ludzkiej, nie rodzą się one z nauki, która wymaga przyczyn dających się dowieść, tym mniej jeszcze nie pochodzą z natury, która im jest wroga i zaprzecza ich, wymagają natchnienia z wysokości, pomocy Bożej, aktu łaski, którego określenie nie należy do nas: Duch wieje, gdzie chce.

Nie jest moim zamiarem pomniejszanie lub oczernianie etyki chrześcijańskiej; to, co w ludziach sprawiła, to, co im dała, wystarcza do obrony jej przed umyślną niesprawiedliwością lub niemądrym uprzedzeniem. Pogłębiła ona dusze, uczyniła je delikatniejszymi i czystsze, powściągała niecierpliwe i brutalne zwierzę, postawiła między człowiekiem a jego natychmiastowymi żądzami marzenie o raju i zmorę piekielną: łącząc błogość z poświęceniem, z egoizmu samego wydobyla bezinteresowność. Niektórzy gorszą się tym: w tym oczekiwaniu nagrody odnajduje się instynkt, strach, żądze, nadzieję, drżenie lub apetyt zwierzęcia; lecz temu, co się widzi, czego się można dotknąć, zwycięsko przeciwstawić obraz, marzenie o szczęściu, coś, czego zmysłami sprawdzić nie można, coś, co ist-

nieje tylko w stopniu, w jakim się w to wierzy, czyż to już nie jest idealizm, dowód, że idea może zwyciężyć? Bez wątpienia, stoicy oddawna ogłosili, że istota ludzka posiada charakter święty i fundowali braterstwo między ludźmi na ich pochodzeniu Boskim; lecz Bogiem był rozum, w którym wszyscy uczestniczymy; z gienjalną słodyczą Jezus czyni z Boga już nie metaforycznie, lecz dosłownie, naszego ojca, ojca, który powinien i pragnie być kochanym, a idea braterstwa ludzi, która była dostępna tylko niektórym umysłom, utożsamia się z uczuciem religijnym, rozpowszechnia się w sercach.

Lecz arcydziełem etyki chrześcijańskiej było to, że nadała znaczenie i wartość nieskończoną cierpieniu. Dla nas, którzy poszukujemy zasady etycznej w prawach życia duchowego i działalności duchowej, bez wątpienia, cierpienie wskutek walki, do której staje się okazją, wskutek oporu, wskutek rozsądnej rezygnacji i wskutek odwagi, wprowadza w grę siłę wewnętrzną, odkrywa ją dla samej siebie i w pewnym znaczeniu potęguje. Gdybyście ból usunęli, osłabłoby natężenie działalności. Życie nie jest rozkosznym odpoczynkiem, inercją biernych przyjemności, jest zdobywaniem dobra pod bodźcem odczuwanej niedoskonałości. Lecz jeżeli bywa cierpienie, które podnieca do wysiłku dzięki buntowi,

którego jest przyczyną, które dąży do zaprzeczenia samego siebie przez działalność, usuwająca jego przyczyny, bywa też cierpienie, które jest niemocą, upadkiem, cofnięciem się życia, zatamowanego w samym źródle; bywa nim zawiedziona nadzieja, uczucie czegoś nie do naprawienia, utrata ukochanych, choroba powolna, postępująca, tortura bezpożyteczna i okrutna; pod wieczór w dzień bitwy, gdy ciemności zstępują, przerażenie zwyciężonego, który w milczeniu i zapomnieniu oczekuje śmierci. Chrześcijanizm czyni z cierpienia coś boskiego: Jezus, syn Boski i sam Bóg, zstąpił na ziemię, wziął na siebie wraz z naszym ciałem wszystkie niemoce ludzkie; z punktu widzenia tego świata został zwyciężony, oddany na wzgardę, naigrawanie i biczowanie, chciał cierpieć, umrzeć, niósł swój krzyż, pozwolił się przywiązać do tego drzewa cierpienia, jęczał, wylewał łzy i uświęcił mękę, najhulaniejszą mękę, przeznaczoną dla niewolników, a którą on wybrał dla siebie samego. Chrześcijanin, który patrzy na rzeczy oczami wiary, nie zaś oczami ciała, nie wie, co to wydziedziczony, zwyciężony w życiu. Cierpienie jest dobre, posiada ono wartość samo przez się. Bóg przygarnia nędze najbardziej nieznane, najskrytsze, najpokorniejsze, ażeby je wprowadzić do błogości i chwały. W świecie prawdziwym, w królestwie niebieskim drabina war-

tości ludzkich jest odwrócona: »Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni, błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie.« Jeżeli prawem życia, które wcześniej czy później będzie odkryte, jest wzrost dla zaniku, schodzenie wkońcu ku cieniom śmierci, jakąż nauka może być cenniejsza od tej, która przypisuje sens cierpieniu, która, zamiast w nim widzieć klęskę zwierzęcia, wskazuje na nie jako na doświadczanie człowieka i jako na drogę do zbawienia! Jakże gienjalny pomysł uczynić ból przyjemnym i drogim dla tego, kto go doświadcza, uczynić z niego dar, rodzaj łaski i przywileju, odkryć, poza pozorną niemocą chorego, ranionego przez życie, działanie w nim energii duchowej, która nie rozprasza się bez pożytku, lecz tworzy coś pozytywnego i rzeczywistego w świecie, którego nie danym jest widzieć oczami ciała, lecz który jest prawdziwym światem duszy!

II

Żeby sądzić, jest rzeczą konieczną rozumieć; kto nie uchwycił prawdy, zawierającej się w błędzie, ten nie jest prawdziwie wyzwolony. Nie unoszę się żadną namiętnością przeciwko etyce chrześcijańskiej, wiem o tym, że ma tę wielką zaletę, iż nie pozostała mar-

twą literą, iż objawiła się w uczuciach i czynach, iż była pomocą, pocieszeniem i umocnieniem dla ludzi, którzy brali na serjo i tę etykę samą i zbiór dogmatów, które są jej niezbędnym umotywowaniem. Pomijam wszystko, coby można powiedzieć o sztuce, której używali ci, co ją głosili lub wykładali, żeby uczynić z niej coś dosyć nieszkodliwego. Tutaj zajmuję się tylko tym, w co wierzymy i w co wierzyć możemy, i zapytuję siebie, czy wbrew przystąpieniu naszemu do niej czysto słownemu, ta etyka jest naszą, czy nie jest, mówiąc prawdę zjawiskiem historycznym, odtąd należącym już do przeszłości. Wątpię, czy większość tych, którzy się nazywają chrześcijanami lub się za nich uważają, są niemi rzeczywiście. Ludzkość żyła dwa tysiące lat, stworzyła naukę, stworzyła przemysł, powiększyła w znacznym stosunku swe środki działania; jakżeby mogła zachować bez zmiany ideę o przeznaczeniu i celach człowieka? Jest w tym prawdziwy absurd psychologiczny. Dążąc do bytu, umysł dąży do zjednoczenia różnorodności, którą obejmuje, stara się pogodzić to, co robi, z tym, o czym myśli, to, czego chce, z tym, co może. Ten konieczny postęp życia wewnętrznego wystarczyłby do potępienia objawienia, gdyż czyni chimeryczną rzekomą niezmiennosć dogmatów objawionych.

Przez to samo, że w ciągu wieków była

przewodniczką najlepszych z ludzi, że miała swych męczenników i świętych, etyka chrześcijańska zachowuje czar i urok, jakie posiadało piękne życie tych wszystkich, których ona była natchnieniem; lecz w rzeczy samej, ponieważ gardziła sprawami ziemskimi i społecznymi, ponieważ to, czego zaniedbywała lub nie знаła, coraz i coraz więcej nas interesuje, ponieważ to, co dla niej było obojętne, nas coraz i coraz więcej roznamiętnia: tam, gdzie są jej luki, tam są nasze potrzeby najpilniejsze.

Etyka Jezusa według ewangelji synoptycznych jest nadzwyczaj prosta; on jest Mesjaszem, zwiastuje królestwo Boże, przynosi dobrą nowinę, że panowanie sprawiedliwości się zbliża. Jednego dnia o pewnej godzinie, której nikt nie zna, nawet aniołowie w niebie, ani nawet »syn człowieczy« słońce się ściemni, gwiazdy pospadają, i wtedy przyjdzie syn człowieczy, niesiony na obłokach, z wielką mocą i w wielkiej chwale, »i zaprawdę, mówię wam, nie minie nawet to pokolenie, gdy to wszystko się spełni«. Co czynić, oczekując tej rewolucji kosmicznej, tej wielkiej katastrofy, którą każdy dzień może sprowadzić? Przywiązywać się do tego wszystkiego, czego nam zbraknie, do tego wszystkiego, co przepadnie, i zewsząd przypomina obraz grożącej ruiny, budować, tworzyć na ziemi? Nie, raczej odrywać się od niej,

żyć królestwem Bożym, w społeczeństwie niebieskim, które głos Mesjasza zwiastuje, zanim nie zabrzmią trąby dnia ostatecznego.

Etyka Jezusa jest etyką oczekiwania i próby. Niechaj człowiek odda swój majątek biednym i nie troszczy się o jutro: »ptaki nie sieją, ani nie zbierają, lilje nie pracują, ani przędą«; niechaj nie ucieka się do sprawiedliwości ludzkiej, niechaj nie chodzi przed trybunały, niechaj nie opiera się złu; gdy mu kto zabierze suknię, niech odda mu jeszcze i płaszcz; gdy go kto uderzy w policzek prawy, niechaj mu nadstawi i drugiego. I cóż zależy na cierpieniu tutaj? Nie chodzi o to, żeby je zwalczać, usuwać, lecz znosić cierpliwie, gdyż ta forma świata zniknie i dnie jej są policzone. Nie jest mi tajne, że przepisy te są uważane jednocześnie za Boskie i za takie, których stosować nie można, za przeciwnie rozumowi i objawione, wiem o tym, że kapłani prawie wszystkich sekt chrześcijańskich są zgodni w tym, że conajmniej rozgrzeszają z gwałtu, że odwołują się do Boga oręża, usprawiedliwiają opieranie się złu i wojnę. Lecz sprzeczności mimowolne, hipokryzje i kłamstwa, polityka kościołów, ich zgadzanie się na fakty dokonane, ich sztuka zastosowywania się do nich, przyczyniają się do odkrywania luk w ideale chrześcijańskim.

Są pewne zasady, którym byle się w prak-

tyce kłam zadawało, trzeba wyznawać i podtrzymywać teoretycznie pod groźbą, że się samemu siebie nie będzie mogło oszukiwać. Bez wątpienia, nie żyje się już obecnie w lęku przed wielką rewolucją kosmiczną, która ma zainaugurować królestwo Boże, nie pozostaje się w pogotowiu do odjazdu, pozbywając się wszelkiego ciężaru bezpożytecznego, urządza się człowiek na ziemi z zaufaniem, że dom jest trwały i na wieki zaopatrzony dobrze w opał przez słońce, którego nagły podmuch olbrzymich piersi nie zgasi. Tym nie mniej po dawnemu rozumie się, że ziemia jest miejscem czasowego pobytu, a życie teraźniejsze zagadką i próbą, której znaczenie nadaje życie przyszłe, doprowadzające wszystkie rzeczy do porządku. Mówiono: chrześcijaństwo pierwotny był przedewszystkiem oczekiwaniem Mesjasza, egzaltacją duchową, wywołaną nadzieją raju; moralność była tylko konsekwencją tego marzenia, była miłością, oderwaniem się i poświęceniem rzeczy, nie mających już wartości; pomału czas rozwiął iluzję, a moralność pozostała w całej czystości prawdy. Niech i tak będzie, lecz moralność pozostała tylko dlatego, że marzenie pierwszych dni zachowało swe panowanie nad duszami, zmieniając tylko formę.

Odsuwa się dzień sądu, nie patrzy się już codzień, czy syn człowieczy nie zjawił się na

obłokach, lecz na oczekiwaniu królestwa niebieskiego, a więc na jego rzeczywistości oparta jest cała moralność. Nie najważniejsza to sprawa działać tutaj na ziemi. Bezbożnościaby było chcieć wytępić zło, które wskutek grzechu leży w naturze i stanowi część pokuty, ustanowionej przez sprawiedliwość Boską. Żeby znosić z cierpliwością to, czego nie możemy uniknąć, mamy rezygnację i nadzieję, ideę, że nic nie dzieje się bez woli Bożej i ufność, iż wszystko, czego Bóg chce, kończy się podług praw jego mądrości i dobroci.

Prawdziwy chrześcijanin nie jest ani bohaterem, ani mędrce; jest on świętym, który wycofuje się z życia, wycieńcza w sobie naturę, zmniejsza swe potrzeby i skłonności i umiera dla świata; jest tym, który przez samotność, modły, ekstazę wybiega o tyle, o ile jest możliwe tutaj na ziemi, ku błogości rozpamiętywania Boga. Prawdziwym społeczeństwem nie jest to, które tworzą ludzie na ziemi; »nasze społeczeństwo jest w niebie, skąd oczekujemy Zbawiciela, który przemieni nasze ciała.« (Święty Paweł.) To pojęcie królestwa Bożego, ta idea, że prawdziwą społecznością dusz jest społeczność niebieska, że stąd powinniśmy zwracać ku niej swe spojrzenia, ku niej dążyć ze wszystkich swych sił, taki jest dogmat, którego chrześcijanin nie wyrzeknie się, którego wyrzec się nie może, który czyni chrześcijanizm obcym

troskom, coraz więcej i więcej zapanowującym nad sumieniem nowoczesnym. Nasza moralność jest coraz mniej i mniej chrześcijańską przez to samo, że jest coraz więcej i więcej społeczną.

Jezus nie jest prawodawcą społeczeństwa, które ma trwać, nie przychodzi po to, żeby reformować Państwo, »królestwo jego nie jest z tego świata«; odwołuje się do indywiduów, poucza je o drogach zbawienia przez doskonalenie się wewnętrzne. Nasze społeczeństwa są z tej ziemi, jak wszystko, co zależy od natury, uczestniczą w grzechu i zepsuciu pierwotnym; chociaż ciała nasze mieszkają na ziemi, dusze nasze, jak wygnańcy, wydzierają się ku wizji prawdziwej ojczyzny. Dlatego też niema potrzeby mówić o moralności politycznej. Jeżeli człowiek, jako człowiek, przypisuje sobie prawa, nie czyni nic innego, tylko wpada z powrotem w pychę, która zgubiła jego pierwszego ojca; jako syn grzechu, posiada wtedy tylko wartość, gdy się odrodzi przez żywot w Chrystusie. Nie powołujemy się na prawo przyrodzone, które jest tylko złudzeniem dumy ludzkiej. Chcieć sprawiedliwości na ziemi nie byłoby to brać na serjo życie teraźniejsze, zapominać, że to nie jest życie prawdziwe! W braku sprawiedliwości zadowalajmy się zwyczajem i prawem. »Oddajcie Cezarowi, co jest Cezara.« Chrześcijanin uznaje prawa,

które są ustanowione, poddaje się władzom, wie, że wszelka władza tutaj na ziemi, nie dzieje się bez zezwolenia Bożego (List do Rzym., XIII, 1), który karci Nabuchodonozora, gdy mu się uprzykrzą jego niesprawiedliwości. Zadaniem jego nie jest ufundowanie sprawiedliwości tutaj na ziemi, lecz zdobycie tytułów do życia wiecznego przez cierpliwe znoszenie niesprawiedliwości, których sam nie popełnia. »Ale jako każdemu udzielił Pan, jako każdego wezwał Bóg, tak niech postępuje... Jesteś wezwany niewolnikiem? nie dbajże: ale jeżeli też mógłbyś być wolnym, raczej używaj niewolstwa swego. Albowiem kto niewolnikiem wezwany jest w Panie, jest wyzwolonym Pańskim: także który jest wezwany wolnym, jest niewolnikiem Chrystusowym.« (List pierwszy do Korynt., VII, 17.)

Nie chodzi też więcej o etykę ekonomiczną, niż o polityczną: te zagadnienia nie mają nic wspólnego z zasadniczym zagadnieniem, którym jest zbawienie indywidualne i doskonalenie się wewnętrzne. Jezus i apostoł Paweł wyczekują dnia Boskiego, ten dzień jest blizki, »oblicze tego świata minie.« Cóż zależy na tym, w jakim położeniu ta ostateczna katastrofa zastanie ludzi, jedynie na czym zależy, to są myśli, uczucia, które chrześcijanin zdoła wzbudzić w sobie: pokora, rezygnacja, miłość, miłosierdzie, uczucia, zalecające go do

zostania wybranym Bożym. Sprzedać swe dobra, rozdać je ubogim, uzyskać za tę ofiarę skarb niebieski, naśladować ptaki i lilje polne, wszystkie te przepisy dążą do pokonania instynktu, do oderwania duszy od ziemi, do której ciało ją przykuwa; lecz trudno jest odkryć w tych przepisach prawo, dające się zastosować do społeczeństwa, które chce istnieć i dlatego powinno w terażniejszości przewidywać i przygotowywać przyszłość. Wyrzeczenie się dóbr ziemskich, które zresztą musiało pozostać tematem do kazań bez skutków praktycznych, nie równa się teorii pracy, ideałowi sprawiedliwości, które powinny urzeczywistnić się w wytwarzaniu i podziale bogactw. Skoro gmina obejmuje tylko kilka małych grup, próżniaki okazują aż nadto gotowości do naśladowania ptaków niebieskich, i święty Paweł w prostych a jędrnych wyrazach wprowadza poprawkę do tego przepisu idylicznego: »Kto nie pracuje, niech nie je.«

Jednym słowem, idee cywilizacji i postępu, związane ściśle według nas z moralnością, z zupełnym rozwojem indywidualnym i społeczeństwa, są obce ideałowi chrześcijańskiemu. Nauka, sztuka, praca kolektywna, sprawiedliwość społeczna, wszystko to, co, łącząc umysły, podnosi nad egoizm indywidualny i narodowy, to, co w nich jest powszechnego, braterskiego, co, jak nam się wydaje, zawiera pierwiastek

boski, jest tylko złudzeniem, które ukrywa przed nami naszą nieuleczalną nędzę i zniża nasze oczy i myśl naszą z nieba na ziemię.

Bez wątpienia, wiara w postęp nie przestała być u pewnych myślicieli tego wieku nową formą przesądu. Według jednych, świat jest posłuszny myśli immanentnej, która kieruje nim ku dobru, a którą odnajdują w szeregu faktów, przez wykonanie koniecznych uproszczeń: cała sztuka polega na tym, żeby pominąć to, co nie zgadza się z tą dialektyką optymistyczną. Według innych, przypadek, do złudzenia przypominający Opatrzność, zapomocą ślepych praw mechanicznych, prowadzi ewolucję kosmiczną od powinowactwa chemicznego do życia, od życia do świadomości, od świadomości indywidualnej do świadomości kolektywnej i coraz więcej, wbrew temu, co widzimy, godząc interesy sprzeczne, przygotowuje panowanie pokoju i miłości. Jakkolwiekby wątpliwą wydawała się ta metafizyka optymistyczna, i chociaż niektórych odtrąca ten fatalizm, rozgrzeszający wszelką rzeczywistość naturalną i historyczną, tym nie mniej pozostaje pewnym, że idea postępu jest odtąd jednym ze składników naszego sumienia i naszej wiary moralnej.

Nie przypuszczamy tej myśli, żeby zło było koniecznym skutkiem grzechu, odpowiedzią gniewu Boga mściciela, żeby z tego punktu

widzenia było pożądanym, gdyż pozwala na odkupienie tego grzechu; myślimy, że zło jest faktem naturalnym, że zadaniem człowieka jest je naprawić, nie zaś zrezygnować się na nie biernie; sądzymy, że grzech nie ma innego pochodzenia, że, bez wątpienia, w pewnym znaczeniu leży w naturze ludzkiej, lecz że natura jest w akcie stawania się, że powoli zmienia się i że powód do życia polega na tym, żeby przyczynić się swemi usiłowaniami do zbliżenia się do ideału człowieka, rosnącego w miarę, jak podnosi się człowiek rzeczywisty. Nasze pojęcie o życiu moralnym nie oddzieli się od idei postępu, ponieważ nie oddzieli się już od idei pracy, w gruncie rzeczy jest pragnieniem udoskonalenia człowieka w sobie samym, a przez siebie w tych, którzy się z nas narodzą, pragnieniem także przekształcenia środowiska społecznego zapomocą praw rozumnych, przez zastosowanie go do życia właściwie ludzkiego.

III

Człowiek nowoczesny przede wszystkim jest zajęty spełnianiem swego zadania na ziemi, zmienianiem środowiska naturalnego i społecznego; chrześcijanin nie może uznać bardzo wielkiej ważności społeczeństwa, w którym oczywiście odbywają się jego czynności

materjalne, lecz z którego myśl jego stara się wyzwolić, przypisywać bardzo wielkiej ważności prawom, według których odbywa się wytwarzanie i podział bogactw, któremi gardzi i które uważa za niebezpieczne. Przed sobą ma zbawienie do osiągnięcia, więc wszystko, czego udziela z serca życiu teraźniejszemu, jego sprawom, odejmuje życiu prawdziwemu, sprawom prawdziwym, które nie są z tego świata.

Oto dlaczego w dziedzinie politycznej i społecznej działanie chrześcijaństwa jest w pewnym znaczeniu negatywne; uczy ubożego rezygnacji, ofiarowuje mu raj; łagodzi brutalność silnych, wysuwa przeciw nim groźbę piekła; lecz chociaż potrafi zorganizować klasztor, nie posiada zasad, według którychby można było zorganizować społeczeństwo świeckie. Życie polityczne i ekonomiczne jest poziome w porównaniu z temi wzniosłemi sferami, do których chrześcijaństwo stara się podnieść myśl człowieka; to życie pozostawia on prawom natury, zamiast szukać w pojęciu tych praw środka, pozwalającego nagiąć je do wyrastających wymagań sumienia ludzkiego. Przez to samo skazuje się na zastosowanie się do wszelkich form niesprawiedliwości i na rozgrzeszenie lub usprawiedliwienie wszelkich nierówności społecznych.

Udaje się że się wierzy, iż etyka chrześcijańska jest ponad dyskusję, że niema nic

do dodania do niej, nic do odjęcia. Kilka aforyzmów banalnych, któreby można odnaleźć w Konfucjuszu, służą na poparcie tego ogólnika. Prawdą zaś jest to, jak widzieliśmy, że nie łatwo, skoro się chce określać ściśle, powiedzieć, co to jest etyka chrześcijańska. Prawdziwa myśl Jezusa wywołuje zgorszenie w kapłanach, którzy go ogłaszają za Boga. Nie przeciwstawiając sekt jedną drugiej, nie tryumfując nad ich sprzecznościami, nie zapierając wysokości ideału, który jest im wspólny, powiedzieliśmy, że etyka chrześcijańska ze swoją teorią próby i pokuty, z radykalnym odzieleniem ducha od ciała, z marzeniem o społeczności niebieskiej, ze swemi ustawami wieczystemi, przestała już odpowiadać pojęciu o przeznaczeniu człowieka.

My nie przeciwstawiamy gwałtem ducha naturze, my pragniemy, żeby przez naukę i działalność coraz lepiej i lepiej wyrażał się w niej: nie odkładamy już sprawiedliwości, chcemy, żeby urzeczywistniła się tutaj na ziemi w stosunkach ludzkich dzięki naszym usiłowaniom.

Po dwudziestu wiekach doświadczenia etyka chrześcijańska pokazała, do czego jest zdolna; czego nie uczyniła w przeszłości, nie uczyni też w przyszłości. Jej braki społeczne nie wypływają ze złośliwości ludzkiej, lecz z jej zasad. Idea prawa jest jej obca; pomija sprawiedliwość, nie widząc jej, jednym sko-

kiem wznosi się do braterstwa powszechnego: kochaj bliźniego swego, jak siebie samego; wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi, dziećmi tego samego ojca, ojca bardzo potężnego i bardzo dobrego, który cały jest miłością i pragnie, żeby dzieci kochały się. Przypuszczacie, że zrodzi się zgoda i pokój, że ludzkość utworzy jedną wielką rodzinę? Poczekajcie na interpretacje i komentarze teologiczne. Sama idea Boga ojca zawiera wszystko, co jest potrzebne, żeby miłość zmienić w nienawiść. Indywiduum, biorąc je samo w sobie, jest złe, zepsute; nie jest osobą, nie posiada praw, nie jest godne miłości, chyba jeżeli jest umiłowane przez Boga i miłuje go. Jeżeli zaprzecza prawdziwego Boga, jeżeli się nie rodzi po raz wtóry przez wiarę do życia prawdziwego, jeżeli nie wstępuje do świętej rodziny, jest dzieckiem czarta, godnym potępienia i nienawiści i wszystko będzie dozwolone przeciwko heretykowi.

Ludzkość zmniejsza się, staje się gminą; tam tylko są bracia; niema zbawienia poza Kościołem. Lecz Kościoły się mnożą, przeciwstawiają się sobie, ekskomunikują się wzajemnie. Do liczby rozkoszy, które daje religja, trzeba zaliczyć rozkosz, że można nienawidzić i wyzyskiwać zło bez wyrzutów sumienia. Żeby zmusić, potrzeba siły: łagodnymi słowami kieruje się mieczem w ręku Cezara i wygubia się tych, których się nie ma nadziei przekonać!

Używając gwałtu, uznaje się go i usprawiedliwia, robi się Boga ojca współnikiem rabunku, zabójstwa, wszelkich brutalności wojny. Ten ojciec szczególny, który napewno nie ma w sobie nic ludzkiego, daje zwycięstwo w ręce tych dzieci, które przekłada nad inne, a zawsze przekłada nad inne te, które są silniejsze. Nie zadowala się widokiem dzieci, zabijających się między sobą, sam w tym uczestniczy, zarzyna jednych rękami drugich, i spełnia w ten sposób zbrodnię, nie mającą nawet nazwy w językach ludzkich. Naprózno człowiek chciałby uniknąć tej konieczności bratobójstwa, wojna została zapisana w wiecznych wyrokach naszego ojca, który jest w niebiosach: niech się dzieje wola jego na ziemi! Ten Bóg, który jest cały miłością, uczuwa potrzebę zapachu krwi ludzkiej. Józef de Maistre, filozof katolicyzmu nieprzejednanego, to powiedział, bładzi akademicy powtarzają. Taki Bóg nie jest Bogiem sumienia nowoczesnego.

W dziedzinie ekonomicznej to samo; doktryna jest taka sama jak historia i jej konsekwencje. Zjawiska pozostawia się ich prawom przyrodzonym i łagodzi się tylko zło, którego nie umie się ani przewidywać, ani mu zapobiegać. Uważa się, że się zrobiło wszystko, gdy się wygłosiło kazanie o miłości ludziom, którzy są wydani na pastwę niemiłosiernego współzawodnictwa. Miłosierdzie pozostaje wy-

razem, staje się małą cnotą, zgoła nieszkodliwą. Jezus rozumiał je inaczej i miał surowsze wymagania: »Pewien człowiek zbliżył się do niego i rzekł: Dobry nauczycielu, co mam czynić, żeby zasłużyć na żywot wieczny?« Ten, który go zapytywał, był to pobożny młodzieniec, który mógł się pochwalić, że wypełniał wszystkie przykazania, nawet to, które nakazuje kochać bliźniego swego jak siebie samego, był przesadny. Jezus rzekł mu: »Jeżeli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj to, co masz, i rozdaj biednym, a będziesz miał skarb w niebie; potem wróć i idź za mną.« Lecz kiedy młodzieniec usłyszał te słowa, odszedł bardzo smutny, ponieważ posiadał wielkie dobra. Pobożny młodzieniec pocieszył się bez wątpienia; jak on, od wieków uczniowie Jezusa rezygnują się na posiadanie dóbr ziemskich i odważnie narażają się na potępienie wieczne.

Dziś tylko sami bogacze bezustannie powtarzają: »Biada wam, bogaczom: bo macie pociechę waszą.« (Św. Łuk. VI, 24.) Wiedzą oni, że trudniej im wniknąć do królestwa niebieskiego, niż wielbłądowi przejść przez ucho igielne, mówią to, i zależy im na tym, żeby biedni w to wierzyli. Jaki może być lepszy sposób wzbudzenia rezygnacji w tych, którym zbywa na wszystkim, niż w pustyni głodu wywołanie mirażu wiecznych uciech!

Lecz w rzeczywistości nie zdołano oszukać nikogo: wszyscy domagają się niebezpieczeństwa, na które naraża bogactwo i honoru narażania się na ogień piekielny; wszyscy są gotowi spełniać obowiązek miłosierdzia, wszyscy chcą wziąć wszystko, a oddać to, czego im się nie podoba zatrzymać. Miłosierdzie nie jest cnotą polityczną, jest to cnota teologiczna, nie nakłada ono obowiązków określonych, nie przenika praw i instytucji społeczeństwa teraźniejszego, nie zmienia prawnego położenia osób, nie zaprzecza niewolnictwa, zostawia bogatych i ubogich, nawołuje tylko tych braci wrogich do miłości wzajemnej w Bogu. Królestwo niebieskie przywróci sprawiedliwość; kto się wywyższa, będzie poniżony; kto się poniża, będzie wywyższony. Lecz jeżeli całe życie społeczne skazuje ludzi na walkę, jeżeli każe im brutalnie chwycić się za bary, jeżeli z konieczności czyni zwycięzców i zwyciężonych, jakżeby w tej walce mogli nabrać innych uczuć oprócz uczuć gniewu i nienawiści, i czy niema w tym czegoś przeciwnego rozumowi żądać od ludzi, jeszcze zgorączkowanych walką nieubłaganą, żeby kochali jedni drugich. Gdyby się kochali, nigdyby się nie zgodzili żyć w takim społeczeństwie. Miłość nie może zrodzić się z nienawiści; trzeba, żeby była miłość na początku, jeżeli chce się znaleźć miłość przy końcu. Poszanowanie osobi-

stości, sprawiedliwość w stosunkach ekonomicznych, sprawiedliwość, która nie może istnieć bez poczucia solidarności ludzkiej więcej uczynią dla sprowadzenia braterstwa, niż to miłosierdzie hiperboliczne, nieokreślone, któremu wszystko przeczy, które pozostaje poza społeczeństwem, i oddane na samowolę indywiduów, nigdy się nie pełni.

Jeżeli etyka chrześcijańska pozwoliła instytucjom politycznym i prawom ekonomicznym rozwijać się niezależnie od siebie, nie było to dziełem przypadku, ani też braku konsekwencji tych, którzy ją wyznają, lecz jej nie pełnią, związane to jest z samymi jej zasadami. Powiedzą mi, że najlepszy sposób działania na ogół polega na działaniu na jednostki; że społeczeństwa czyni się lepszymi, ukrócając egoizm ich członków, osławiając zwierzę okrutne i lubieżne, które w każdym człowieku jest wrogiem wszystkich innych ludzi. Temu nie przeczę, lecz skąd pochodzi, że po dwóch tysiącach lat społeczeństwa nie są przeniknięte tym duchem braterstwa, który jest najlepszą i najwznioślejszą częścią chrześcijaństwa? Trzebaż wyłącznie oskarżać o to złośliwość ludzką? Lecz same Kościoły nie umieją zrobić nic lepszego, tylko godzić się na zło społeczne, więcej nawet, usprawiedliwiać je, udzielać mu jakiegoś pochodzenia Boskiego; nie widzą nic poza zabójczym współ-

zawodnictwem jednostek i narodów; uświęcają, ubóstwiają wojnę; niema takiej niesprawiedliwości, uświęconej przez zwyczaj, którejby nie zapewniły współnictwa Boskiego.

Prawdą jest, że chrześcijaństwo wbrew słownemu: »kochajcie jedni drugich«, w życiu wewnętrznym jednostki zbyt zaprzętał się tym, co się tyczy samego indywiduum i zbyt zaniedbywał pierwiastków, które w nim, w jego tendencjach najwznioślejszych są podstawami życia społecznego. Cóż zależy prawdziwemu chrześcijaninowi, który zna próżność tego świata, który marzy tylko o oderwaniu się od niego na tym ziemskim padole, zepsutym z natury, skazanym jak sama natura na zło egoizmu i śmierci? Najlepsi z nich odsuwają się, tworzą społeczności, ożywione tą samą troską rzeczy niebieskich; lękają się uczuć, któreby połączyły ich więzami silniejszymi ze stworzeniem; przekładają celibat nad małżeństwo, ubóstwo nad bogactwo, modlitwę i rozmyślanie nad pracę; duchem przebywają już w królestwie Boskim. Dla każdego z ludzi słowo Jezusa i apostoła Pawła zostaje prawdziwe, dzień Sądu jest bliski, mądrość życia polega na oczekiwaniu tego dnia, który rozpocznie wieczność. Jeżeli miłosierdzie mamy w swych sercach, co nam zależy na sprawiedliwości w podziale próżnych bogactw, które wyrrywają sobie ludzie szaleni. Zło dla najlepszych jest

tylko okazją do poświęcenia, które zbawia ich samych. Człowiek czuje potrzebę wierzenia w wartość dzieła, któremu się poświęca: chrześcijaństwo nie urzeczywistnił sprawiedliwości społecznej; ponieważ nie wierzy ani w jej możliwość, ani w jej wartość.

Ta obojętność na rzeczy tego świata, ten sposób pojmowania porządku moralnego, niezależnie od jego urzeczywistnienia w społeczeństwach ludzkich, które są pozostawione prawom natury, nie dzieje się bez niebezpieczeństwa. Nie brak ludzi, którzy są zainteresowani, żeby religja, głosząca ubogim rezygnację i nie żądająca od bogatych niczego oprócz miłosierdzia, którego jedynymi sędziami są oni sami, zachowała władzę nad umysłami. W miarę jak wiara słabnie, religja znajduje obrońców w tych bogaczach i w tych możnych, których ona sama teoretycznie potępia. Sprawiedliwość jest w dobrych rękach, w rękach Boga, jej godzina wybije; czekajmy; jest to utopją i bezbożnością chcieć, żeby ta godzina wybiła kiedykolwiek na zegarze ziemskim. Ryzyko zaziemskie, związane z posiadaniem dóbr przemijających, suto wynagradza się zyskami, przynoszonymi przez nie tutaj na ziemi; lud spodziewa się raju, tylko jego wrogowie mogą chcieć mu go zabrać: nie bądźmy ludźmi nieuczciwymi, którzy okradają ludzi z ich złudzeń.

Przeto, pod pretekstem, że porządek moralny istnieje rzeczywiście, że został postanowiony w planach Boskich, że nas ominąć nie może, zaniedbuje się pracy nad nim tutaj na ziemi i odkłada się do życia przyszłego jego wstąpienie, będąc pewnym, że się nie ucierpi na nim, skoro się w niego wierzy. W ten sposób obniża się uczucie religijne, które jest niczym bez głębokiej szczerości duszy, która go doświadcza. Religję czyni się zależną od interesów ziemskich, zachwala się jej pożyteczność polityczną, nie przyznając się do tego, robi się z niej rodzaj żandarmerji duchowej, która powstrzymuje lud grozą urojonych piekieł. Lecz lud nie daje się wyprowadzić w pole, budzi się jego podejrzliwość, a nienawiść nie wyrozumowana dosięga samego Boga. Nie widzi on już w nim istoty, w której sumienie ludzkie przygląda się samemu sobie i widzi w nim to, co ma w sobie najwznieślejszego i najczystsze, widzi w nim raczej olbrzymiego policjanta, najwyższego urzędnika burżuazji, symbol potęgi kapitalistycznej, i bywają takie zgromadzenia ludowe, w których imię Boga nie może być wygłoszone, żeby go nie zagłuszyły okrzyki nienawiści.

IV

Jeżeli etyka chrześcijańska, biorąc z niej to, co ma praktycznego, jej ideał życiowy, nie jest tą etyką Boską, skończoną, nieodwołalną, poza którą niema nic do szukania; jeżeli pozostawia bez rozwiązania zagadnienie, które narzucają się nam w sposób najwięcej rozkazujący, jeżeli powoli, systematycznie wznosi się w nas inna etyka, która usuwa czasami tamtą nawet z tych, którzy ją jeszcze wyznają, cóż mówić o dogmatach, które ją popierają i praktykach, któremi pewne Kościoły ją komplikują i przeciążają? Między temi dogmatami, temi praktykami a ideami, które coraz więcej wskutek postępu nauki i świadomości stają się jakby samym duchem naszym, odnajdujemy tę samą sprzeczność, tylko jeszcze ostrzejszą.

Nie uznajemy już, żeby przepisy moralności musiały być przykazaniami Boskiego prawodawcy i tylko z tego tytułu święte. Wiemy z doświadczenia, że Bóg wznosi się lub obniża jak sumienie ludzkie, i że nie przepisuje nigdy nic innego, tylko taki ideał, jaki ono stworzyło przez własny wysiłek. Człowiek jest istotą samorządną, nie podlega karności zewnętrznej, którą uświęcają kary

zastraszające, sam przepisuje sobie prawa. Nie uznaje porządku, którego nie kontroluje; a więc moralność nie jest zależna od religii, rzeczy znane od nieznanych, rozum od fantazji. I praktyki, i dogmaty wszelkiej religii zależą od sumienia i muszą się przed nim usprawiedliwić. Tajemnica i sprzeczność z rozumem nie wydają się nam powodami, żeby wierzyć, niemoralność, bez dalszego badania, zdaje się nam dostatecznym powodem, żeby przeczyć. Chociaż się nie dziwimy, że nasi ojcowie uczynili Boga na swój obraz i swoją miarę, odmawiamy przypisywania Bogu tego, co by dzisiaj było niegodnym człowieka oświeconego.

Można podziwiać teorię grzechu pierworodnego, chwalić jej głębokość, kłaść nacisk na zjawiska, potwierdzające ją, na to prawo inercji i regressji, zbyt lekceważone przez psychologów, które czyni, że przyzwyczajenie złe natychmiast utrwała się, jak gdyby leżało w naturze, że przyzwyczajenie dobre, przeciwnie, nigdy nie staje się automatycznym, zawsze pozostaje związane z wysiłkiem, i pozostawia uczucie oporu, który należy przezwyciężać. Fakty dadzą się też objaśnić inaczej: natura ludzka łączy się ze zwierzęcą, tworzy sama siebie przez nieustanną działalność, gdy ta wolniej, człowiek powraca do instynktu. Natura sama w sobie nie jest ani dobra, ani

zła, staje się zaś jedną albo drugą tylko wtedy, gdy człowiek wynosi się nad nią i sędzi. Grzech pierwotny jest korolarjum do stworzenia, usprawiedliwia istnienie Boga, tłumaczy zło, lecz zachowuje wolę dobra na początku rzeczy. Lecz ta teoria naiwna, która miała jeszcze sens, gdy ziemia tronowała w środku wszechświata, a wszystko się ściągało do człowieka, nie ma go już, wobec nieokreślonej mnogości światów. I, co ważniejsza, jakaż to jest sprawiedliwość tego Boga doskonałego, który potępia wszystkich ludzi za ich pierwszego ojca, tego złego logika, który bierze za jedno gatunek i indywiduum, tego jeszcze gorszego sędziego, który na oślep uderza w przestępcę i niewinnego?

Bóg ten został umieszczony na takim punkcie widzenia, jaki dłużej nie może być punktem widzenia sumienia ludzkiego. Powiedzą niektórzy, że buntować się jest rzeczą próżną, że prawo solidarności jest zapisane w faktach, że nauka coraz więcej uznaje je i wydobywa na światło. Zgoda; lecz solidarność, za grzechy ojca karząca syna, sprawiająca, że zło fizyczne i moralne jest zaraźliwe, nadająca grupom ludzkim, niezależnie od indywiduów, rodzaj jedności rzeczywistej, organicznej, taka solidarność jest prawem przyrodzonym; w takiej solidarności, niema jeszcze nic moralnego, do człowieka należy ją interpretować, dodać do

niej idee, któreby ją mogły związać z wyższą i prawdziwszą ideą sprawiedliwości.

Tak samo rzecz się ma z odkupieniem jak z grzechem pierwotnym; krew sprawiedliwego odkupuje grzesznika, podnosi człowieka z »winy«, której skutków pozbyćby się nie mógł własnymi siłami, tak jakby nie mógł wyzbyć się własnego przyrodzenia. Wiara w cnotę poświęcenia, podstawienie ofiary, zmazującej winę, zamiast prawdziwego winowajcy w celu ułagodzenia zagniewanego Bóstwa, komunja, podział Boga zabitego między wiernymi, w których ciało przechodzi duch jego, są to cechy wszystkich religii starożytnych, środki osiągnięcia zbawienia, obrządki, któremi przesądna obawa potęg nadprzyrodzonych natchnęła człowieka w pierwszej chwili przebudzenia się myśli. Chrześcijaństwo zebrał puściznę tych tradycji od czasów niepamiętnych, oczyścił ją, wyidealizował, lecz zachował i przekazał. To prawda, jest coś wzniosłego w idei tego Boga, zstępującego na ziemię, przybierającego ciało, chcącego cierpieć i umrzeć dla zbawienia ludzkiego, i codziennie na ołtarzach milionów sanktuarjów wznawiającego swą ofiarę, powracającego do życia, żeby cierpieć, umrzeć i oddać się raz jeszcze: oto jak się przekształciły starożytne ofiary krwawe. Lecz z drugiej strony, pod temi wyrafinowanemi formami przetrwała

idea pierwotna, równie obrażająca sumienie ludzkie.

Postęp sumienia ludzkiego, wzrastająca odrazą do zabójstwa, tortur, wszelkiego bezpożytecznego cierpienia, zarówno jak trafniejsze pojęcie o prawach przyrody, usuwa z umysłu ludzkiego ideę wyroków okrutnych, które odnajdujemy i w pojęciu o konieczności ofiary i w pojęciu chrześcijańskim o piekle. Jeżeli człowiek tworzy sobie Boga według swego obrazu, bynajmniej nie znaczy to, że się zgadza go umieścić niżej od swego ideału ludzkości. Przystaliśmy już rozumieć, jaki może być stosunek między złem moralnym i złem fizycznym, w jaki sposób następnie jedno może naprawić drugie; w karach, polegających na cierpieniu, widzimy tylko jedno zło dodane do drugiego. Niedoskonała sprawiedliwość ludzka, coraz więcej i więcej oczyszcza wyroki społeczne z wszelkiego okrucieństwa niepożytecznego; sprowadza je do prawa obrony, dozwala na karanie tylko w tym stopniu, w jakim kara może wywołać poprawę i dlatego już sprawiedliwości Boskiej nie można nadal sobie wyobrażać na obraz sprawiedliwości brutalniejszej i więcej prostackiej.

Należy wierzyć, że jeżeli wraz z wiarą osłabło miłosierdzie (mówię o tym uczuciu *sui generis*, polegającym na tym, że kocha się stworzenie tylko w stwórcy i człowieka tylko

w Bogu), to sympatja czysto ludzka, która sprawia, że nie można patrzeć na cierpienie, nie dzielając go, szczególnie umocniła się w duszach naszych.

Miłosierdzie posiada tajemnicze wybiegi, prowadzące do rozkoszowania się zemstą i nienawiścią. Już wielki apostoł Paweł w końcu rozdziału, pełnego rad doskonałych, nie waha się wziąć na swą odpowiedzialność dawnego nakazu: »Nie mszcząc się sami, najmilejsi, ale dajcie miejsce gniewowi; albowiem napisano jest: Mnie pomstę, ja oddam, mówi Pan. Ale jeżeli łaknie nieprzyjaciół twój, nakarmij go: jeżeli pragnie, napój go. Bo to czyniąc, węgle ogniste zgromadzisz na głowę jego.« (*List do Rzym.*, XII, 19 i 20.) Miłosierdzie nie zna ludzi, wyłączonych z miłości Boga, ale bez trudu pogodziło się z dogmatem o piekle, nie odrzuciło go zgoła jako zaprzeczenia samego siebie.

Że inkwizytorzy palą heretyków, żeby zapewnić im szczęśliwość wieczną, na to zgoda; godzina mija szybko; lecz jakże pocieszyć się, patrząc na mękę bez końca potępionych? Ojcowie, doktorzy, święci upewniają nas, że błogosławieni znajdują w przyglądaniu się tym mękom rozkosz nieporównaną, konieczny dla tym żywszego odczuwania swej błogości kontrast. »*Beati in regno coelesti*, pisze z powagą święty Tomasz, *videbunt poenas damnatorum*,

*ut beatitudo illis magis camplaceat*¹⁾).« I Teruljan w traktacie o *widowiskach* z całym ogniem swego stylu afrykańskiego maluje nieporównany obraz, który o wiele przewyższa wszelkie igrzyska cyrkowe, wielki ognisty dramat dnia sądu ostatecznego, pożogę, którą zostaną dotknięte niezliczone pokolenia ludzkie; nie może się pohamować, dusza jego od uwielbienia przechodzi do śmiechu i radości, »wykrzykuje« na widok wielkiego pożaru, w którym pośród jęków, w woni palonego ciała zamieniają się w płyn ciała królów, rządców prowincji, którzy prześladowali chrześcijan, mędrców, którzy zaprzeczali zmartwychwstania, woźniców i atletów, tych wszystkich, którzy starali się wyśmiać »syna cieśli i prostytutki.« Ta furja epileptyczna nie oburza nas, my jej nie rozumiemy już, tak jak nie rozumiemy radości Czerwonoskórych, którzy przywiązują swych wrogów do słupa, by im zadawać męczarnie. Nie jesteśmy chrześcijanami, nie mamy pretensji do tego, że kochamy swych bliźnich jak siebie samych, wiemy, żebyśmy nie byli zdolni do spełniania z zadowoleniem dla innych niskich lub odrażających czynności zwierzęcych, z jakim spełniamy dla samych siebie,

¹⁾ Błogosławieni w królestwie niebieskim będą patrzyli na męki potępionych, by szczęśliwość im tym więcej smakowała.

lecz rozkosz, którą błogosławieni znajdują w patrzeniu na cierpienia potępionych, nam jest niedostępna. Nawet tutaj na ziemi, całkiem czysta radość dźwięczy tylko w śmiechu dziecka, które nie patrzyło jeszcze na cierpienie. Raj nie tyle winien być miejscem, ile stanem wewnętrznym duszy; wizja piekła zawładnęłaby całą duszą, zmąciłaby ją bolesną litością, nie zostawiłaby jej innej rozkoszy możliwej prócz tej, żeby ugasić płomień wieczne i wyzwolić ofiary cierpienia, co by było zaprzeczeniem miłości i klęską Boga.

To też te okropne obrazy, które niegdyś przerażały złych i odwodziły od grzechu, teraz nie wywierają żadnego innego skutku, chyba ten, że są rozrywką dla naszej fantazji. Często zatrzymywałem się w muzeum Trocadero przed płaskorzeźbą na odrzwiach z Bourges, przedstawiającą z taką naiwnością sąd ostateczny: za każdym razem uderzało mnie, z jaką wesołością zwiedzający rozpatrywali szczegóły tej sceny, dziś tylko już komicznej, i pomijali aniołów, sprawiedliwych, a przyglądali się tylko grymasom djabłów, ich krzywieniom się, twarzom dziwnym, temu, z jaką radością nadziewają na widły grzeszników, żeby ich wrzucić w otwartą paszczę piekła. August Comte, który nie śmieje się nigdy, z powagą wypowiada spostrzeżenie, że, wzięwszy pod uwagę działanie przyzwyczaj-

nia i prawa wrażliwości, która ulega podnieceniu i osłabieniu z kolei, męki potępionych z konieczności sprowadziłyby się do złagodzonego wrażenia duszu szkockiego.

Nie mówię nic o praktykach, któremi pewne kościoły, na przykład kościół katolicki, komplikują przepisy etyki chrześcijańskiej. Wielu widzi w tym tylko przeładowanie i fałszowanie prawdziwej doktryny. Historyk religii widziałby w tym raczej tendencję wsteczną i atawistyczną, sprowadzającą człowieka do pierwotnych form wzruszenia religijnego. Konieczność wdawania się kapłana, osoby poświęconej, wysiłki, żeby zapomocą cudu pokonać determinizm przyrodzony, obrządki, formuły, czynności zewnętrzne, które same przez się wywierają pewien rodzaj przymusu na Boga, fetyszyzm, przenoszą nas w pierwsze wieki ludzkości, przypominają w religii etycznej przeżytki dawnego instynktu, który popychał człowieka pierwotnego do praktyk rytualnych, w celu ulagodzenia, uzyskania opieki i pomocy potęg nadprzyrodzonych. Lecz ten instynkt, który niegdyś wzmacniał i egoizm, i obawę przed rzeczami nieznanymi, obecnie jest odrażający dla nauki i sumienia: skoro człowiek staje się świadomy jego, traci go. Jeżeli kapłanowi nie przypisujemy władzy zmieniania zapomocą giestów i formuł biegu zjawisk przyrodzonych, tym mniej jeszcze

przyznajemy mu możliwość rozciągania tej magji na dusze i zastępowania zapomocą egzorcyzmów uczucia wewnętrznego i wysiłku woli.

Kierowanie sumieniem wydaje się nam zaprzeczeniem życia moralnego tego, kto temu kierowaniu się poddaje, ponieważ życie moralne tkwi w samym sumieniu, a to nie znosi ani wikarego, ani zastępcy. To prawda; indywiduum nie potrzebuje zaczynać od pierwotnej ciemnoty, wynajdywać na nowo moralność; tradycja jest obecna w jego myśli, nie może się ono jej pozbyć; człowiek w nim jest ciągiem dalszym innych ludzi, i jeżeli można się tak wyrazić, dziełem ludzkim; lecz tradycja ta nie jest rzeczą martwą, zbiorem przepisów, jest to działalność żyjąca, samo sumienie; nie jest to instynkt, tenby bowiem uniemożliwiał i wybór, i życie moralne, jest to umysł więcej oświecony i silniejszy; nie jest to powaga zewnętrzna, jest to zdolność rozróżniania, badania niezależnego, odnawiająca i wzmacniająca przez to tęgość zasad przekazanych, że do nich zostaje zastosowana.

V

Moralność wtedy przestaje być kwestją szkół, staje się rzeczywistą zasadą działal-

ności ludzi żyjących, kiedy opuszcza grunt czystej teorii, przemawiającej tylko do rozumu. Idea staje się skuteczną tylko wtedy, gdy się łączy z uczuciem do tego stopnia, że się od niego przestaje różnić. Między uczuciem a ideą pośrednikiem bywa obraz, który samorzutnie, przez to samo, że się dokładnie przedstawia i utrwała, dąży do urzeczywistnienia się. Prawdziwa propaganda rozpowszechnia się przez zaraźliwe przykłady bohaterów i świętych. Uczniowie Epikura czytają raz po raz życie mistrza: cnoty jego są obrazem jego nauki w uczynkach, które same przez się wołają o naśladownictwo. Jako środek do zostania stoikiem więcej niż traktat Chryzypa warta wytrwałość Kleanta, który w ciągu nocy zapomocą pracy niewolniczej zdobywa pieniądze, które pozwalają mu słuchać lekcji Zenona, mających wyzwolić jego duszę. Przeto nic nie wydaje mi się właściwszym do wykazania, jak, wbrew pozorom, jesteśmy dalecy od ideału chrześcijańskiego, niż wrażenie, które czyni na nas życie świętych, wyobrażające ten ideał zapomocą żywego obrazu.

Czytajcie Platona Apologję czyli śmierć Sokratesa, czytajcie podręcznik Epikteta, pamiętniki cesarza Marka Aureljusza, spisywane pod namiotem dzień za dniem, znajdziecie się w towarzystwie ludzi, którzy są tym, czym

wy, którzy przebywają w tym samym, co wy, świecie, których doświadczenie osobiste zgadza się z waszym. Ponieważ są do was podobni, możecie się czegoś od nich nauczyć, odczytując ich dzieła doznajecie wzruszenia moralnego, w obcowaniu z nimi nabieracie wyższego uczucia godności ludzkiej. Dusza Taine'a na przykład, może odnaleźć w duszy Marka Aureljusza najlepszą swą część. Wtedy nawet gdy opieracie się im, ulegacie ich wpływowi. Otwórzcie teraz *»Życie Ojców Świętych na pustyni«*, *»Złotą Legiendę«* lub nawet samo *»O naśladowaniu Jezusa Chrystusa«*; te książki, które były książkami ulubionymi ojców naszych, które ich budowały, które oni uważali za najdoskonalsze podręczniki życia chrześcijańskiego, wy nie znajdujecie w nich ani swego ideału moralnego, ani swoich pobudek działania, ani swego sposobu myślenia. Świat, w którym przebywacie, nie ma nic wspólnego ze światem uludy, w którym przebywali ci święci; myśl o naśladowaniu ich wydałaby się wam najdziwaczniejszą fantazją. Znam te stare księgi, czytuję je i, przyznaję, lubię je, lecz czytuję je jak opowiadania lub bardzo stare poematy, dla zaspokojenia ciekawości zupełnie świeckiej, żeby przenieść się w inne kraje, żeby rozszerzyć zakres swego doświadczenia przez wywołanie form minionych.

Jeszcze w XVII wieku tłumacz *»Żywotów Ojców Świętych na pustyni«*, jansenista Arnold d'Andilly niestrudzenie wynosił »tych godnych podziwu samotników, którzy porzucili świat, zamieszkany przez ludzi, żeby szukać nowego, który dotychczas nie był mieszkalny i mieszkać w nim jak Jezus Chrystus ze zwierzętami i aniołami«, nie zapominając o demonach, które są ich zwykłymi towarzyszami i znajdują złośliwą przyjemność w wyrządzaniu im najgorszych psot. »Jacy chrześcijanie, jeżeli nie są zepsuci, jak na duchu, tak w obyczajach, mogą nieczule patrzeć na tych cudownych pokutników, którzy za życia pogrzebali się w grobach lub suchych cysterbach, którzy równie wymyślnie przykładali się do umartwiania swych ciał zapomocą różnych surowości, jak inni pogrążali swoje we wszelkiego rodzaju rozkoszach.« Istotnie, jeżeli ci pustelnicy są »najczystszy i najdoskonalszy wzorami wszelkich cnót chrześcijańskich i religijnych«, jesteśmy zmuszeni uznać, że te cnoty już przestały odpowiadać naszemu pojęciu o życiu, że są dla nas raczej ciekawymi, niż budującymi przedmiotami.

Ojcowie Pustelnicy sprowadzają wszystkie cele życia teraźniejszego do jedynego celu: zbawienia własnej duszy, zdobycia szczęścia wiecznego. Groźna alternatywa trzyma ich w ciągłej trwodze: raj lub piekło, szczęśli-

wość bez końca wybranych lub ciągle odnawiające się tortury potępionych. W porównaniu z tą wizją wieczności nasza egzystencja sprowadza się do momentu i właśnie w ciągu tego momentu decyduje się nasz los na wieki. Mądrość polega na unicestwieniu tej nicości we własnej myśli, na tym, żeby już tutaj na ziemi żyć życiem zupełnie duchowym, zakosztować, przez pogardę dla wszystkich dóbr znikomych, rozkoszy prawdziwego dobra, żeby szukać zdala od grodów i miast obecności Boga i towarzystwa aniołów. Wielką przeszkodą do doskonalenia się jest zepsucie natury do głębi przez grzech pierworodny, są skłonności, które popychają nas do przenoszenia swej miłości ze stwórcy na stworzenie, na wszystko, co schlebia naszym zmysłom, na bogactwo i ludzi, rodziców, przyjaciół i współobywateli. Wszystkie te skłonności tkwią w naszym ciele, w nim to powinniśmy na nie natrzeć. Ciało jest współnikiem djabła, narzędziem zguby, wrogiem. Nie mogąc zniszczyć go jednym uderzeniem, co by było wielką zbrodnią, pustelnik obchodzi się z nim tak, jakby go nie było, surowością ascetyzmu robi z niego nic. Ciało potrzebuje pożywienia i snu, wycieńcza się je postami i czuwaniem; potrzebuje ruchu, zamyka się je w jakimkolwiek opuszczonym grobie, wybudowanym przez kogoś i skazuje na mękę nieruchomości. Wielki

święty Antoni, »uważając jak znikome jest życie doczesne, jak szlachetna zaś dusza, wstydził się, gdy był zmuszony jeść, oddać się snu dla wypoczynku i że jest poddany innym potrzebom ciała... Nie mył się nigdy, nie umywał sobie nigdy nóg, chyba jeżeli był zmuszony przechodzić przez wodę i nigdy go nie widziano nago, oprócz dnia, gdy go składano do grobu.«

Życie pustelnika jest ustawicznym rozmyślaniem o śmierci, w życiu widzi tylko godzinę ostatnią, która rozpoczyna wieczność. Gasi wszelkie uczucia, które wiążą go z rzeczami ziemskimi, ucieka od ludzi i od ich próżnych zajęć; zamyka się w żalu za grzechy, które popełnił lub w obawie przed grzechami, które może popełnić, szuka wszelkich okazji, któreby go mogły upokorzyć; chce być posłusznym, nie posiadać własnej woli, poświęcić wszystko ze siebie; wszystkie dni jego są dniami pokuty, w ciągu nich zaś godzinami szczęścia te, kiedy łzy wytryskają z oczu, jak ze źródła niewysychającego (dar łez). W ten sposób prawdziwy chrześcijanin »zadaje bezustannie gwałt naturze..., wyrzeka się wszystkiego, gardzi wszystkim, wyśmiewa się ze wszystkiego, odrzuca wszystko.« Męczennicy przecierpieli mękę, trwającą tylko kilka godzin; Ojciec Pustelnik w każdej czynności organizmu, w każdej potrzebie, w każdej skłon-

ności przyrodzonej znajduje okazję do męki, przedłużającej się przez cały czas egzystencji.

Ekscentryczności tych pocziwych pustelników przenoszą nas w świat fantastyczny, rozwiewający się wraz z ułudą, która go zrodziła. Ludzie, którzy spędzili żywot na poufałym obcowaniu z demonami i aniołami, których cnoty i modły dzięki cudom ustawicznym odwracały naturalny bieg rzeczy, nie mogą niczego nauczyć ludzi, poddanych determinizmowi przyrodzonemu i skazanych na towarzystwo podobnych do siebie. Podziwiamy ich tylko dlatego, że nas zadziwiają. Wyłączne poszukiwanie zbawienia indywidualnego jest zamaskowanym egoizmem, który w tych dezterach z życia społecznego nie ma na swe usprawiedliwienie problematycznego interesu kolektywnego. Jeżeli cel, do którego się dąży, jest zupełnie osobisty, jeżeli odosabnia duszę i czyni ją uboższą, środki, użyte do jego osiągnięcia, są dla nas tylko świadectwem, do jakich zboczeń może dojść umysł ludzki. Manja prześladowania samego siebie jest najpróżniejszą z próżności. Jeżeli człowiek stworzył Boga na swój obraz, Bóg, który znajduje okrutną przyjemność w patrzeniu na ludzi, jak pozwalają się pożerać robactwu, jak wystawiają się na żar słoneczny i surowość zimna, jak kaleczą swe piersi, że aż z nich krew bucha, jak wołają

i jęczą, aż im język z ust jak psom zwisa,¹⁾ zdaje się, może się zrodzić tylko w fantazji mózgów obłąkanych. Ideał nie polega na kalczeniu natury, lecz na podnoszeniu jej, a to przez wyciskanie na niekształtnej masie skłonności piętna jedności myśli harmonijnej, która godzi te skłonności i zaprowadza między nimi hierarchję. Zastrzegamy się bardzo co do królestwa niebieskiego, lecz jesteśmy pewni, że w społeczeństwie ludzkim niema życia moralnego tam, gdzie niema pracy. Ktokolwiek usuwa się od życia społecznego, świadomie lub bezwiednie przygotowuje cofanie się do stanu zwierzęcości; wyłącza się z tego, co czyni człowieka ludzkim, opuszczając samą ludzkość.

Nauka pokazała nam, co warta metoda, która źle się obchodzi z ciałem, umartwia je, wycieńcza pod pretekstem, żeby duchowi ulżyć ciężaru materji. Dualizm ten rozdziela to, co z konieczności musi być połączone. Ponieważ Ojcowie Pustelnicy o tym nie wiedzieli, byli ciąglą igraszką swej chorobliwej fantazji, i przykłady ich należą raczej do medycyny niż do etyki. Ich pokusy, złe myśli, zmory nocne przeistaczały się w wi-

¹⁾ *Życie Ojców Świętych na pustyni*, t. I. Święty Jan Klimak. Drabina święta czyli stopnie do nieba. Stopień V: Pokuta.

dziadła wszelkiego rodzaju i zaludniały ich samotność legjonami djabłów. Święty Antoni zbadał wszystkie sztuczki demonów i opisał je dla uczniów na kartach, które stanowią wyczerpującą monografię tego obłędu swoistego. Halucynacje wszystkich zmysłów, dotyku, powonienia, słuchu, wzroku; walka z djablami, którzy obsypują samotnika gradem uderzeń; zjawianie się potworów, smoków, ludzi lub wielbłądów olbrzymich; przywoływania niewiast bezwstydných, wabiących do rozkoszy; mowy pochlebne, groźby i dyskusje, to wszystko jest zmorą ustawiczną, marzenie i rzeczywistość zlewają się i przenikają w te mózgi anemiczne, w których wszystko, obrazy i wrażenia, płynie i zlewa się w jedno.

Że w społeczeństwach zepsutych ten nadmiar surowości obyczajów mógł być gwałtowną reakcją przeciw nadużyciom wyrafinowanej zmysłowości, zbawiennym w pewnym znaczeniu kryzysem, wywołanym jakby uczuciem nudności, o to spierać się nie będę; że poddawanie sobie różnych uczuć przez tych świętych nie jest pozbawione oryginalności, że było nie tylko związane ze stanami uczuciowymi niższego rzędu, lecz także z ideami i uczuciami porządku wyższego, które ono utwierdzało i potęgowało, to przyznaję, lecz byśmy w tych ekscentrycznościach mogli znaleźć przedmiot do zbudowania się, temu przeci-

Troski pocziwego świętego Antoniego, sprowadzają się dla mnie do proporcji teatru marionetek. Djabli zapożyczają często naiwności i prostoty od swoich świętych ofiar. Pachom miał zwyczaj chodzić na modlitwę w miejsca ustronne; często się zdarzało, że kiedy powracał, demony, jakby na śmiech, kroczyły przed nim w szeregu, jak się kroczy przed dostojnikiem, i mówiły do siebie: »Miejsca dla człowieka Bożego.« Pewnego dnia wielu djabłów, wzięwszy się za ręce, przywiązali, tak mu się zdawało, grube postronki do liścia na drzewie, i stanąwszy szeregiem z jednej i drugiej strony, ciągnęli za nie z największym wysiłkiem, »a czyniły to te duchy nieszczęsne dlatego, żeby go pobudzić do nadmiernego śmiechu widokiem tak śmiesznej czynności, i następnie wyrzucać mu ten śmiech.« Oto jak sobie poczynają djabli; zamiast śmiać się »Pachom jęczał w sercu swym nad ich bezwstydem«, lecz monotoność jego egzystencji na chwilę została przerwana tym widowiskiem niespodziewanym. Jakież może być potężniejsze świadectwo, że ludzie potrzebują żyć w społeczeństwie, niż przykład tych samotników, którzy udają się na pustynię tylko po to, żeby ją zaludnić istotami, pomimo wszystko dotrzymującami im towarzystwa!

Księciem, bohaterem, Achillesem tej po-

bożnej armji jest osławiony Symeon Stylita. Brak wyrazów na uczczenie tego sługi Boskiego, który »z niezmienną wytrwałością kolumny, wytrzymywał żar słoneczny i wszelkie zmiany pór roku,... ten orzeł miłości Boskiej, tak pragnący ulecieć w niebiosa, że się osiedlił w obłokach.« Życie jego jest ustawicznym cudem; gdyby nie wrzód, przegryzający udo, możnaby go wziąć za czystego ducha: jest to anioł ziemski, anioł wcielony. Pierwszy jego czyn pozwala przewidywać, jak wielka czeka go przyszłość: ściąga wkoło swego ciała sznur od studni z taką siłą, że wrzyna się on w ciało aż do kości, przegryza je i gnoi. Bracia idą na skargę do przeora: »ten człowiek pości od jednej niedzieli do drugiej, a od ciała jego wieje taka dziwna smrodliwość, że nikt nie może się do niego zbliżyć, robactwo odpada mu od ciała gdy chodzi, a łóżko jest jego pełne.« Wypędzony z klasztoru, zamyka się w wyschłej cysternie, »która była pełna djabłów.« W ciągu trzydziestu dwóch lat pozostaje nieruchomy, stojąc na kolumnie, którą stopniowo podniesiono do wysokości czterdziestu łokci, i cały rok, jeżeli należy wierzyć jego uczniowi Antoniemu, utrzymuje się na jednej nodze. Ten cudowny pościiciel »przez czterdzieści dni wstrzymuje się od jedzenia, i to nie raz tylko jak Eljasz, nie dwa jak Mojżesz, lecz dwadzieścia ośm razy i dwa-

dzieścia osiem lat z rzędu w ciągu czasu świętego postu, ustanowionego przez Kościół. «Sztuki tego akrobaty mistycznego, który piętna historyczne podnosi do rzędu łask Bożych i który wychodzi ze swego stanu zezwierżenia tylko po to, żeby za pośrednictwem Teodozjusza odwołać edykt tolerancyjny względem Żydów, wydany przez rządcę Antyjochji, nie wzbudza w nas innego uczucia oprócz niesmaku. O ileż przekładam wdzięczne i lekkomyślne jałmużny świętego Jana Jałmużnika; historję pocziwego pustelnika Abrahama, który, powodowany tkliwością ludzką przebiera się za żołnierza, udaje rozpustnika, żeby uwolnić z domu publicznego swą siostrzenicę, która od dwóch lat zajmowała się rzemiosłem kurtyzany; i piękne opowiadanie o pogrzebie pierwszego pustelnika Pawła, urządzonym przez pocziwego świętego Antoniego, na którym widzimy djabłów, aniołów i zwierzęta, kruka, przynoszącego w dziobie cały chleb i dwa lwy, które na przód wydają głośnie porykiwania na znak, że oplakują starca, potem wykopują dół i ze spuszczonego łbami, strzygąc uszami, przychodzą do błogosławionego Antoniego prosić o błogosławieństwo. A Antoni naprzód wygłasza nieskończoną chwałę Jezusowi Chrystusowi, »za to, że nawet zwierzęta, nie posiadające rozumu, mają pewne poczucie boskości«, następnie, nie dużo myśląc o konsekwencjach

swego życzenia, mówi: »Panie, bez którego woli nie spada liść z drzewa, ani nie umiera najmniejsze ptaszę, daj tym lwom to, co uważasz dla nich za niezbędne.«

W *Żywotach Ojców Pustelników* widzimy jeszcze istoty, zachowujące pewne podobieństwo ludzkie; pomimo obcowania z djabłami, cudów i pewnego rodzaju fantasmagorji, malowanych dokoła nich przez chorobliwe halucynacje, trzymają się one jeszcze ziemi. »*Legienda złota*«¹⁾, która była tak czytowana i w której tak gustowano, tak lubiana w wiekach średnich, przenosi nas w krainę czystego zmyślenia. Te żywoty świętych następują po sobie i są do siebie podobne, jak baśnie z tysiąca i jednej nocy: jest to pewien rodzaj feerji mistycznej, w której wszystkie prawa natury i prawdopodobieństwa są obalone. Pewna dziewica chrześcijańska budzi pożądanie w wielkim magnacie pogańskim, wyzywa i znieważa złego bałwochwalcę, skazana, bez szkody dla siebie przechodzi przez płomień, piersi jej rozerwane rozpalonemi do czerwoności szczypcami, zraśtają się w ciągu nocy, strzały, wypuszczone na nią, trafiają w oko tyrana, aż wkońcu, wskutek dziwnej niekonsekwencji Opatrzności, głowa

¹⁾ »*Legienda złota*« jest to zbiór żywotów świętych, ułożony w XIII wieku przez św. Jana z Voragine (około r. 1230), zmarłego w roku 1298 na stanowisku arcybiskupa gienueńskiego.

jej spada pod toporem kata, jak głowa ostatniego z śmiertelnych. Zanim były zebrane, legiendy te obiegały z ust do ust, żyły w imaginacji ludowej. Lud włożył w nie swoją beztroskę o rzeczywistość, swoje zamilowanie w cudowności, marzenie o świecie, przekształcające go, ale nie zaprzeczające, w którym panuje sprawiedliwość. Żeby się pocieszyć po ziemi, na której niesprawiedliwość posiada siłę i na której siła zawsze zwycięża, ucieka się do wyobraźni i w wyobraźni przypisuje cnotom w osobie świętych pewien rodzaj wszechmocy. Żywot każdego świętego kończy się wyliczeniem jego cudów pośmiertnych, najdziwniejszym zbiorem historii usypiających, jaki kiedykolwiek był zebrany: lecz pod temi dziecinnemi anegdotami odnajduje się wiarę głęboką, iż dobro posiada siłę niezwyciężoną, która bierze górę nawet nad koniecznością praw przyrodzonych. W tym zbiorze znajduje się nie jedno opowiadanie, nie będące czym innym, tylko ładną baśnią, jak oto legenda o dobrym olbrzymie Krzysztofie, tak często obierana za kanwę do utworów przez artystów wieków średnich. Jak pojęcie o wszechświecie, tak samo idea o człowieku jest dziecinnie prosta, jak psychologja dramatu ludowego: djabeł pod swemi tysiączeniemi przemianami jest zdrajcą, który pomimo swych tysiącznych wybiegów wkońcu zawsze bywa odparty i zwyciężony; bohaterzy, na

których zastawia swe sidła posiadają wszystkie cnoty, wychodzą zwycięsko ze wszystkich pokus, ze wszystkich prób, i wkońcu wstępują do nieba w chwale ostatecznej. Trudno nam odczuć pociąg, który wywierały te krótkie powieści źle skomponowane i nużące jednostajnie. Lecz chociażbyśmy pozostali wrażliwi na naiwny wdzięk tych krótkich opowiadań, napróżnobyśmy się starali brać je na serjo i szukać natchnienia moralnego w tych fikcjach, nie mających żadnego zastosowania do życia rzeczywistego, pełnych fantastycznych istot, poruszających się w środowisku nadprzyrodzonym.

Wiem, jaka odległość dzieli *O naśladowaniu Jezusa Chrystusa* od *Legiendy złotej*. Wydaje się, że bardzo trudno utrzymywać, iż ta mała książeczka, której od wieków nie przedstawiano czytać, nad którą nie przedstawiano rozmyślać, nie ma już dla nas znaczenia, ponieważ odpowiada uczuciom, które stały się nam obce. *Naśladowanie* zachowuje prawdę względną, która znajduje się w zasadzie wszelkiego mistycyzmu. Mistycyzm jest reakcją uczucia i wolności wewnętrznej przeciw formalizmowi; obrządkom przeciwstawia połączenie wprost duszy z Bogiem, powadze, dogmatom nawet, wszystkiemu, co jest przesadą, rutyną, czystym automatyzmem, wiarę, szczerość, radość serca gorliwego, które nie-

ustannie odtwarza Boga w swej miłości. Gwałty, których dopuszcza się asceta na swym własnym ciele, mają w sobie coś materialnego i brutalnego, co nas odtrąca; mistyk myśli tylko o oczyszczeniu swego serca, o tym, żeby uczynić z niego prawdziwe sanktuarjum Tego, którego kocha i od którego, w ostatniej instancji, nie odróżnia się, jeżeli jest prawdą, że cała jego istota jest pochłonięta przez miłość Boga i że miłość nie pozwala wkońcu odróżnić kochanka od kochanego. Psychologja Naśladowania jest głęboka i delikatna: widać z niej człowieka »duchowego«, który z oczami, zamkniętymi na rzeczy zewnętrzne, skupia się i obserwuje, ustawicznie stoi na straży własnych myśli i uczuć, a dlatego odróżnia ich przejścia i odcienie. Wie on, że wiara w siebie i brak odwagi, radość i przygnębienie, godziny łaski i pokusy, następują kolejno po sobie, zna on niebezpieczeństwo rozpacz, które powiększa samotność, myśli posępne, które przebiegają przez umysł jak chmury, brzemienne burzą, pogrążają w wątpliwościach i ciemności, i zna on także środki na to, cierpliwość, rezygnację, słodycz, sztukę nie zatrzymywania się nad temi stanami, nie powiększania ich i nie utrwalania przez zwracanie na nie uwagi, odwracania od nich myśli, lub upatrywania w nich doświadczeń zbawiennych. Rytm życia uczuciowego, któ-

rego ton bez przyczyny widocznej z kolei to podnosi się, to obniża, wznosi nas lub przybija, pozostaje prawem życia moralnego, niezależnie od ideału, któremu hołdujemy. Dobrze też, — ponieważ jesteśmy skłonni o tym zapominać, — że przypomina nam tę prawdę, iż powinniśmy w sobie urzeczywistnić dobro moralne, które chcemy widzieć urzeczywistnione zewnątrz siebie. Nie liczymy zbyt na egoizm, na strach, na interes: można się obawiać, że nie zdziałają tego w przyszłości, czego nie mogły uczynić dawniej. Jeżeli chcemy, żeby sprawiedliwość panowała w stosunkach społecznych, niechże najprzód sprawiedliwość stanie się naszą cnotą wewnętrzną; jeżeli chcemy, żeby pokój panował między ludźmi, zróbmy swe serca pokojowemi: »Zaczynajcie od pewnego ustanowienia pokoju wewnątrz siebie samych, a następnie będziecie mogli dostarczyć pokoju innym.« (II, 3). Rozum kolektywny będzie mógł coraz i coraz lepiej przewidywać okazje konfliktów i zapobiegać im; prawa zawsze będą mogły tylko ograniczyć zakres i złagodzić formy nienawiści i wojny.

Lecz psychologiczne czy etyczne, prawdy, które znajdujemy w Naśladowaniu, są ogólniejsze, niż sama doktryna życia w nim wyłożona: bynajmniej one nie zależą od niego, raczej od niego odrywają. Nie wiemy, co począć

z etyką, której ideałem jest życie klasztorne i cnoty zakonne. Jaki jest cel, któremu autor Naśladowania podporządkowuje wszystkie swe myśli i czyny? jego zbawienie osobiste; nie chce »myśleć o niczym innym, tylko o Bogu i o swoim zbawieniu«, pragnie »zabiegać koło swego zbawienia z całą swobodą umysłu.« Jaka pobudka daje mu siłę do pełnienia tych trudnych cnót? Także troska o zbawienie, nieustanny niepokój o wyroki przyszłości, nadzieja nieskończonego szczęścia, unicestwiającego wszystkie nasze dobra znikome, obawa mąk »bez wytchnienia i pociechy«, które czynią lekkimi nasze próby jednodniowe. Prawdziwym życiem nie jest życie teraźniejsze, lecz życie wieczne. Cała mądrość polega na rozpamiętywaniu śmierci, które odrywa nas od wszystkiego, co powinno umrzeć, pozostawia w nas przy życiu tylko to, co, będąc poza przestrzenią i czasem, czyni z nas obywateli królestwa niebieskiego.

Jest to ten sam ideał wybiegania naprzód ku śmierci przez gwałt, zadawany naturze, utożsamianej z grzechem: »Święci Ojcowie Pustelnicy zostali dani przez Boga jako wzory wszystkim ludziom religijnym.« (I, 18). Złudzenie, które jest matką wszystkich innych złudzeń, polega na tym, że wskutek swoich skłonności przywiązujemy się do stworzenia:

»Ten jest prawdziwie mądry, kto patrzy na wszystkie rzeczy ziemskie jak na nawóz, który przygotowuje dostanie się do Jezusa Chrystusa.« Po cóż więc wiedza, po co karmić swój umysł próżną znajomością rzeczy przemijających? »W dzień sądu nie będą pytać nas, cośmy czytali, lecz cośmy uczynili.« Kochamy wszystko, co jest wstrętne dla człowieka cielesnego, pokorę, łzy, poniżenie: »Wielka to korzyść żyć w posłuszeństwie, mieć przełożonego i nie być panem swoich czynów.« Przedewszystkim kochajmy milczenie, szukajmy samotności, żeby się w niej modlić i płakać: »Zachowujmy się na ziemi, jak podróżnik i cudzoziemiec, który nie ma nic wspólnego ze sprawami tego świata«; oddzielmy się od społeczeństwa ludzkiego, wystrzegajmy się zarazy jego przykładów i grzechów, wystrzegajmy się dumy, tej skłonności przyrodzonej, która usposabia nas do tego, żebyśmy byli kochani i uwielbiani przez siebie podobnych: »Żeby stać się człowiekiem wewnętrznym i duchowym, trzeba się wycofać z tłumu,... najwięksi święci, ile mogli, unikali ludzi i wybierali służbę Boską w samotności.«

Nie przystoi mówić lekko o starym nieznanym mnichu, który w ciasnym okręgu swej celki z oczami zamkniętymi na piękne obrazy z własnego bogactwa duszy potrafił wydobyć skarb uczuć i wzruszeń, zaludniając

cych jego samotność i odkrywających mu tajemnicę wielkiej miłości (III, 5). W porównaniu z nim, ci śpieszący się chrześcijanie, biegający za wszystkim, co im mignie przed oczami, sprawiają wrażenie nieświadomych szalbierzy. Lecz ideał jego nie może być naszym: jego wyłączna troska o doskonalenie się indywidualne, odosobnienie, oddalenie się od ludzi, dążenie do tego, żeby żyć wyłącznie w towarzystwie Boga i aniołów, niepokój o własne zbawienie, nawet jego miłosierdzie wydają nam się wyrafinowanymi formami tego wyjątkowego egoizmu, który pociąga świętych, uczonych lub mędrców do spekulacji lub marzeń. Nie przeczuwając tego, pocziwy zakonnik wszystkie cnoty ściąga do siebie samego: »Żeby używać pokoju i prawdziwej łączności z Bogiem, trzeba, *żebyście baczyli tylko na siebie samych, za nic mając resztę.*« (II, 5). Pod licznymi postaciami, czy to w celi mnicha, czy w laboratorium uczonego, czy w pracowni artysty lub gabinecie filozofa, mistycyzm nie przestaje być wielką pokusą. Czuwa się nad swoją duszą, oddala się od niej wszystko, co by ją mogło upokorzyć, karmi się ją pięknymi formami, pięknymi myślami i pięknymi uczuciami, odziewa się ją w czystość i mądrość, i tak przystrojona prowadzi się do najlepszego towarzystwa, do raju Boskiego, napełnionego chórem anielskim, do myślnego

nieba Prawdy i Piękności, zamieszkanego przez pogodne idee i prawa. Ta moralność jest to tylko sztuka kaleczenia życia pod pozorem, że zachowuje się z niego tylko formy najwyższe. Należy zgodzić się na życie i przeżyć je całkowicie. Nasza moralność jest mężna i prosta; zdarza się, że miewa ręce twarde, i godzi się na złą kompanję, przez to chce powiedzieć, na towarzystwo ludzkie. Nie zawiera się wyłącznie w rozpamiętywaniu doskonałości i wieczności, naraża się na widok zła i brzydoty, żeby je zwalczać i nad niemi tryumfować. Nie trzyma ustawicznie rąk złożonych do modlitwy, obraca twardemi narzędziami, pracuje, orze, odwraca ziemię, żeby jej powierzyć nasienie przyszłych zniw.

Jeżeli naśladowanie Jezusa, takie, jakie wymarzył mnich z XIII wieku, uległo temu prawu czasu, któremu nie ludzkiego oprzeć się nie może, sam Jezus nie zostałże równie żywy w swych słowach i czynach z Boskim przywilejem wiecznej młodości? Jeżeli stare księgi, które budowały niegdyś chrześcijan, dziś budzą tylko ciekawość erudytów, to Ewangielje nie sąż księgą doskonałą, księgą, której nasza mądrość nie może zgoła ująć wdzięku i skuteczności moralnej.

Szacunek dla wierzeń, których się nie podziela, nie może dochodzić do obowiązku kłamania przed sobą i innemi. Nie jest moim

zadaniem wchodzić w szczegóły pięknych prac z egzegiezy nowoczesnej, oddzielać mitu i legiendy od historii, doszukiwać się, kiedy w jakich okolicznościach, na zasadzie jakich dokumentów nasze Ewangelje zostały ułożone. Przyjmuję je poprostu i naiwnie, tak jak nam je podają, nie troszcząc się o złożone zagadnienia, które nasuwa ich układ, i mając przed sobą teksty, używając swego własnego sądu, zapytuję siebie, co im zostało z prawdy i z wpływu na dusze ludzkie wobec postępu nauki i sumienia ludzkiego. Nie tyle czytuje się Ewangelje, ile głosi się ich chwałę. Weźcie jedną z Ewangelji synoptycznych, czytając ją, pominięć to, co dziś jest dla nas obojętne lub nawet obraża nasze sumienie, pominięć genealogje, cuda, niektóre parabole, opuśćcie też krótkie opowiadania, upiększone później poezją i obrazami wdzięcznemi, czarującemi fantazję, będziecie zdziwieni, że mały tomik ścieniał tak, iż zostało z niego kilka kart zaledwie. Lecz jakkolwiek mało wiemy z rzeczywistej historii Jezusa Nazarejczyka, z tych kart wyziera postać moralna, której czar nie przestanie wywierać działania, czyste sumienie, które w swej gienjalnej niewinności, wyższe nad przesady rasowe i nasze własne, odkrywa nam i objawia tajemnice sumienia ludzkiego.

Jeżeli wyrzekamy się wolności interpreto-

wania mitów, jeżeli bierzemy je dosłownie, druga osoba Trójcy, Logos wieczyste, nie interesuje nas więcej, niż hipotezy metafizyki aleksandryjskiej. Nie mamy nic wspólnego z tą istotą wyższą, która zstępuje na ziemię, żeby odegrać komedię ludzką, przedstawić kuszenie, mękę i śmierć: nie możemy niczego nauczyć się od niej. Jeżeli życie moralne ma w sobie coś tragicznego, to dlatego, że wypadki są na serjo i rozwiązanie nie pewne.¹⁾

Nie więcej niż Bóg, interesuje nas w Jezusie Żyd. To, co w Ewangeljach jest właściwie żydowskiego, co przypomina dumę tego małego narodu, jego pretensję do tego, że jest narodem ze wszystkich wybranym, wydaje się nam śmiesznym. Jezus podziela przesady swego narodu. Mówi on do niewiasty chanaanejskiej: »Posłany zostałem tylko do owiec z domu Izraela, które się zbłąkały.« I dodaje słowa surowe i raniące: »Nie sprawiedliwie jest odbierać chleb dzieciom i rzu-

¹⁾ To prawda, że jedynie Ewangelja Czwarta (Jana) przypisuje Jezusowi charakter metafizyczny i utożsamia go z Logos. W synoptycznych Jezus nigdy nie podaje się za Boga, za identycznego lub równego Bogu, co by bez wątpienia wydawało mu się, jak każdemu Żydowi, najokropniejszym bluźnierstwem. Nie chce nawet, żeby nazywano go dobrym. »Dlaczego nazywacie mnie dobrym? Bóg tylko jest dobry.«

cać go psom.« Podziela też przesąd żydowski w chwili, gdy się zeń wyzwala i ogłasza nawrócenie narodów. »Czyście czytali w Piśmie: *kamień, który był odrzucony* (poganie) przez tych, którzy budowali, stał się kamieniem węgielnym.« Oczekiwanie Mesjasza jest jedną z form złudzenia, która doprowadza Izraela do uważania się za ulubieńca Wiecznego. Syn Dawida, król żydowski, Mesjasz, przychodzący zwiastować blizki dzień Jehowy, w którym gwiazdy będą spadać z nieba jak lampy zawieszane u niebieskiego sufitu ziemi, ten bohater, doznający nadzwyczajnych przygód, narodzony z dziewicy, wykarmiony przez aniołów, wskrzeszający zmarłych, wstępujący do nieba i zanim minie jedno pokolenie, mający zjawić się na obłokach w blasku chwały, ten Jezus, chociaż żyje w naszej wyobraźni, stał się obcym naszemu sumieniu.

Jeżeli nie może interesować nas to, co w Jezusie jest tylko przesądem i zabobonem jego ludu, to co powiedzieć o długich opowiadaniach, o cudach, które znajdują się we wszystkich synoptykach, które, mianowicie, tak przeciążają Ewangelię apostoła Marka, — tę, którą nam podają za najstarszą, — że prawie ją całą zajmują. Cud, który długo podawano jako dowód doktryny, dziś kompromituje ją. Filozofowie napół chrześcijańscy, którzy dla tym większego uczczenia Jezusa wyobrażają go

sobie na swój wzór, wypowiadają przypuszczenie, iż łatwowierność ludowa przypisała mu czyny, na które on się nie godził. Faryzeuszom, którzy, żeby uwierzyć, domagali się od niego »znaku z nieba« (Św. Marek, VIII, 12), wszak odrzekł z gniewem: »Zaprawdę, powiadam wam, nie będzie dany znak narodowi temu.« Możliwe jest też, że wdzięczna parabola nieraz była zmieniana w cud przeciwny rozumowi (rozmnóżenie chlebów). Lecz Jezus nie był ani uczonym, ani filozofem, nie znał innego prawa świata nad wolę swego ojca i wierzył dosłownie, że wiara przenosi góry. Oryginalność jego polega na tym, że mógł zlać w jedną postać harmonijną cechy, których my nie potrafimy już pogodzić. Tym nie mniej jest prawdą, że doznajemy prawdziwej boleści, widząc moralistę z kazania na górze, poniżającego się do roli cudotwórcy i znachora, zmieniającego wodę w wino, przecierającego śliną oczy niewidomemu, chodzącego po morzu, wskrzeszającego zmarłych, kroczącego po ulicach pośród tłumu ludzi, którzy »prosił go, aby się dotknęli choć kraju szaty jego: a ile się go dotknęło, zdrowemi się stawali.« (Św. Marek, VI, 56.) Wiemy aż nadto dobrze, jakie to towarzystwo iluminowanych i szarlatanów, kompromituje Jezusa podobnemi cudami.

Co powiedzieć, jeżeli w cudzie nie zawiera się nic nadzwyczajnego oprócz nadzwyczaj-

nej śmieszności! Gdy Jezus przeszedł jezioro Tyberjadzkę, człowiek, opętany przez ducha nieczystego, wyszedł z grobów, gdzie miał mieszkanie i zabiegał mu drogę (Św. Marek V, 1—17). Djabł, nieroztropny, zamiast zamilknąć, korzy się i błaga: »Co mnie i tobie, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Poprzysięgam cię przez Boga (!), abys mnie nie męczył.« Dziwny djabł! Jezus pytał go tedy: »Co za imię masz?« A ten djabł dowcipniś odpowiada pewnego rodzaju kalemburem: »Imię mi wojsko: albowiem nas jest wiele«; i prosi go bardzo, aby ich nie wyganiał z krainy. »A było tam przy górze wielkie stado wieprzów na paszy. I prosili go czarci, mówiąc:

Puść nas w wieprze, abyśmy w nie weszli.« Nie przewidując konsekwencji tego ustępstwa, tak przynajmniej chcę wierzyć, »natychmiast im dopuścił Jezus. A wyszedszy duchowie nieczyści, weszli w wieprze: i wpadło stado wielkim pędem z góry w morze, około dwu tysięcy, i potonęli w morzu.« Stado napewno utonęło, lecz djabli? Jakkolwiekby było, wieprzarze uciekli, biegnąc z wieścią do blizkiego miasta, a nie żądając odszkodowania, mieszkający prosili strasznego czarownika, żeby wyszedł z ich kraju. Przerazenie zapewne zapobiegło temu, że go nie zamordowali.

Dyskutować, opierać się, rozwiewać mit, legendę, wszystko, co stanowi ozdobę prawdy,

wszystko, co jej dodaje wdzięku zmysłowego, zbliża ją do piękna i pozwala sztuce używać jej swoich czarodziejstw, czyby to nie znaczyło utracić najlepszą część Ewangelji, to, co prawdziwie oczarowało ludzkość? Żeby rozkoszować się legendą, nie należy jej brać ciężko a dosłownie, trzeba pozwolić odżyć jej w swojej fantazji, przenieść się w nią, stać się w niej symbolem nowych myśli. Lecz Jezus według sumienia nowoczesnego, ten, który w naszym języku do nas mówi o nas samych, o naszych obowiązkach, i po dawnemu jest naszym wzorem, jest to Jezus, następca wielkich proroków, który tylko rozszerza ich myśl, oczyszczając ją z nacjonalizmu; który bezustanku powtarza wielkie słowa, włożone przez Ozeasa w usta Jehowy: »Ja chcę miłości, nie ofiary«; wróg wszelkiego formalizmu, człowiek z sumieniem wolnym, który przeciw powadze wzywa »tego światła, które jest w każdym, i zaciemnić się nie powinno«, który przepisom prawa przeciwstawia uczucie wewnętrzne, który, przestępując obrządki i dogmaty, czyni z religji życie nie zaś automatyzm, oparty na świętych i magicznych giestach. Jezus według sumienia nowoczesnego jest przeciwnikiem Faryzeuszów, ku zgorszeniu Faryzeuszów wszystkich czasów obwieszczającym, że »sabat jest ustanowiony dla człowieka, nie zaś człowiek dla sabatu«; jest tym, który walczy z kap-

łanami, potępia »ludzi w długich sukniach, którzy pod pretekstem modłów pożerają domy wdów«, i wypędza kupczących z świątyni; jest to człowiek prosty i dzielny, bez wysiłku wznoszący się ponad przesady i konwenanse faryzeuszostwa społecznego, jada z ludźmi złego prowadzenia i prostytutkami; człowiek, który nie chce, żeby zrozpaczano o czyjejs du-szy, ani żeby ją do rozpacz doprowadzono; który nie chce potępić cudzołożnicy i jednym wyrazem rozpędza jej oskarżycieli: »niech ten, kto jest bez grzechu, pierwszy rzuci na nią kamieniem«; jest to ubogi dobrowolny, który potępia bogaczy bez apelacji; heretyk, miłujący heretyków, upokorzonych przez pyszną i pewną siebie prawomyślność, który określa »bliźniego« nie zapomocą wyrazów, lecz za pomocą czynu dobrego Samarytanina¹⁾, podnoszącego i opatrującego na drodze do Jerycho rannego Żyda, obok którego obojętnie przechodzą dwaj Żydzi, dwaj duchowni, lewita i kapłan; który, wkońcu, przy studni Jakóbowej wypowiada do kobiety samarytańskiej, i do jakiej kobiety! swe najpiękniejsze słowa, te, które zawsze jest na czasie przeciwstawiać tym, którzy w jego imieniu materjalizują Boga, lokalizują jego obecność

¹⁾ Samarytanie byli heretykami, którymi gardziła pyszna ortodoksja żydowska.

i łaskę w sanktuarjach uprzywilejowanych, a handlując cudami, poniżają religję do fetyszyzmu pierwotnego: »Kobieto, wierząc mi, oto nadchodzi czas, kiedy ani na tej górze, ani w Jeruzalem będą uwielbiać Ojca; lecz nadchodzi czas, już nadszedł, kiedy prawdziwi wierni uwielbiać będą Ojca w duchu i w prawdzie.«

Jezus według sumienia nowoczesnego jest przede wszystkim Jezusem z Męki, zwiastunem prawd nowych, prorokiem Boga ojca i braterstwa, sprawiedliwy, który, ponieważ wskazał błędy tradycyjne i odwołał się do sumienia ludzkiego, rozpętał przeciw sobie wszystkie potęgi tego świata, kapłanów, książąt narodu, bogaczy i Faryzeuszów. Jeżeli Jezus jest Bogiem, jeżeli posiada podwójną naturę, jeżeli przyszłość jest dla niego bez tajemnic, jeżeli Słowo nieczule patrzy na męki i śmierć pokornego Galilejczyka i rozpamiętywa je w wieczności, komedja ta nie więcej nas obchodzi, niż zabójstwo Adonisa i odrodzenie się jego na wiosnę. Lecz zgoła tak nie jest; Jezus, w te dni ostatnie jest tym, czym jesteśmy my, istotą, w której walczy ciało i duch, która cierpi i płacze, która się waha, która wątpi i która z własnej woli spełnia ofiarę; i oto dlaczego w jego śmierci, jak w śmierci Sokratesa, jest coś ogólnie ludz-

kiego, co nas obchodzi i dotyka, co jest dla nas i nauką i wzorem.

Scena w ogrodzie Oliwnym nie mogła być wymyślona, choćby dlatego, że przeczy idei o Boskim i tryumfującym Mesjaszu; jeżeli nie znikła z Ewangelji synoptycznych, jak znikła z Ewangelji Jana, — którą można nazwać Ewangelją Słowa, — to dlatego, ponieważ pozostawała żywa w pamięci uczniów i narzucała się ich wspomnieniom. Podczas tej chłodnej nocy w Getsemani Jezus przeżył najokropniejszą godzinę swego życia, godzinę decydującą także. Po raz pierwszy zjawia się przed nim bolesne zagadnienie, które jego wiara naiwna rozwiązała, nie widząc go nawet w uniesieniu radosnym serca całkowicie wypełnionego miłością Ojca niebieskiego; odkrywa zło. Teraźniejszość ogarnia go swymi nieprzeniknionymi cieniami, bada siebie z obawą, szuka swego marzenia o braterstwie i miłości: wrogowie jego czuwają i knują śmierć jego, uczniowie jego śpią, jest sam. »I począł się strachać i tęsknić sobie, i smężna jest dusza jego aż do śmierci.« I wobec tej śmierci, której zbliżanie się czuje, w przerażeniu przed ciemnościami, przykrywającymi oczy i myśl jego, ciało jego przenikają dreszcze: »Ojcze, wszystko tobie jest podobno, przenieś ode mnie ten kielich!« Umrzeć z pewnością, że się miało rację, byłoby łatwo, lecz niebiosy milczą, a zie-

mia wszystkimi swymi głosami mówi: nie; w tym się kryje męka największa. Najokropniejsze nie jest to, że się jest znieważanym, bitym, męczonym, nie jest to, że się czuje, jak gwoździe wchodzą w ciało, i na drzewie boleści to uderzenie do głowy krwi, która w biegu swym się zatrzymuje; najokropniejsza jest niewiść tych, których się kocha, tych, z którymi by się chciało podzielić się wiarą i nadzieją, zaprzeczenie przez tyle ust ludzkich tego, w co się wierzy, gwałt, brutalność, złość, wszystko, co każe wątpić o tym dobru, dla którego się umiera. Wielkość Jezusa polega na tym, że wybrał ofiarę i śmierć za prawdę, nie dlatego, że tak było napisane, nie dlatego, że przybrał ciało, żeby je zniszczyć z świadomością swego tryumfu rzeczywistego, nieuniknionego, lecz że uczynił to bezwiednie, w męce, mając wszystkie powody do rozpacz, że umarł z temi wielkimi słowami wiary i wątplenia na ustach, które, i czynią z niego człowieka, i wznoszą zarazem do najwyższej godności ludzkiej: »Mój Ojcze! Mój Ojcze! czemuś mnie opuścił?« Męka Pańska jest więcej niż mitem, więcej niż symbolem, jest to czyn rzeczywisty człowieka, który nam pokazuje wzniesioną do wysokości tragicznej alternatywę, która staje przed każdym z nas.

VI

Byłoby w tym coś dziecinnego i niesprawiedliwego, gdyby się chciało sądzić etykę chrześcijańską w imię nie wiadomo jakiej prawdy absolutnej; powstała ona, rozwijała się w określonym środowisku i odpowiadała pewnemu pojęciu o naturze i pewnemu stopniowi potęgi ludzkiej. Wiele dusz żyło nią i ponieważ nią żyło, zawdzięczało jej i zawdzięcza jeszcze to, co ma w sobie najlepszego; o tym nie zapominamy. Lecz w rzeczywistości postęp nauki i technologii zmienił wszechświat, człowieka i ich stosunek; jakżeby nie miał zmienić naszego ideału działalności tutaj na ziemi? Porwana w wir wkoło gwiazdy, która ją oświeca i ogrzewa, od której pochodzi wszelkie życie, wszelka płodność, ziemia przestała być miejscem wybranym, środkiem świata, miejscem pobytu ulubieńca Boskiego; nie jest niczym więcej tylko punktem ruchomym, atomem zabłąkanym w przestrzeni, nie widocznym poza granicami systemu, do którego należy jako pierwiastek podrzędny. Ile planet, podobnych do niej obraca się wokół swoich słońc, chociaż nawet nie podejrzewamy ich istnienia. Wszechświat nie został zastosowany ani do człowieka, ani do ziemi, na której człowiek się znajduje. Lecz jeżeli czło-

wiek przestał uważać się za cel tego wszystkiego, co istnieje, jeżeli został pozbawiony tej wielkości fikcyjnej, którą sobie naiwnie przypisywał, to podnosi się przez tą samą naukę, która go, jak się wydaje, poniża. Poznaje swoją planetę, mierzy ją, przebiega we wszystkich kierunkach; sprowadza fakty do praw stałych, łączy zjawiska następujące z poprzedzającymi, widzi i przewiduje.

Ponieważ jest zdolny sam działać, nie potrzebuje już uciekać się do pomocy potęg nadprzyrodzonych. Nie żąda się od Boga, żeby zrobił to, co można daleko pewniej zrobić samemu: wieśniak nie wzywa cudu, żeby odwrócił gradobicie od jego pola, jeżeli potrafi, poruszając fale powietrzne, rozproszyć chmury, niosące burzę w swym łonie.

Dużo rzeczy zmieniło się w ten sposób w nas samych i koło nas. Postęp nauk pozytywnych, przyzwyczajenie do ich ścisłych metod, przemysł, ewolucja społeczeństw nowoczesnych, to, co wiemy, i to, co możemy, z konieczności zmieniają nasze pojęcia o życiu i jego celach. Krytyka dała nam prawdziwszą ideę o doniosłości i granicach naszej wiedzy: nie rościmy sobie pretensji, że znamy absolut, że pojmujemy samą zasadę rzeczy, w której spoczywa ich istota, że z tej zasady możemy je wyprowadzić; ci, którzy utrzymują, że są świadomi zamiarów Opatrzności i planu stwo-

zenia, nie są w możności zgodzić się między sobą i dostatecznie wykazują przez swe sprzeczności, że ich dogmaty są przypuszczeniami. Ale za to, znamy lepiej świat nas otaczający, w pozornym nieładzie zjawisk odkrywamy stosunki stałe, które je łączą, przez znajomość przyczyn stajemy się panami skutków i zamiast zostawać w niewoli przyrody, zmuszamy ją do pracy nad swemi celami. Dzięki technologii, stworzeniu olbrzymich organizmów, ożywionych siłami przyrodzonymi, znosimy przestrzeń, zmieniamy powierzchnię ziemi, wpływamy na zmniejszoną planetę i coraz lepiej przystosowujemy ją do potrzeb ludzkości. Odtąd, nie zgadzamy się już, żeby opierać moralność na rzeczach nieznanych, na Bogu, na życiu przyszłym, na tym, co tylko możemy przypuszczać i tym mniej zgadzamy się na objęcie jej w sławnej formule *sustine et abstine*, znoś i powstrzymuj się. Chcemy rozpoczynać od tego, co wiemy, i zrobić wszystko, co możemy.

Chrześcijaństwo w prawie etycznym widzi rozkaz Boski; wyrzekając się tego świata, pozostawiając go samemu sobie, odkłada szczęście i sprawiedliwość do zaświatów. Nic słusniejszego, dopóki człowiek był w możności mało co zrobić i nie wątpił o niczym: wiara odwraca porządek pewników naukowych. My nie rościmy sobie tej naiwnej pretensji, że

znamy przedewszystkiem rzeczy niepoznawalne, mamy się na ostrożności przed mirażami, które fantazja i uczucie stwarzają w tym świecie numenów, nie sprzeciwiającym się żadnej z form, które mu zechce nadać fantazja ludzka. Pewnego razu rozmawiałem o tych kwestjach ze swoim nauczycielem p. Lachelier; według swego zwyczaju, pomyślawszy chwilę, zamiast odpowiedzi przytoczył mi taką wdzięczną anegdotę: »Znajdowałem się w miasteczku X..., wsiadałem do dyliżansu. Właśnie do niego zbliżała się też pani w podobnym wieku w towarzystwie służącej. Z trudem wgramoliła się na wózek, ułożyła swe tłumoczeki, usadowiła się i przez otwartą portjerę nie przestawała wydawać rozporządzeń, dotyczących się tego, co ma być zrobione podczas jej nieobecności w domu. W chwili gdy dyliżans ruszał, wychyliła się i powiedziała poprostu: »Do widzenia, módl się za mnie, moja kochana.« Oto cała równość, jaka jest możliwa tutaj na ziemi.« — Nie jestem nieczuły na to, co jest wzruszającego w tych słowach; lecz nie możemy dłużej kierować się tą moralnością, która odkłada do zaświatów tajemniczych zadanie, które powinniśmy spełnić na tym padole. To prawda, wiara szczerza, wiara prostaczków jest skuteczna, odbija się w ich życiu, uczuciach i czynach, dodaje do niego coś z ideału, do

którego dążą, i już w ciasnym kole, w którym się poruszają, przypomina jakby obraz królestwa, o którym marzą. Niestety jednak, że politykom, możliwym tego świata i zręcznym zbyt łatwo rozgrzeszyć się z sprawiedliwości, oświadczając, że ona nie jest z tego świata.

Jeżeli człowiek odłożył sprawiedliwość do tamtego świata, to dlatego, że, czując swoją niemoc urzeczywistnienia jej tutaj na ziemi, nie chciał uznać, iż jest niemożliwa zupełnie. Oświeć się, wykształć się, lepiej uzbroj się, nie zadowalamy się już marzeniem o sprawiedliwości, zamierzamy ją urzeczywistnić faktycznie, chcemy, żeby rządziła stosunkami ludzkimi. Nie tracimy czasu na pytanie się o przyczyny zła, na badanie, czy natura została zepsuta przez grzech; wystarcza nam, że dzięki pracy zmienia się, stwierdzamy zło w sobie i w świecie, nie żeby na nie się zrezygnować, lecz żeby je zwalczać i zwalczyć: ani optymizmu, ani pesymizmu, wysiłek ku lepszemu. Nie jesteśmy niewolnikami rzeczy, orjentujemy się w ich chaosie i w znajomości praw znaleźliśmy środki działania nieporównanej potęgi. Codziennie przekształcamy środowisko planetarne, oblicze ziemi coraz więcej wyraża myśl ludzką. Nie wiedząc, co Bóg postanowił w wieczności, urządzamy się w stawianiu i pracujemy nad tym, żeby zrobić to,

co chcemy, żeby było. Zamiast umieszczać swój ideał sprawiedliwości w świecie niepojętym, zrobić z niego mniej lub więcej niejasne marzenie o raju, usiłujemy określić jego kontury, począc go zgodnie z faktami, prawami społecznymi i zbliżyć go do rzeczywistości.

Nauka zakazuje nam pomysłów chimerycznych, uczy nas, co jest możliwe, udziela nam środków działania, wskazuje nam na szereg wysiłków między wolą a przedmiotem, wysiłków, które nakładają warunki. Drażniony przez wszystko, co mu przeczy i co go rani, bolejący wszelkim nieładem, dążący do lepszego, to jest do uzupełnienia swej istoty, umysł poczyną cele nowe, wymyśla złożone harmonie, któreby mogły połączyć w akordy starcia życia wewnętrznego, indywidualów i narodów. Lecz nie dzieje się to samo przez się, przez łaskę z góry; trzeba rozwiązywać ustawiczne zagadnienia, nasuwane przez fakty, zrozumieć to, co jest, żeby móc zmienić, wynaleźć dobro, chcieć go, tchnąć ducha w naturę. Napróżno lenistwo i ciemnota odmładzają wieczne złudzenia, zamiast dawnych cudów boskich ogłaszają cuda świeckie, rewolucję, która ofiarowuje skutki bez przyczyn, wyprowadzi dobro ze zła, sprawiedliwość z gwałtu, miłość z nienawiści. Człowiek jest skazany na to, żeby sam spełnił swe zadanie,

praca jest jego zakonem. Należy, żeby zbudował ideał, żeby odkrył prawa rzeczywistości i, wiedząc co jest możliwe, wybierając, co jest lepsze, w terażniejszości założył podwaliny takiej przyszłości, jaką począł w swym umyśle. Zawód człowieka jest chlubny, lecz trudny. Wyrzekanie się przestaje być moralnością, staje się wielką pokusą. Wyrzekać się, pozbywać się uczuć, niepokojów, trosk, wpływających z tego, że bierzemy poważnie ludzi i rzeczy; nawet miłości nadać spokój obojętności przez odłączenie jej, żeby tak powiedzieć, od indywiduów, w pewnym znaczeniu odsuwać na dal rzeczywistość, która nas rani, rozpamiętywać zamiast działać, lub wkładać w działanie tylko zewnętrzną część swej osoby, obcować tylko z Bogiem, nie zaś z ludźmi ciemnymi, głupimi i brutalnymi, zrezygnować się na zło, przedstawiać je sobie w postaci nieoczekiwanej dobra, żeby mniej cierpieć z jego powodu, zależeć tylko od siebie, to znaczy odpoczywać, rozsiąść się w pokoju i pewności zamiast narażać się na walkę, której rezultat jest nie pewny.

Moralność przestała polegać na umieraniu, kuleniu się i chowaniu w siebie, zmniejszaniu się, żeby przejść wąską ścieżką, prowadzącą do nieba, moralność polega na tym, żeby zgadzać się na życie, chcieć go w pełni całej. Niech mi nie robią zarzutów, że moralność

jest bezinteresownością, zapomnieniem o sobie, poświęceniem, że niekrępowany bieg życia może tylko rzucić przeciw sobie jednostki, puszczone na wolę swych sprzecznych instynktów. Prawdziwe życie ludzkie jest formą wyższą, której życie samo nabiera dopiero w człowieku: życie duchowe nie jest egoizmem. Święty, wycofujący się ze społeczeństwa ludzkiego, wyłącznie zajęty własnym zbawieniem, które jest sprawą pomiędzy nim a Bogiem, poświęca się tylko samemu sobie. Człowiek nowoczesny, zgadzający się na świat i jego prawa z postanowieniem, że urzeczywistni w nim wszystko dobro, które począł w myśli i które one urzeczywistnić pozwalają, nie może się odłączyć od innych ludzi. Świadomy solidarności, która łączy go z podobnymi do niego, która w pewnym znaczeniu czyni go od nich zależnym, wie, że nie może sam jeden zarobić na swe zbawienie, że jego pokój wewnętrzny jest związany z pokojem społecznym i że sam ten pokój wymaga większej sprawiedliwości w sercach i prawach. Że jest człowiekiem, potrzebuje otoczenia ludzkiego, jego zadaniem jest je stworzyć. Wątpiąc, gdzie wątpić wypada, nie twierdząc z góry, że obecne niesprawiedliwości hojnie zostaną nagrodzone gdzieś indziej przez Boga najlepszego, który na nie tymczasem pozwala, cierpi z ich powodu do tego stopnia, że nie może się z niemi

pogodzić. Życie moralne nie polega na odkładaniu dobra, ale na czynieniu go tutaj; prawda, życie moralne to przede wszystkim życie wewnętrzne, wychowanie samego siebie, uduchowienie własnego przyrodzenia, ponieważ zasada czynów spoczywa w samym człowieku; lecz życie wewnętrzne to nie troska o zbawienie osobiste, chorobliwy niepokój o to, żeby się nie zbrukać w zetknięciu z podobnymi do siebie; bynajmniej nie chcemy się zamykać w kryjówce doskonalenia się samotniczego, życie moralne rozwija się, najwznioślejsze funkcje jego zakwitają w nauce, w sztuce, w sumieniu i w pragnieniu dobra tylko wtedy, gdy się utożsamia z życiem społecznym. Społeczeństwo jest jakby wewnątrz nas, w tym znaczeniu, że przez nie urzeczywistniamy to, co właściwie jest w nas ludzkiego. Przeto co najpierw indywiduum powinno w sobie rozwijać, to uczucie koniecznych stosunków z innymi ludźmi. Moralność, która jest zastosowaniem do dzieła wszystkich potęg ludzkich, nauki, technologii, wynalazczości moralnej, ma za cel natychmiastowy stworzenie człowieka przez rozwijanie uczuć ludzkich w jednostce, społeczeństwie i wyciskaniu piętna ludzkości na samej planecie.

Moralność nie tylko nie może odtąd opierać się na religii i dogmatach, lecz właśnie życie moralne jest tym, co może nadać war-

tość i znaczenie naszemu przekonaniu o wyższości porządku moralnego. Ten nowy stosunek moralności do religii jest odwróceniem metody, odpowiadającym postępowi nauki i sumienia. Pierwotnie moralność i religja są sobie obce: Bogowie są mocami nadprzyrodzonymi, które łagodzi się lub zaklina zapomocą obrządków magicznych; jeżeli się mszcą, to tylko za zbrodnie popełniane względem nich samych. Na mocy prawa psychologicznego, które usposabia umysł do porządkowania swych pierwiastków i tworzenia z nich systemu, idee moralne i religijne zostały zbliżone, porównane i religje etyczne poddały etykę religji, uczyniły z jej przepisów przykazania Boskie i Bogu kazały nagradzać tych, którzy je pełnią, a karać tych, którzy je przestępują. Przyzwyczajenie do metod naukowych, krytyka ludzkiej władzy poznawania narzucają nam nowe wymagania. Przyznajemy się do swojej niewiedomości, kiedy nam brak środków poznania; wątpimy, kiedy zmuszeni jesteśmy robić tylko przypuszczenia. To też teraz staje się rzeczą trudną budować moralność na niepoznawalnym, na dogmatach metafizycznych i religijnych, które coraz więcej wydają się nam hipotezami i postulatami. Pierwszą zasadą wszelkiej logiki teoretycznej i stosowanej jest ta, żeby przechodzić od rzeczy znanych do nieznanych.

W przyrodzie nie znajdujemy faktów, odpowiadających porządkowi moralnemu, któreby go potwierdzały i usprawiedliwiały, jak zjawiska usprawiedliwiają prawa fizyczne. Bez wątpienia, ten porządek wyobrażamy sobie, lecz któż nas upewni, że to wyobrażenie odpowiada rzeczywistości? Praw moralnych nie możemy wyciągnąć z faktów ogólnych. Żeby załatwić się z zaprzeczeniami, które nam przeciwstawiają przyroda i historia, rzeczywistość tego porządku przenosimy w zaświaty, w świat wyższy, gdzie stosunki, obserwowane przez nas tutaj, zostają odwrócone, gdzie prawo Bytu jest to samo, co prawo Dobra. Kto nas upewni, że nie podobamy sobie w łudzeniu samych siebie, że ten świat myślny, że ten raj nie jest zmyśleniem, przez które utrwalamy i umacniamy pewne wierzenia, które, że dążą do pohamowania egoizmu, sprzyjają życiu ludzi w społeczeństwie? Lecz złudzenie działa tylko dopóty, dopóki nie doszło do świadomości, że jest złudzeniem. Ponieważ nie znajdujemy ani w przyrodzie, ani w historii faktów, odpowiadających porządkowi moralnemu, ponieważ, gdyby nie był oparty na faktach, groziłoby temu porządkowi, żeby się stał próżnym zmyśleniem, pozostaje tylko, żeby człowiek swemi czynami wywołał fakty, któreby były początkiem dowodu, iż jest możliwa zgoda między porządkiem moralnym a rzeczywistością.

Ideał rodzi się z czynu i w czynie znajduje swoje potwierdzenie. Jeżeli to jest tak, jeżeli, kiedy chodzi o dobro, dosłownie wiemy tylko to, co robimy, jeżeli najsubtelniejsze rozumowania pozostają w dziedzinie umysłowej, i nie mogą nas poprowadzić od idei do rzeczywistości, jeżeli prawdę tutaj możemy oglądać tylko w czynach i dziełach, nie już nas nie może uwolnić od twardego obowiązku ustanowienia sprawiedliwości tutaj na ziemi w stosunkach ludzkich: nasza wiara w porządek moralny potwierdza się jedynie zapomocą naszego własnego wysiłku ku urzeczywistnieniu go tutaj na ziemi. Świat idei, przedmiot czystego rozmyślenia, zmienia się w ideał postępowy, którego zasada i kres tkwi w dobrowolnej działalności ludzkiej. W odludności tylko możemy egzaltować się bez przyczyny, karmić chimerami; oderwanie się od świata jest wyznaniem, że rzeczywistość stała się obca dla rozumu; śmierć dla świata jest śmiercią dla rozumu, który zastępują wtedy obrazy fantastyczne i wielka próżnia ekstazy. Dopóki prawem społecznym jest tylko prawo natury, dopóki pod wyrazami, które je upiększają, panuje instynkt zwierzęcy, dopóki umysł ulatnia się we frazesach, poematach, pieśniach, wydatkuje się na giesty ceremonjalne, dopóki nie przenika istoty i przyrody, nasza wiara jest powierzchowna, słowna, nieskuteczna. Tylko

czyn usuwa wątplenie: to, co ze sprawiedliwości urzeczywistniamy, przez to już, że zaczyna urzeczywistnienie, dowodzi, że porządek moralny nie jest obcy naturze, że dobro jest czymś więcej niż złudzeniem lub zamaskowaną korzyścią własną. Nasza wiara w Boga, to jest w wyższość porządku moralnego, nabiera stałości w miarę, jak stwarzamy fakty rzeczywiste, które ją potwierdzają.

Sofizmat, który z panowania niesprawiedliwości na ziemi wyprowadza wniosek, że będzie naprawiona w lepszym świecie, jest już zbyt prostacki dla naszego umysłu ustawiczne klęski, których doznaje dobro nie dowodzi wcale, żeby miało kiedyś odnieść koniecznie zwycięstwo. Czy gramy tylko komedję moralności i religii, czy szukamy tylko rozrywki dla świadomości swojej nędzy moralnej?

Raz na tydzień, w miejscach na to przeznaczonych i w tym celu upiększonych, ludzie zbierają się, żeby zapewnić, iż są szlachetni i ni mniej ni więcej tylko synami Bożemi. Wyrazy nie obstaną za dowód; w rzeczywistości człowiek jest zwierzęciem złym i okrutnym, niech czynami dowiedzie, że roszczenia jego są słuszne, niech złoży swe tytuły.

DOGMAT A NAUKA

Referat, przedstawiony Kongresowi Wolnomysłnemu
w Rzymie w r. 1904

przez

GABRIELA SÉAILLES

prof. Sorbony.

Jeżeliśmy wybrali Rzym, jako miejsce na wielkie obrady międzynarodowej Myśli Wolnej, to nie przez próżne uganie się za zgorzeniem; wybraliśmy go dlatego, ponieważ sama możliwość tego wyboru streszcza i symbolizuje fakty, które chcemy stwierdzić publicznie. Rzym nie jest już niedostępną stolicą katolicyzmu; Rzym jest stolicą wielkiego państwa nowoczesnego, grodem świeckim, w którym nawiązuje się, w ciągu tak długiego czasu przerwana, tradycja racjonalizmu i prawa starożytnego. Przyjmując nas w swe progi, dowodzi, że odzyskał zupełnie swą wolność.

Lecz papieska władza doczesna była tylko znakiem widomym panowania nad umysłami: budynek runął sam przez się, gdy podwaliny zrujnowane zostały. Od Odrodzenia nie prze-

stawiała wzrastać powaga duchowa, która prze-
czy władzy papieskiej: powaga Nauki. Nauka,
udzielając człowiekowi władzy, rozbudziła
w nim energję, natchnęła go odwagą i chę-
cią czynu; Rewolucja, wznosząc ideał spra-
wiedliwości na ziemi, ostatecznie ogłosiła
wbrew nauce Kościoła nowe pojęcie życia
i wszechświata.

Aniabyśmy mieli co czynić tutaj ze znie-
wagami, napaściami i deklamacjami, a jesz-
cze mniej leży w naszym zamiarze przekształ-
cić swój kongres na koncylium, ogłaszające
większością głosów nowy *Syllabus* na swój
użytek; przychodzimy, jak przychodzi histo-
ryk i uczony, stwierdzić fakty, które są zmu-
szeni uznać nawet ci, co je uważają za nie-
szczęsne.

Nauka sprzeciwia się Dogmatowi. Lecz
w jakim znaczeniu, w jakim stopniu? Ważna
to określić. Wobec przeciwników, którzy są
przedstawicielami siły złudzenia, nie możemy
wystawić żadnej innej siły oprócz siły rozumu
i prawdy. Wielu wyobraża sobie naukę jako
nową religję, w której powaga rzeczy zastę-
puje powagę kapłana. Dogmatyzm przypada
do gustu naszemu lenistwu, naszej inercji;
chcielibyśmy otrzymać prawdę z zewnątrz,
chcielibyśmy jej ulegać i wyobrażamy ją so-

bie jako przedmiot zewnętrzny, widoczny dla
każdego człowieka dobrej wiary.

My nie możemy już być dłużej ofiarą tego
naiwnego realizmu. Nauka rodzi się z nie-
ustannego współpracyownictwa przyrody i myśli.
Ona nie tylko stwierdza fakty, lecz objaśnia
je i porządkuje. Tyleż jest hipotezą, ile do-
świadczeniem. Postęp jej nie polega wcale
na dodawaniu prawd, których suma rośnie
z wieku na wiek, lecz raczej na następstwie
punktów widzenia, pozwalających wprowadzać
system i ład między faktami, znanymi poprzed-
nio, z ogółem faktów nowych. System Ptole-
meusza, według którego ziemia ma się znaj-
dować w środku świata; a gwiazdy wokoło
niej obracać, nie jest wyłącznie grubym błę-
dem; objaśnia się pozornymi faktami, których
jest streszczeniem i wyrazem, przez ściśle
obserwacje, które zawiera; w swoim czasie
był prawdziwy. Kopernik nie tylko dodaje
do prawd stwierdzonych prawdy przed nim
nie dostrzeżone, lecz wymyśla nowy system,
którego idea przewodnia zmienia nawet same
pierwiastki, wchodzące weń, gdyż je pokazuje
w nowym nieoczekiwanym świetle.

Będąc tymczasową i postępową, jak wszyst-
kie dzieła ludzkie, Nauka nie jest zgoła rzeczą
dowolną, ponieważ jej cechą charakterystyczną
jest to, że *przewiduje*, każe więc przypuszczać
w każdym momencie porozumienie, zgodę

mniej lub więcej doskonałą między myślą a światem.

Lecz strzeżmy się zapominać, że ona jest względna, że stosuje się wyłącznie do zjawisk i stosunków między niemi i że same te stosunki określa się zbiorem pojęć (atomy, eter, falowania...), które nie znajdują się w świecie zewnętrznym, lecz są stworzone przez umysł i bezustannie przezeń zmieniane w celu dostosowania do nowych faktów, dostarczanych przez doświadczenie.

W ten sposób Nauka sama nie uważa siebie za dogmat, jeżeli dogmatem jest prawda niezmienna, ogłoszona raz na zawsze. Jest ona myślą wolną, żywą, otrzymującą z zewnątrz nie prawdę, lecz fakty, materiały, z których buduje bezustannie system idei, porządkujący te materiały. Nie mówmy więc o Nauce na sposób ludzi, niezadowolonych ze swej religji, którzy tylko myślą o tym, jakby nawrócić się na inną, zaprzeczającą akurat tych dogmatów, które nie znajdują u nich uznania. Nauka nie zna ani materji, ani siły samej w sobie. Nie miałyby co robić z temi istotami. Jeżeli się mówi, że sprowadza wszystko do ruchu, należy się porozumieć. Mechanizm jest umysłowym punktem widzenia; odpowiada on pewnym abstrakcjom, słusznym pod warunkiem, że człowiek nie wyobraża sobie, iż wytłumaczył to, co one pomijają; rozważa on byt pod

względem rozciągłości i ilości, kategorjami właściwie naukowemi, ponieważ one tylko pozwalają na mierzenie; lecz dlatego właśnie, pomimo swego udoskonalenia, teoria ta nie odkrywa nam bytu rzeczywistego, lecz zastępuje go wygodnym symbolizmem. Nauka zna tylko stosunki, do których usiłuje zastosować miarę, żeby móc wyrazić je jasnym językiem matematycznym. Jest ona pozytywistyczna w tym znaczeniu, że wyrzeka się ciekawości, gdy te przekraczają granicę środków jej badania. Szczerość umysłowa, która jest naszym najpierwszym obowiązkiem i naszą wspólną cnotą, nie zakazuje nam stawiać sobie zagadnień, których Nauka nie pozwala rozwiązać; ale zabrania nam kłamać i udawać, że daje rozwiązania niezbędne.

Nauka nie jest ani metafizyką, ani religją; zostawia ona nas w względności, powinniśmy przeto wyrzec się wszelkiej tyranji, która w jej imieniu, chciałaby nam narzucić teorię absolutu. Jeżeli są politycy, którzy sądzą, że materializm jest dobry dla ludu, jak są inni, którzy utrzymują, że religja jest potrzebna ludowi, odprawmy pospołu i Machjawelów rynkowych i Machjawelów zakrystyjnych¹⁾.

¹⁾ Nie potrzebuję chyba dodawać, że materializm jest doktryną równie godną szacunku jak wszystkie inne, pod warunkiem, że nie podaje się za prawdę naukową.

Lecz jeżeli Nauka nie wydaje nam tajemnicy Bytu, jeżeli tylko jest naszym tymczasowym pojęciem o świecie, jakże może sprzeciwiać się dogmatom, tyjącym się rzeczy, które ona z umysłu pomija? Trzeba się spotkać, żeby móc się o coś uderzyć. Nauka, jak to już powiedzieliśmy, jest zbiorem faktów i stosunków uporządkowanych, które w danym momencie stanowią dla nas świat. A ponieważ z drugiej strony jest ona dziełem umysłu; ponieważ w pewien sposób jest samym umysłem w pewnym stadium postępowego rozwoju, przekształca umysł jednocześnie przekształcając świat, który sobie wyobraża. Bez wątplenia nie naciera ona wprost na dogmaty katolicyzmu, lecz odsuwa je w przeszłość, czyni nas coraz więcej na nie obojętnymi, doprowadza je do tego, że stają się tylko formami mitologii analogicznej do wszystkich innych. Stare legiendy są tylko posępnymi lub czarującymi zmyśleniami, stworzonymi samorzutnie przez fantazję ludzkości w dzieciństwie; powieści teologiczne są tylko hipotezami, wymyślonymi przez ludzi innych czasów dla wytłumaczenia innego wszechświata. Każda gałąź wiedzy mogłaby być przywołana na świadectwo i wykazać, że prawodawcy religijni chcieli oszukać ludzi, lub że przynajmniej nie znali wcale świata. Zapomocą egzegiezy historia wykazuje, jak utworzyły się

pomału różnych pierwiastków, pozostawianych obok siebie tradycji, nieraz sprzecznych, Pisma objawione, i że w swych niepewnościach, sprzecznościach, postępie idei, w tym co w nich jest bez sensu i w tym, co jest w nich godnego podziwu, posiadają wszystkie cechy dzieł ludzkich. Gieologja zmusza teologa, do męczenia opowiadania Gieniezy, dopóki nie wymęczy z niego czegoś, co jest odwrotną stroną tego, co ono mówi, i do zaopatrzenia go w komiczny komentarz, który mowę Boską robi niezrozumiałym rebusiem. Nauka wyzwala umysł z dogmatów przez to, że go przenosi poza granicę, w którejby one mogły mieć dla niego znaczenie. Uczni, pozostający katolikami, uznają dogmaty tylko wtedy, gdy o nich nie myślą. Żaden biolog, o ile wiem, nie objaśnia pochodzenia kobiety przez wyjęcie i przekształcenie żebrą Adamowego. Kładzie się nacisk na indywidualny i społeczny pożytek religii, lecz nie stawia się sobie zagadnienia jej prawdziwości. Przyjmuje się wszystko hurtem, żeby nie było trzeba niczego badać, podtrzymuje się swą wiarę przez dobrowolne niezwracanie uwagi na jej przedmiot. Wolnomyślność polega właśnie na tym zasadniczym przekonaniu, że ludzie nie są skazani na to, żeby budować moralność i społeczeństwo na kłamstwach, które się im wydają konieczne i do których dlatego się nie przyznają. Więcej jeszcze niż przez tę lub

ową teorię, nie zgodną z tym lub owym mniemaniem ksiąg świętych, Nauka niweczy dogmaty przez samo swoje istnienie, przez władzę, którą sprawuje nad umysłami, przez przyzwyczajenia, które w nich wytwarza. Zmienia wraz z ogólnym pojęciem o rzeczach nasze pojęcie o prawdzie i metodzie, zapomocą której można jej dopiąć. Buduje wszechświat, do którego nie mogą się już dopasować wierzenia, bo jeżeli one przeżyły do naszych czasów, to tylko dzięki tradycji. Mnoży światy i czyni powszechnym panowanie prawa, samowolę Bóstwa zastępuje prawidłowym powiązaniem zjawisk; ujmuje w serje skutki i przyczyny, wyjaśnia lub przewiduje burze, pioruny, deszcze, nawałnice, zjawiska złożone, niepewne, które, jak ludzie wierzyli, można tylko odwrócić zapomocą modlitwy; z cudu, który jest wyjątkiem z reguły, czyni nie dowód mądrości i potęgi, lecz zabawę dziecinną, zmniejszającą i poniżającą jej autora. Tak jak wszechświat, przekształca umysł, który go nosi w sobie, powiększa go do miary swego przedmiotu, za szczepia nowe wymagania, poczucie prawa, pojęcie rzeczy możliwych i rzeczy koniecznych. Rozprasza widziadła, wylęgle w oczekiwaniu i strachu; niszczy przesąd u korzenia, uzdrawiając człowieka z opętania umysłowego, które wypadek tłumaczy sobie przypadkiem. Przekształca podstawy wierzeń i sposoby dowo-

dzenia; odrzuca wszelką powagę, która odmawia usprawiedliwienia się przed rozumem; jest niezależnym roztrząsaniem i niezależnym badaniem; wymaga, żeby idee urzeczywistniały się w faktach, hipotezę poddaje pod władzę doświadczenia. Przez to zmierza do osłabienia wszelkiej wiary, która jest tylko postanowieniem wierzenia i sztuką tłumienia prawowitych wątpliwości. Nie staje się coś pewne z nieprawdopodobnego lub bezsensownego wskutek prostego zamachu stanu woli. To, co jest prawdą dla Nauki, poznaje się po dwóch cechach: że składa dowody, przez co zmierza do zgody między umysłami; że pozwala człowiekowi przewidywać zjawiska i przez to udziela mu prawdziwego panowania nad przyrodą. Dogmat teologiczny, przeciwnie, narzuca się, a w umysłach różnych sprzeciwia się sobie; sposobem działania jemu właściwym jest magja. *Credo quia absurdum* wydaje się nam iście formułą obłędu umysłowego; konieczność znajdowania powodu do wiary w tym, że coś jest przeciwne rozumowi, potępia religję, zamiast ją usprawiedliwiać.

Zarzuca się, że Nauka sama zawiera wierzenie, że każe przypuszczać samorzutną zgodę na wartość zasad, których nie można podać w wątpliwość, nie zatrzymując myśli na samym początku. Chociaż to przyznajemy, nie pojmujemy, jak z tego wyznania można wy-

prowadzić zobowiązanie względem wierzenia, narzucanego przez powagę, obcą myśli. Dla nas wiarą być może tylko wiara rozumu w sam rozum, sięgająca poza granice, zakreślane nauce pozytywnej. Nie polega na poddaniu się rozumowi dogmatowi, który go zaprzecza, jest ona zupełną wolnością, odwagą rozumu, który, wbrew podobieństwu, kroczy wprost przed siebie i zatrzymuje się dopiero przed tym, co mu się wydaje zupełnie zrozumiałe. Bierze nas chęć uczynić prawo przyrodzone z prawa sprawiedliwości; chcielibyśmy je widzieć panującym w społeczeństwie ludzkim. Pomiędzy temi nawet, którzy chcą się trzymać tylko faktów, iluż podtrzymuje mniej lub więcej niejasna idea, że rozum nie może być ostatecznie zwyciężony, ponieważby to nie było dobrze, gdyby miał nim być. Taka jest, na przykład, wiara zupełnie racjonalistyczna Sokratesa, który, że uznał w swym własnym sumieniu panowanie dobra nad naturą, uogólnił to doświadczenie i posunął śmiałość myśli do przypuszczenia, że natura dąży jego śladami, szuka tego, co on już znalazł. Lecz zasady Nauki dowodzą swej słuszności tym, że dopinają celu. Wyzwolona z pod kontroli faktów, wiara racjonalistyczna w ideał, najczęściej zaprzeczana przez fakty, o ile to możemy stwierdzić, jest przeciwieństwem powagi, jest indywidualna i z istoty

swej wolna, a nie może najmniejszego dowodu złożyć, chyba czynami, do których jest pobudką.

Kościół nie omylił się co do niebezpieczeństw, na które Nauka go narażała: zrozumiał, że przed obliczem jego powstawała potęża rywalizująca, która groziła jego zwierzchnictwu duchowemu, wielki Kościół doświadczenia i rozumu, którego prawda zawsze jest gotowa poddać się rewizji i kontroli, i wypowiedział mu wojnę, którą prowadzi skrycie nawet wtedy, gdy się do niej nie przyznaje. Z początku usiłował odnieść zwycięstwo przemocą. Prześladowaniami, stosowaniami z dostateczną ciągłością, udało mu się w przeszłości zapewnić i utrzymać jedność doktryny. Naukę narażającą się traktował jako prostą herezję: przed członkami Świętej Inkwizycji Galileusz, więziony, być może torturowany, musiał przyjąć, że ziemia nie obraca się. Lecz Nauka nie była herezją, nie przeciwstawiała dogmatowi, ogłoszonemu za ortodoksyjny, dogmatu równie samowolnego. Ziemia nie przestała się obracać, a argumenty Galileusza dowodzić jej ruchu wszystkim ludziom dosyć rozumnym, żeby je zrozumieć.

Mądrość doradzała zastosowanie innej po-

lityki. Kiedy katolicyzm uległ ostremu atakowi Reformacji i Odrodzenia, człowiek nadzwyczajny, gienjalny psycholog *Ćwiczeń duchowych*, dumny prawodawca *Konstytucji*, zorganizował dla jego obrony groźną milicję, którą dotychczas ożywia duch jej założyciela. Chce on żołnierzy, spełniających rozkazy wodzów bez roztrząsania: wymaga biernego posłuszeństwa na wszystkich stopniach hierarchii. Zapomocą karności uczonej, która sprowadza zamarcie samorządności i refleksji, wszelkiej zdolności inicjatywy, czyni on z posłuszeństwa coś lepszego niż cnotę, bo potrzebę; odejmuje człowiekowi wolę indywidualną, nie naruszając organów działania, które nie przestają być godnymi podziwu narzędziami ku celom wspólnym.

Ułożeni w ten sposób do działania, żeby nigdy nie doszukiwać się zasad swych czynności, Jezuici, ci niewolnicy dobrowolni, nie zabawiają się, na przykład, chimierami Franciszka z Assyżu, marzeniami o dobrym królestwie; biorą świat i ludzi takimi, jak są, i stawiają sobie zadanie pozytywne, zdobycie ziemi dla Kościoła. Wyłącznie zaprzętnięci tym, żeby polityce ogólnej nadać kierunek zgodny z interesami Kościoła doczesnego, nie mają nic do maluczkich i uciśnionych; zwracają się do możnych tego świata. Z przezornością, godną podziwu, za cel obierają sobie

dwie rzeczy: wziąć w ręce wykształcenie klas wyższych, przygotować od dziecka panów powolnych, zapewniających panowanie swym nauczycielom; zachować wpływ na swych dawnych uczniów, bogatych i możnych, książąt i królów przez kierowanie sumieniem. Nie mogąc wytepić sztuk i nauk, wziąć na siebie obowiązek nauczania było pomysłem gienjalnym. Zagadnienie polegało na tym, żeby pogodzić korzyści wykształcenia z dobrodziejstwami ciemnoty. Jezuici celowali w sztuce wyjaławiania Nauki i Poezji, czynienia z niej czegoś nieszkodliwego, obojętnego, sprowadzania do pozorów, cieni, zabawiających umysł, zajmujących go i odwracających od kwestji żywotnych, gdzie chodzi o same zasady. Brak uczonych i myślicieli zastąpiono świetnymi talentami. Z poezji uczynili wiersze łacińskie, poematy, opiewające ogrody, tragiedje uczniowskie; z wymowy sztukę dobrze skomponowanych oracji, nie mówiących; z nauki fizykę ucielną lub scholastykę. Prawda, nauczana według litery, oderwana od metody badania niezależnego, która służy do jej odkrycia, pozostaje zewnętrzna dla umysłu, mebluje go, upiększa, pomnaża jego zasoby, lecz ponieważ go nie przerabia, nie staje się czymś z niego, przyzwyczajaniem, siłą, potrzebą. Poezja już nie jest wyobraźnią, uczuciem; staje się rytmem, ale bez tego, co go tworzy, grą kombinacji

wyrazowych. Nauka przestaje być rozmyślaniem, ciekawością, dążeniem do wiedzy; robi się z niej zbiór formuł, prawd zupełnie gotowych. Sąd oddaje się w niewolę pamięci, przyzwyczajają się go przez to do ćwiczenia się tylko na przedmiotach dozwolonych, do których nie dochodzi roztrząsanie. Umysł staje się próżną, obojętną przestrzenią, która nie odrzuca nic, w której dane przeczące sobie sąsiadują, nie zaś życiem, siłą czynną, zbliżającą idee, porównywającą je, odrzucającą sprzeczności, które uzbrajają go przeciw sobie, organizującą własne składniki przez wieczne wynalazki. Jeżeli rzeczy przyswojone nie stają się substancją myśli, jeżeli nie służą do odżywiania jej energii, obciążają tylko myśl, przytłaczają ją, wywołują znużenie, budzące wstręt do samej siebie i do wolności. Sposobem, jakim jest wykładana, Nauka służy przeto do umocnienia zmysłu poddaństwa, wiary w powagę i potrzeby ulegania jej. Nakłuwając gruczoły nerwowe gąsienicy, około której składa swą larwę, *sphex* przygotowuje jej w nieruchomości śmierci zdybycz żywą. Sztuką odwrotną jezuita niszczy życie, zachowując mu jego pozory, oddziela literę od ducha, wyraz od idei, ruch od uczucia.

Ujarzmienie dusz, rozpoczęte przez naukę, kończy się zapomocą moralności. Moralność przestaje zależeć od sumienia, nie jest prze-

dewszystkim stałym postanowieniem postępowania według tego, co się uważa za dobre, nie polega na poddaniu się wielkim prawom tradycyjnym, rozważonym i dobrowolnie przyjętym; przeciwnie, staje się zbiorem czynów dozwolonych lub zakazanych, w których różnicowanie i decyzja należy do dyrektorów sumienia. Trzeba przyznać, że Pascal oczernił Jezuitów. Zdaje się on przypuszczać, że wymyślają oni sobie występki dla własnej przyjemności, żeby je potem przekształcić zapomocą swego osławionego probabilizmu w grzechy powszednie. Oddajmy każdemu, co mu się należy. Prawdą jest, że oni tylko pospisywali rozmaite fakty, zasłyszane przy konfesjonale. Zajrzyjcie do pamiętników współczesnych, znajdziecie tam spis tych występków; popełniane były przez królów, wielkich tego świata; wyliczają je i uniewinniają: intrygi, potwarze, kradzieże, zabójstwa, skrytobójcze pchnięcia sztyletu, zasadzki pod pozorem pojedynków. Kazyistyka ich nie jest jedynie środkiem do znieczulenia sumienia indywidualnego, do zabicia badania niezależnego, do zastąpienia ducha literą, życia pozorem; jest reklamą, która ma ściągnąć do konfesjonalu jezuitę klienta, rządzącą światem. Ludwik XIV nie wiedziałby co zrobić ze spowiednikiem jansenistą.

Rewolucja rozpoczyna nową erę. Na scenę występuje lud; przez stopniowe rozszerzenie prawa głosowania, coraz więcej wywiera wpływu na kierunek spraw. Jezuici nie lubią tłumu i nie są przezeń lubiani. Pilnują zadania, które sobie wytknęli z początku: wykształcenia klas rządzących i kierowania nimi; po prostu zastosowują się do nowych warunków środowiska społecznego, zaludniają swemi uczniami armję i marynarkę, sądownictwo, wszystkie urzędy, stanowiące władzę rzeczywistą. Nie przestają być zgromadzeniem arystokratycznym i przyzwoitym. Kult staje się w ich rękach materialistyczny, ale nie bez pewnej dyskrecji; łatwą dewocję zaprawiają zmysłowością, która zapomocą przepychu i perfum usypia namiętności, wywierając na nie wrażenie zaspokojenia uduchowionego; lecz obawiają się śmieszności, nie lubią hałasu, unikają rozwodzenia się nad obłędem religijnym. Jak niegdyś wymyślili byli chrześcijaństwo chiński, w którym brak było tylko Męki Chrystusa, tak też chętnie pogodzili się z chrześcijaństwem kapitalistycznym i burżuazyjnym.

Do ludu Kościół zabiera się innemi środkami. Nauce nie przeciwstawia już sztuki udzielania jej w postaci trucizny osłabionej, śmiało rzuca się w drugą ostateczność; niesie ludowi ciemnotę, przesąd, cud, wszystko, czego Nauka zaprzecza i wszystko, co zaprzecza Nauce.

Na usiłowania demokracji urządzenia się według rozumu odpowiada demagogją religijną, która rozbudza instynkty człowieka pierwotnego i pochlebia im. Rzuca w bój świeże szeregi mnichów, należących do Ligi, którzy znają się na potędze prasy i posługują się nią, którzy nie obawiają się ani hałasu, ani gwałtu, którzy przemawiają do ludu jego językiem i wiedzą, jakie zaufanie można jeszcze pokładać w ławotliwości ludu. *Syllabus* wyklina i potępia wszystkie zasady, na których spoczywa Społeczeństwo nowoczesne. Rozum staje się więcej wymagający, żąda prawa wolnego badania; Kościół zmusza go do nowych ofiar, zadaje mu gwałt, mnoży wierzenia obowiązujące, dodaje do dawnych dogmatów nowe, ogłasza nieomylność papieża, podnosi do artykułu wiary Niepokalane Poczęcie, czyniące z Dziewicy boginię przez prawdziwy zamach na piękną legendę, wyrosłą z ludzkiego serca i fantazji, legendę, która ją czyniła całkiem bliską niewieście. Żeby skończyć z rozumem, Kościół ofiarowuje tłumowi religję, jako pokusę, obniżając ją do poziomu najniższych instynktów, religję materialną, która zwraca się nie tylko do zmysłów, lecz działa na nerwy, a zamiast wzruszenia powoduje wstrząśnienie organiczne. Dogmaty tłumaczy na mowę przenośni grubiańskich; Męka staje się Najdroższą Krwią, Serce Jezusowe organem, przebitym strzałami

i ociekającym krwawymi łzami. Gardzi symbolizmem duchowym, uogólnieniami, które z dogmatu czynią fakty ludzkie, powszechne, gardzi wszystkim, co jeszcze zawiera odwoływanie się do rozumu; sprowadza dogmat do obrazu i każe mu przenikać do umysłu przez oczy.

Pod powierzchownym pokostem kultury naukowej przenika do głębi instynktów, zakorzenionych w ciągu wieków nieuctwa i lęku, do fetysyzmu przodków; wkrótce pocnie się kłaniać wołowi i osłu ze stajenki. Wszędy tworzy te przesady, które już de Maistre nazywał naprzód wysuniętymi szaniami religii. Jeżeli uchodzi przed śmieszością to dlatego, że popełnia ją z brawurą. Posiada wielki pantheon pogański świętych, którzy stosują cuda do najpospolitszych okoliczności życiowych: święty Antoni Padewski, z którym zawiązuje się korespondencje i który za umiarkowanym wynagrodzeniem odnajduje zgubione klucze i serca, zapewnia drobnym kramarzom uczciwe zyski; inni uprawiają jako specjalność pomaganie przy egzaminach młodym kretynom z burżuazji. Każe zstępować Dziewicy z nieba w postaciach iście nieoczekiwanych w Lourdes, w Salette; każe wytryskać źródłom magicznym, urządza w tych miejscach świętych procesje feeryczne, w których wskutek zaraźliwości powtarzanych krzyków, ruchów oblą-

kańczych, histerycy egzaltują się do tego stopnia, że aż doznają cudu.

Te upojenia kiermaszowo religijne grożą naszemu ludowi poniżeniem do stopnia delirjum benareskiego. Tak to Kościół śmiało przeciwstawia Nauce rzecz zupełnie odwrotną, czarnoksiężstwo, magję, cudotwórstwo, i stara się sobie zapewnić wiecznotrwałe panowanie przez zaspokajanie starożytnych instynktów, które jeszcze żyć będą przez to samo już, że żyły tak długo.

Mamyż wyciągnąć wniosek, że już same te fakty dowodzą w myśl opatrnościowego prawa Ewolucji, iż Kościół katolicki przekroczył swój ostatni etap? Po okresie heroicznym, w którym z zamętu herezji wyprowadza swe dogmaty, w którym przekazuje Barbarzyńcom i ocala tradycję kultury starożytnej; po średniowieczu, po tym wielkim wieku XIII, w którym był uczonym, artystą, żył życiem zupełnie ludzkim, zaczyna się jego upadek. W wieku XVII nie odkrywa nic, lecz jest erudyta, wymownym, zręcznym i silnym; za naszych dni napróżno walczy o utrzymanie się przy władzy, która mu się umyka; to też ucieka się do wybiegów, świadczących o upadku; jest tylko resztką przeszłości, bezsilną tamą,

którą zniesie wielki prąd Nauki. Taką mam nadzieję; lecz nie bawmy się wyrazami: »siła rzeczy, potęga idei, nieprzeparty pochód prawdy — wszystko to są formuły magiczne, zwalniające z wszelkiego wysiłku.« (K. Renouvier.) Religja, która się poniża, która od uczucia religijnego i tego, co w nim jest wzniosłego, przechodzi do przesądów i magji, traci swe panowanie nad duszami wtedy dopiero, gdy te dusze wzniosą się nad jej poziom.

Historja podaje nam także przykłady cofania się: nie wystarcza pragnąć postępu, przywoływać go; trzeba go chcieć i urzeczywistniać. Budyzm w pojęciu swego założyciela był wzniosłą filozofją moralną, która miała uprościć obrzędy, umiarkować ascetyzm bramiński; stał się zaś religją milionów ludzi tylko dzięki pomieszaniu się z najbardziej pozbawionemi sensu legendami, najgrubszymi przesądami, i to do tego stopnia, że spotęgował manję religijną w Indjach. Fetyszyzm rodzi się i odradza z nierozsądku ludzkiego; kapłan go wyzyskuje, lecz nie tworzy. Kościół, stając się demagogiem, zajmując pozycję przeciwna Nauce, nie popełnił złego wyrachowania, chyba że lud dojdzie do rozumu. Gdyby tylko liczyć się z prawami natury, nie widzę w tym nic niemożliwego, żeby tłuszcza zbydlęcona alkoholem nie miała się poniżyć do tego poziomu i po konwulsjach gniewu zrezygnować

się wreszcie na znoszenie jarzma kapitału i dogmatu. Gdy się nie ma odwagi lub siły samemu spełnić swego zadania, wielka jest pokusa oczekiwać, żeby się samo spełniło: w tym jest początek wiary w cuda i wszelkich przesądów. Myśl Wolna może oczekiwać swego tryumfu tylko od racjonalistycznego wykształcenia ludu, od wykształcenia zarazem jego umysłu i woli.

Myśl Wolna, jeżeli nie jest tylko odmianą namiętności religijnej, jest energją. Nie powinna być tylko krytyczna i negacyjna. Nie czyniąc zamachu na wolność sumienia, szanując prawo stawiania hipotez, prawo błędzenia, pozostawiając wolne pole wszelkim spekulacjom, zna jeden tylko dogmat szacunku i godności rozumu. Jej prawdziwa propaganda polega na rozpowszechnianiu wykształcenia. Sprawmy, żeby lud nie zgodził się na nieuctwo, żeby przez lenistwo, bierność, przygnębianie pracą niemiłosierną nie wyrzekł się obowiązku kształcenia się, żeby przez to omylił rachuby Kościoła; uczynmy przesąd niemożliwym, udzielając wszystkim rozumienia prawa naturalnego, zastępując oczekiwanie raju zakonem pracy, magję klerykalną działalnością człowieka, opierającego się na Wiedzy, i zakładając jako cel tej skutecznej działalności zupełne urzeczywistnienie Sprawiedliwości na ziemi.

DOKTRYNA CHRZEŚCJAŃSKA W ŚWIELE NAUKI

przez

MAURYCEGO VERNÈS

Dyrektora Szkoły Praktycznej Wyższych Studjów przy Sorbonie

Przedstawić w krótkim wykładzie rezultaty, otrzymane w ciągu XIX wieku w nowej gałęzi studjów historycznych, zwanej »Historją Religji«, niezgodność gruntowną, zupełną, nie do naprawienia, metodycznych i racjonalnych studjów nad wierzeniami lub praktykami różnych kultów z wyznaniem któregokolwiek z nich, lecz szczególnie z wierzeniami chrześcijańskimi i organizacją rzymsko-katolicką, taki jest przedmiot niniejszego studjum.

Bez polemiki, poza wszelką dyskusją, wykaże się najwidoczniej, że człowiek wykształcony, dbający o wiadomości historyczne godne zaufania, musi uchylić się przed faktami, tekstami i dokumentami autentycznymi.

Jeżeli dokładnie i sumiennie nakreślony obraz wiadomości ludzkich w kwestji kosmogonii, geologii, nauk fizycznych, chemicznych

i przyrodzonych zawiera i pociąga za sobą bankructwo wiary, wydaje się nam, że dowodzenie będzie jeszcze prostsze, jeszcze więcej uderzające, jeżeli zadamy sobie trud porównania między sobą różnych religji, ich nauk i obrządków, pochodzenia i stanów w rozmaitych chwilach ewolucji.

Wybiegi, które proponują, żeby uwolnić się od logicznych następstw nowoczesnego pojęcia o wszechświecie, okażą się niemożliwe, wobec detalicznych faktów, przedstawionych w jasnym świetle krytyki literackiej i historycznej.

I

O kilka kroków od koła, w którym zasiadamy jako międzynarodowy Kongres Wolnomysłny wznosi się wspaniały pałac, w którym kryją się nieobrachowane bogactwa sztuki z wielu wieków. Lecz to, co w pałacu Watykańskim jest więcej nadzwyczajnego, to obecność człowieka lub raczej szeregu ludzi, nazywanych kolejno przez głosowanie specjalnego kolegium wyborczego, którzy uważani są za utytułowanych agentów, wprost upoważnionych przez Potęgę twórczą i rządzącą światem, a szczególnie za upoważnionych następców jednego biskupa, pierwszego co do

czasu, apostoła Piotra, którego Jezus Nazarejczyk, zwany »Chrystusem«, synem Boga, wcielony dla odkupienia rodzaju ludzkiego, naznaczył jako swego wikarego, jako głowę linii najwyższych kapłanów, depozytariuszy najwyższej władzy nadprzyrodzonej. Depozytariuszem obecnym tych pełnomocnictw jest papież Pius X, poprzednio kardynał arcybiskup Wenecki.

Jeżeli pozostawimy na stronie tezy, bardzo podejrzone, czysto metafizyczne, które służą za podstawę roszczeń papieństwa, znajdziemy się wobec twierdzenia charakteru historycznego, wobec twierdzenia, że Jezus Chrystus naznaczył apostoła Piotra z zachowaniem wszelkich pierwiastków prorockich i cudownych, służących temu naznaczeniu jako sankcja.

W ten sposób papież teraźniejszy Sarto, nazwany Piusem X, podaje się za oficjalnego przedstawiciela Bóstwa, na mocy wskazówki, która nastąpiła w Palestynie, przed mniej więcej 1900 laty. Żąda on, żeby przed tą powagą wszyscy skłaniali się pod groźbą kar duchowych i doczesnych, które są w jego mocy.

* * *

Przedewszystkim należy tu zauważyć, że podobne roszczenia nie są specjalnie właściwe Katolicyzmowi rzymskiemu. Nie jest to

jedyna religja, która się ogłasza za wyłączną pośredniczkę w sprawie łask i objawień Boskich. Przeciwnie, nie spotyka się w historii cywilizacji ludzkiej żadnego kultu, cokolwiek rozwiniętego, któryby nie twierdził, że został posiadaczem prawdy i że tylko on jest zdolny zapewnić zbawienie swym wiernym dzięki zbiorowi objawień i znaków do tego upoważnionych.

Pius X ogłasza się za wikarego Boskiego, rządzącego nominalnie 225 milionami katolików, liczbą, która nie dosięga szóstęj części całej ludności kuli ziemskiej, i któraby się szczególnie zmniejszyła, gdyby odciągnąć nie pełniących praktyk religijnych.

Lecz jego wyniosłemu oświadczeniu: »Nie-
ma zbawienia poza Kościołem!« różne sekty, powstałe podczas Reformacji protestanckiej w XVI wieku przeciwstawiają swoje wyznania wiary nie mniej nieprzejednane: »Poza Biblią, rozumianą według naszego wyznania wiary, — wyznania roszelskiego, augsburskiego i t. p., — niema niezawodnej znajomości woli Boskiej, niema pewnego odkupienia.« Jest ich, tych sekt, dziesięć czy dwanaście, a rywalizacja między nimi i ostre spory wypełniają całe rozdziały historii Anglii, Niemiec, Holandji. Protestantów różnego rodzaju jest około 160 milionów, liczba, która z kolei każe także się zastanowić. Ilość wyznawców Kościołów

grecko-prawosławnego i wschodniego oznaczają na 115 milionów.

Wiadomo, że księga natchniona, którą różne wyznania chrześcijańskie uważają za zbiór objawień Boskich, — przynajmniej pierwsza jej część najznaczniejsza — jest spadkiem po Synagodze żydowskiej, gdyż Chrześcijanizm z punktu widzenia ewolucji idei jest reformą religii izraelskiej. Judaizm, dufny w praktykę dwudziestu kilku wieków, uważa kościoły chrześcijańskie za odrośle nieprawe; społeczność utworzona z państwa grecko-rzymskiego i najazdu barbarzyńców przyjęła zakon mojszowy w postaci znacznie zmienionej. Szczupła liczba obecnych wyznawców Judaizmu (od pięciu do siedmiu milionów) nie powinna nam kazać zapominać, że Chrześcijanizm wprost pochodzi od Tory i Proroków.

Judaizm ma prawo dochodzić jeszcze innego ojcostwa, a mianowicie ojcostwa Islamu, czyli religii Mahometa, liczącej koło 200 milionów wiernych.

Katolicyzm rzymski ze swemi dążeniami do hegemonji w gruncie rzeczy nie jest czym innym jeno gminą religijną, która się utworzyła na łonie religji Izraela. Nie dosięga on połowy 500 milionów chrześcijan różnych obrządków, ani trzeciej części liczby, 700 milionów, którą się otrzymuje, biorąc w rachubę Żydów i Mahometan.

Nie traćmy z uwagi, że Judaizm, Chrześcijanizm (ściślej powiedziawszy, Chrześcijanizmy) i kult Mahometa, wszystkie razem opierają się na objawieniach, któremi była zaszczycona rodzina Abrahama. Obalić to roszczenie znaczy pociągnąć wszystkie wraz z ich licznemi podziałami do tej samej ruiny.

* * *

Charakterystyczną cechą tej grupy religji jest jej wyłączność, która zmierza wprost i logicznie do prześladowania religijnego. Kto mówi Biblja, kto mówi Ewangelja, kto mówi Koran, mówi fanatyzm. Swędzączkę ortodoksji doktrynalnej, poprawności dogmatycznej posuwa się tak daleko, że pomimo ogólnego złagodzenia obyczajów, dla których coraz więcej stają się wstrętne przestępstwa przekonańowe, fakty prześladowania religijnego ciągle jeszcze są bardzo częste. Nazajutrz po publicznym uznaniu, osiągniętym z takim trudem, Luteranie i Kalwini nie znaleźli nic śpieszniejszego, nad rozdzieranie się między sobą, a jednocześnie rozciąganie nad swemi własnymi zwolennikami dozoru jak najwięcej obrażającego; w r. 1872, gdyby Państwo nie było odmówiło zatwierdzenia decyzji Synodu jeneralnego Kościołów reformowanych we Francji, większość, zwana ortodoksyjną, wyłączyłaby trzecią

część swych współwyznawców, stanowiącą frakcję tak zwaną liberalną, tę, która zdradzała pewną chęć liczenia się z ogólnym stanem nauk. Pamięć, żywą jeszcze, wstrętnych prześladowań, przecierpianych za Ludwika XIV i Ludwika XV, Kościół reformowany pałał niecierpliwością załąpić widowiskiem procesów o herezję.

Umyślnie wybrałem przykłady z życia protestantyzmu, żeby dać do zrozumienia, że troska o czystość doktryny została żywą nawet w kołach najmniej wrogich postępowi idei. Czyż Biblia nie sformułowała w wyrażeniach nieubłaganych obowiązku pozostawania wiernym wierze tradycyjnej pod groźbą kar najstraszniejszych? Piąta księga Mojżeszowa rozwija system metodycznego poszukiwania herezji i zakłada podstawy »inkwizycji« doktryn podejrzanych. Księga *Jozuego*, także księga *Liczb*, *Królów*, *Kroniki* czynią nas świadkami tępienia ludów, których kult fałszywy przyciągał Izraela do stóp bałwanów. Renegaci, apostaci, misjonarze religii cudzoziemskich są najgorszymi wrogami Izraela, ponieważ są przeciwnikami ich Boga-opiekuna, Jehowy. Aljans, nawet tylko ściśle polityczny, z cudzoziemcem jest zdradą, odstępstwem, podlegającym najwyższej karze. Oto co głosi Biblia żydowska. Oto co Nowy Testament i Koran rozwijają z kolei: propaganda misjonarska na zewnątrz, tłumienie

wszelkiego odstępstwa od doktryny wewnątrz, podwójne oblicze wyłączności.

* * *

Na wiele wieków przed tym, nim religja żydowska zaznała tego dziwnego losu, że podbiła świat zachodni pod nazwą mesjanizmu, Indje przedstawiały pod nazwą Bramanizmu i Jainizmu dwa typy religijne, wyróżniające się surowym systemem klas czyli kast społecznych i pesymistycznym pojęciem przeznaczenia ludzkiego: dla uchronienia się od groźby mąk, związanych z szeregiem przemian indywiduum — metempsychozy — Bramanizm, szczególnie, rozmnożył umartwienia i pokuty. Obecnie wszystkie gminy religijne, wyprowadzające się od typów starożytnych, i zwykle obejmowane ogólnym mianem hinduizmu, liczą 150 milionów zwolenników w Indjach właściwych i w Indochinach.

Budyzm jest reformą religijną, przypisywaną księciu Sakja Muni, zwanemu Budą natchnionym (w V wieku przed naszą erą). Przez rozmyślanie, przez unicestwienie pragnień, człowiek zatamowuje w sobie źródło cierpienia; w ten sposób osiąga nirwanę, to znaczy ataraksję moralną i umysłową. Jest to szkoła kontemplacyjna i mistyczna i przeciwnieństwo metody udręczeń i umartwień.

Odpierany środkami systematycznymi, Budyzm po świetnym rozkwicie został wypchnięty z Indji właściwych. Zachował wyspę Cejlon (Budyzm południowy) i silnie się usadowił w Tybecie, gdzie w sposób nadzwyczajny rozwinęła się organizacja klasztorna, lamaizm (Budyzm północny). Reforma, wywołana przez Sakja Muni, zatryumfowała, i to szczególnie w Chinach, gdzie zlała się w synkretyzm dosyć zmacony z religją Konfucjusza (Kung-fu-tse), nauką moralności, opartą na kilku twierdzeniach metafizycznych, bardzo dobrze godzących się w praktyce z troską, jedynie prawdziwie żywotną w tych okolicach, o kult zmarłych, czcą, należną przodkom. Budyści konfucjoniści osiągają największej liczby wyznawców, jaką którakolwiek religja osiągnęła, około 550 milionów, wliczając w to szintoistów japońskich. Wszystkie więc religje typu indochińskiego i dalekiego wschodu, o ile może w tej kwestji być mowa o obliczeniu, osiągają 700 milionów typu semickiego (żydowskiego, chrześcijańskiego i muzułmańskiego).

Dodajmy do tych liczb 100 milionów pogan, to jest wyznawców form pierwotnych religji, których przedstawiciele zamieszkują Azję północną, Afrykę środkową i Australję: fetyszystów, animistów, naturystów, — a będziemy mieli w ogólnych zarysach współczesną statystykę religijną.

II

Obraz ten byłby niezupełny, a przeto niedokładny, gdybyśmy pominęli milczeniem typy religijne dziś nie istniejące, które jednak odegrały znaczną rolę w rozwoju społeczeństw. Egipt starożytny (od 5000 lat przed naszą erą do pierwszych wieków naszej ery) przedstawia obraz politeizmu ludnego, przeładowanego, w którym przedewszystkiem przyciąga uwagę wspaniałość świątyń i grobowców. Teolodzy z nad Nilu potrafili umiejętnie połączyć w grupy swych bogów i zaprowadzić ścisłą hierarchję między bóstwami, właściwemi pewnemu miastu lub pewnej prowincji, i zupełnie obcemi między sobą: system życia przyszłego, życia indywiduum po śmierci i tego, co zawiera przeznaczenie zagrobowe, jest przedmiotem szczególniejszej uwagi z ich strony.

Assyrja i Chaldea są z kolei próbą organizacji teologicznej, w której bardzo ważne miejsce zajmuje działanie planet i sposoby magiczne. W niektórych wypadkach (w Syrii i Fenicji) sformułowano zasadniczy dualizm dwóch zasad, związanych ze sobą, Baala i Astarty, słońca i księżyca, pierwiastku męskiego i pierwiastku żeńskiego.

Lecz pomiędzy wymarłymi formami reli-

gijnemi, żadna nie może nas tak interesować jak system, urzeczywistniony w Grecji, we Włoszech, w cesarstwie Grecko-rzymskim. Zaczawszy od objawów najprostszych, najprywatniejszych, od uwielbiania kamieni, źródeł, drzew, kult rozwija się w Grecji i w Italji w dwóch serjach równoległych, w których przebiega gienjusz różnych cywilizacji. I tutaj jeszcze zachowuje wagę kult cieni przodków, ogniska domowego, ale jednocześnie zjawiają się wielkie osobistości Boskie: Zeus, Atena, Apollo w Grecji, Jowisz, Juno, Minerwa, Wenera w Rzymie. Przedewszystkim zwracamy uwagę, że tutaj jesteśmy świadkami religji narodowej o charakterze szczególnie liberalnym. Podczas gdy u wszystkich narodów, które osiągnęły pewien stopień jedności politycznej, kult staje się *narodowym*, jest skierowany ku pożytkowi grupy, lecz jednocześnie, i to w sposób, któryby można nazwać fatalistycznym, staje się wrogiem kultów narodów sąsiednich, gdyż te zlewają się z ich ambicjami politycznymi, religja rzymska rozszerza się w miarę rozszerzenia się granic cesarstwa. Jest to religja cesarstwa (albo cesarza, głowy ogółu), otwierająca świątynie rzymskie, stolicę Bóstwom narodów zwyciężonych, podbitych, przyłączonych, wcielonych, Bóstwom, pod których imionami, formami, legendami z naj-

lepszą wolą uznaje osoby swych własnych Bóstw.

* * *

Tutaj nasuwa się porównanie: religja żydowska i religja rzymska (w ścisłym znaczeniu tego wyrazu: Rzym i Włochy środkowe) są kultami narodowymi, lecz są też dostępne dla cudzoziemców; tylko Judaizm (i jego odród Chrześcijanizm) jako warunku korzystania z protekcji Jehowy, pana ziemi i niebios, żąda, żeby wyrzec się i podeptać Bogów swego dzieciństwa, bałwanów, gnoju i kału (jest to sposób wyrażania się Biblii); religja rzymska przeciwnie pozwala przypuszczać, że opiekun cesarstwa, Jupiter Optimus Maximus, nie jest czym innym, tylko Bogiem, określonym niedokładnie, niezupełnie znanym, którego czcili Gallowie, lub Giermanie, lub Syryjczycy, lub Egipcjanie pod różnemi nazwami, i nie słusznie zakreślając jego władzy ciasny obwód. Wyższość jest po stronie Rzymu.

W rzeczy samej porównawcze studjum nad religjami skłania nas do przypuszczenia, że synkretyzm kultów grecko-rzymskich, nad którym panuje figura Boga, opiekuna cesarstwa, Jowisza, w pewnym stopniu wcielonego w osobie Cezara, mógł się pogodzić z ogólnym rozwojem filozofji i nauk, gdy tymczasem mię-

dzy niezależną pracą rozumu a twierdzeniami chrześcijańskimi istnieje niezgoda zasadnicza. Stąd konieczność walki, która doprowadzi do upadku wszystkie Kościoły.

Miedzy religjami, któreśmy wyliczyli, — a jakież luki zostały w naszym wykładzie! — nie powiedzieliśmy bowiem ani słowa o tej religji starożytnej Persji, związanej z imieniem Zoroastri, której wpływ na Judaizm, a przez Judaizm i na Chrześcijaństwo, zdaje się, nie może być podany w wątpliwość, — niema ani jednej, któraby odrzuciła wyłączność. Religja bowiem, jak wypływa z określenia, jest zbiorem wierzeń i praktyk, przez które zyskuje się przychylną potęgę nadprzyrodzonych, od których zależy los człowieka; uczynić zamach na te wierzenia, zgwałcić obrządki, to znaczy wystawić się na gniew niebieski, pociągnąć współobywateli do wspólnej katastrofy. Czytajcie w Biblii karty wieloznaczące, z których widać, że zbrodnia jednego tylko człowieka naraża na niebezpieczeństwo cały naród, że najkrwawsze ofiary za ledwie wystarczają do ułagodzenia gniewu Boga opiekuna, gniewu, wywołanego przez odstępstwo jednego człowieka nierozważnego lub nędznika! Przecież nawet w Atenach stracono Sokratesa, który naraził na niebezpieczeństwo swych współobywateli przez rozmowy uchylające Bogom. Kalwin, oddając

stosowi Serveta, oświadczył, że walczy o »honor Boski.«

Zamknąć usta bezbożnikowi, naprawić znieprawę, wyrządzoną Bogom, przez uroczyste ofiary błagalne, to znaczy ocalić naród, jest czynem którego wymaga bezpieczeństwo publiczne, *auto da fe*.

III

Historja religji położyła nie tylko tę rzadką zasługę, że odtworzyła wszystkie kultury obecne i umarłe, godne zachowania w pamięci ludzkiej; lecz rzuciła także jasne światło na pochodzenie i początki »aktu religijnego.«

Ten »akt religijny« jest z samego początku osobisty i miejscowy. Komuś, na przykład, zdało się, że spostrzega, iż pewna skała o formie dziwacznej posiada jakiś przymiot; podobnego przymiotu dopatrywał się w szmerze liści na osamotnionym drzewie, w szemraniu źródła. Upatrywał tam siedlisko gienjusza, *demon*a, w greckim znaczeniu tego wyrazu: religja pierwotna została określona zgodnie z naszym wnioskiem, jako *polidemonizm umiejscowiony*: sanktuarja, w których rezydują Przymioty.

Później postęp cywilizacji wyodrębnił pewne miejsca kultu, co wynosi na jedno, że wyodrębnił pewnych Bogów. Klan, tryb, naród

posiadały sanktuarjum centralne, które Bóg opiekun zaszczycał swemi łaskami w postaci objawień się i znaków. Pomimo roli, którą odgrywa dogmat chrześcijański, stare wierzenia przetrwały u nas bez zmian: kult Serca Jezusowego, sanktuarja Najświętszej Marji Panny w Lourdes, Najświętszej Marji Panny Loretańskiej.

Porównajcie wszystkie miejsca, poświęcone kultom, poczynając od odrażających bałwanów dachowskich lub bałwanów, czczonych przez zacofane plemiona syberyjskie do zbyt- kownych ołtarzy, katedr chrześcijańskich, zobaczycie wszędzie te same oznaki: z uczuciem, które z początku jest bojaźnią, następnie z ufnością, mitygowaną przez niepewność, czy zanoszona prośba wysłuchana zostanie, wierny składa cześć, modli się, ofiaruje, ślubuje, próbuje ugiąć wolę Bóstwa zapomocą wytrwałości lub zapomocą formuł, które muszą zatryumfować nad jego obojętnością. Kult, czy to chodzi o bezmyślnego fetyszystę, czy o katolika, ucznia szkół wyższych, jest zawsze i wszędzie ten sam.

Zawsze i wszędzie zarówno fetyszysta jak katolik, przechodząc przez szereg ognii pośrednich, utrzymuje, że posiada skuteczny sposób żądania, a jednocześnie jest przekonany o potędze nieograniczonej Władzy, do której się ucieka.

Zawsze i wszędzie wierny wie, że jego Bóg go słyszy, że wiele prośb jego zostało wysłuchanych. Mając to przekonanie, patrzy ze wzgardą na kultы, wyznawane przez innych. Trzeba wyjątkowych okoliczności, żeby go skłonić do zmiany jednej religji na drugą: religja z czasów dzieciństwa, silna z powodu otrzymywanych wrażeń w pierwszym okresie życia, bywa porzucana tylko przez umysły niespokojne, a te są nieliczne.

Tylko religje, które się zjawiają z cechami cywilizacji wyższej, z obrządkami i ofiarami odkupienia, uderzającymi wyobraźnię, z powabem tajemnic i stowarzyszeń sekretnych, z doktryną prostą, dostępną pewnym umysłowościom etnicznym, tylko te religje, — często opierające się na sile, gdyż i ona jest dowodem, ponieważ Bóg opiekun innego narodu nie umiał obronić siebie i swych adeptów, — tylko te, powiadam, religje spowodowały gwałtowne burze w regularności akcji i reakcji, następujących po sobie w niebie praktyk i wierzeń porządku kultowego. Były niemi Chrześcijaństwo i Mitraizm, które śmiało narzuciły się społeczeństwu sceptycznemu i znużonemu; były to rządy cesarzów chrześcijańskich, narzucające nową wiarę opornym ostatnim poganom i wprowadzające ją zapomocą legjonów między barbarzyńcami. Był nią Islam, lepiej zastosowany niż dogmat Trójcy do

schludnego gienjusz w schodniego, odrywający gwałtownie od Kościołów chrześcijańskich Wschodu Azję zachodnią i Afrykę północną. Był nią Katolicyzm, narzucony plemionom amerykańskim. Natomiast jaka oplakana klęska propagandy chrześcijańskiej między Żydami i Muzułmanami, w Chinach i w Indjach, pomimo milionowych wydatków i presji Europy!

Czego wierny żąda od Bóstwa? Czego szuka w tych miejscach świętych, uprzywilejowanych przez władze nadprzyrodzone? Zapewne, nie tego, żeby się z nim obchodzono jak z każdym innym: nie, on żąda *względów*, zarządzeń wyjątkowych, któreby uczyniły jego położenie lepszym niż jest, wyższym od tego, czymby je zrobiła gra sił przyrodzonych. Mówiono to już nieraz, i można to tylko powtarzać, nieby bowiem nie skorzystało się zmieniając formułę, wyrażającą to, co należy powiedzieć: Bóstwo jest straszliwym monarchą, którego specjalną protekcję ludzie chcą sobie zapewnić. Dla tego, kto jest mu polecony z dobrej strony, Bóg uczyni coś wyjątkowego. Gdy się już uspokoiło co do niebezpieczeństwa przewidywanej katastrofy, — od piekła i jego tortur zabezpiecza ofiara Syna Boskiego, zaś formuła tego zabezpieczenia zmienia się zależnie od religji, — dąży się do tego, żeby należeć

do nielicznej grupy tych, na których spada manna łask niebieskich.

Oto widowisko, które z początku wzbudza ciekawość, a w końcu wywołuje bunt sumienia. Uczucia sprawiedliwości, pojęcia porządku i prawa boleśnie obraża się przez tezy wyłączności, chętnie przybierające charakter inkwizycyjny i prześladowczy, przez faworytyzm, naśladowający obyczaje dworskie. Nie będziemy zatrzymywali się dłużej nad charakterem niepokojącego pesymizmu, który, w Chrześcjanizmie i Budyźmie mianowicie, dochodzi do potępienia normalnej działalności ludzkiej i wydziela kategorię ascetów, — składających śluby zakonne, tych, którzy, w Chrześcjanizmie na przykład, poddają się potrójnym »ślubom« posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, jedynych wiernych, którzy stosują swe życie do ścisłych wymagań woli Boskiej.

IV

Żeby zakończyć to pobieżne studjum, musimy podnieść wzgląd jeszcze ważniejszy.

Opierając się na ogólnych rezultatach nauki porównawczej o religjach, wykazaliśmy tożsamość aktu religijnego pod bardzo wielką różnorodnością postaci. Wszędzie i od sześćdziesięciu wieków (perjod historyczny), wierni na-

plywali i napływają do świątyń, wskazujących przez Bóstwo, i powracają z nich, ogłaszając, że Bóg wysłuchał wszystkich lub części ich prośb, że zmienił na ich korzyść prawo, regulujące bieg rzeczy przyrodzonych, na przykład uzdrowił beznadziejnie chorego.

Albo wszyscy mają słuszość, albo też wszyscy myślą się jednakowo. Tylko drugie twierdzenie można przypuścić: 1) ponieważ nie mogliśmy nigdy otrzymać od kapłanów żadnego kultu dowodu łask szczególnych, przywiązanych do świątyń, położonych w pewnym miejscu, i wskazanych przez objawienie się lub znaki jakiegokolwiek Bóstwa; 2) ponieważ nie mogliśmy też otrzymać od jakiegokolwiek duchowieństwa dowodu uzdrowienia lub cudu wskutek obrządków, spełnianych w takich świątyniach.

Stańmy teraz wobec Katolicyzmu rzymskiego i zażądajmy usprawiedliwienia jego twierdzeń, jednocześnie porównując je z rezultatami, otrzymanymi przez krytykę literacką i historyczną Biblii, przez egzegiezę ksiąg świętych.

Katolicyzm rzymski powołuje się na dzieństwo biskupie, które na tronie Rzymskim ustanowione zostało w postaci regularnego następstwa władzy, powierzonej przez Jezusa Chrystusa jednemu ze swych uczniów, Piotrowi, zwanemu Księciem apostołów. Nauka

XVI wieku już słuszenie oceniła to twierdzenie, podając w wątpliwość obecność apostoła Piotra w Rzymie i z punktu ogólniejszego, ustalając, że zbiór dokumentów, na których opierają się roszczenia papieskie (fałszywe dekretalja, donacje) mają cechy apokryfów. Teologowie, którzy utrzymują jeszcze, że apostoł Piotr, jako biskup pierwszej gminy chrześcijańskiej, przybył do Rzymu, muszą przyznać, jeżeli są sumienni, że jest to twierdzenie czysto dogmatyczne, postulat wiary rzymsko-katolickiej.

Cofnijmy się więc do początków Chrześcijaństwa.

Nowy Testament waha się, jak bywa za zwyczaj, gdy doktryna nie została jeszcze zupełnie ustalona, i nie wie o Trójcy według symbolów nicejskich i atanazyjskich, i patrzy na Jezusa to jako na człowieka, upoważnionego przez Bóstwo podobnie jak Mesjasz lub Zbawiciel, to jako na istotę Boską, rodzaj anioła, w niektórych miejscach jako na Mądrość lub Rozum Boski, towarzysza boskiego w dziele stworzenia, poniżającego się dobrowolnie do roli człowieka, — więcej może z pozorów, niż rzeczywiście, — żeby ofiarować się zamiast ludzkości, która zawiniła i została skazana na najstraszliwsze męki. Ten Jezus Chrystus czyli Mesjasz ma powrócić niezwłocznie z nieba, dokąd wstąpił, żeby

zająć swe miejsce, po pełnym chwały zmartwychwstaniu, wróci dla przewodniczenia na sądzie ostatecznym i przekształcenia teraźniejszego świata w miejsce pokoju, pełnego rozkoszy.

Twierdzenia, że Jezus Chrystus posiadał przyrodzenie wyjątkowe, nadprzyrodzone, znajdujemy głównie w listach apostoła Pawła, który nigdy Jezusa nie znał osobiście i nawrócił się na nową wiarę już po męce, którą przecierpiał Mesjasz, i w Ewangieljach, zbiorach cudownych opowiadań, zredagowanych po dwóch lub trzech pokoleniach od zniknięcia Jezusa w pewnego rodzaju apologjach bez spójni, różniących się między sobą bardzo znacznie. Krótko mówiąc, Chrześcijaństwo pierwotne jest Judaizmem podług Biblii (Starego Testamentu), uzupełnionym przez twierdzenia o niedawnym zjawieniu się Mesjasza, głowy królestwa duchowego i materialnego zarazem, którego oczekiwali Żydzi po wiekach poniżenia, i mającego nastąpić jego powrotu dla uwieńczenia rozpoczętego dzieła.

Ponieważ Nowy Testament jest tylko koroną budowy, wzniesionej przez Stary, którego odtąd z punktu widzenia chrześcijańskiego nie należy uważać za co innego, tylko za »przygotowanie« nowego porządku, sprawdźmy tytuły Biblii hebrajskiej do charakteru Objawienia.

Na piętnaście wieków przed erą chrześcijańską Mojżeszowi na górze Synai powierzono prawo Boskie, Torę, kodeks, nadany przez Bóstwo narodowi Izraelskiemu w celu uregulowania jego czynów w ziemi, poprzednio obiecaną Abrahamowi, a którą wtedy miał objąć w posiadanie z prawa podboju świętego. Tymczasem, badania prawa, zwanego prawem Mojżesza, wykazały, że przepisy *Pięcioksiągi* są wytworem szeregu pokoleń, które zmieniały przepisy, stosowane do życia prywatnego i ceremonii religijnych, zależnie od wypadków. Nie jest to wcale program, ułożony z góry, lecz rezultat lub raczej szereg prób dosyć bezładnych, w których trudno oddzielić wymagania rzeczywiste od względów czystej teorii. Wszystko to ma tylko wartość jako źródło wiadomości, zresztą niewystarczające, o prawodawstwie, spisany przez juryskonsultów i teologów żydowskich w V, IV i III wieku przed naszą erą.

Następnie, rozstrzygającymi argumentami apologetyki chrześcijańskiej są cuda i procektwa. Te zaś, o których wspominają Ewangielje i Dzieje Apostolskie, są powtórzeniem, kopją tych, o których opowiada Biblia żydowska.

Dar prorokowania jest szczególniejszą cechą natchnienia Bożego. Sam tylko Bóg zna przyszłość! Bóg chrześcijański, rozumie się;

gdyż niema takiej religji, któraby nie utrzymywała, że jest zbiorem rad, prorocत्व i przepowiedni Boskich. I w tym wypadku, jak wtedy, gdy chodzi o wysłuchanie prósb, o uzdrowienia cudowne, albo wszystkie religje mają słuszość, albo wszystkie się mylą. Ponieważ dokumenty, potwierdzające te twierdzenia, nigdy nie pochodzą od współczesnych, nigdy nie bywają potwierdzane przez świadków, godnych wiary, narzuca się zaprzeczenie zarówno jak co do przepowiedni, tak co do uleceń, z wyjątkiem tego, co się tyczy polepszeń mniej lub więcej trwałych, które dają się wytłumaczyć wstrząśnieniem nerwowym.

Gdzie są te prorocत्वa, zachwalane przez Bossueta? O Cyrusie wspomina się na dwa wieki przed jego narodzeniem i nazywa się go po imieniu: jakież dowód miałby większą wartość? O to tylko chodzi, że prorocत्वa Izaasza napewno są późniejsze od odbudowania Judaizmu, to jest od epoki Cyrusa; autor według bardzo prawdopodobnego przypuszczenia nawet nie jest współczesnym perskiego zdobywcy: pisał on dwa lub trzy wieki później, wtedy kiedy doktorzy żydowscy marzyli o propagandzie religijnej na ziemiach, zdobytych przez cywilizację grecką.

Prorocy oczekiwali od dziesięciu wieków Jezusa Chrystusa. Porównajcie stronnice, opisujące wyjście z Egiptu, epopeję Eljasza i Eli-

zeusza z cudami Ewangelji! Istotnie, doktorzy i młody Kościół chrześcijański zapożyczyli ze Starego Testamentu rysy, w których chcieli przedstawić swego Nauczyciela. Stąd niedające się zaprzeczyć podobieństwo. Strauss po mistrzowsku ustalił sposób komponowania Ewangelji, śmiało zużytkowanie wypadków dobrze znanych. *Vaticinium post eventum*.

Gdyby nawet wahano się z utrwaleniem redakcji sześcioksiągu i ksiąg historyczno-prorockich w okresie następującym po Niewolnictwie, to według tezy, której broniliśmy ośbiście, żaden egzegieta nie ośmieli się twierdzić, że wszystkich tych ksiązek nie można podejrzewać o to, że były przerabiane za czasów drugiej świątyni. Stwierdzenie tego wyłącza rzekomy dowód zapomocą »cudów i prorocत्व.«

Naród Izraelski nie był zgół przedmiotem objawienia Boskiego, ani też wybranym przez Bóstwo twórcze świata. Księgi, z których składa się Biblja, wykładają nam stan obyczajów i wierzeń żydowskich między V a III wiekiem przed naszą erą (czasy Restauracji, drugiej świątyni). Są one utworem obmyślanym, z pewnych względów godnym uwagi, juryskonsultów i teologów, którzy, silni nauką przeszłości, pouczali swych współobywateli, jak mogą sobie zapewnić lepszą przyszłość przez skrupulatne obserwowanie przykazań Boskich. Wy-

dawało im się, że robią dobrze, zakrywając swe dzieło wielkimi imionami przeszłości: Mojżesza, Samuela, Izajasza i Jeremjasza. Podstęp literacki został wyprowadzony na światło dzienne: tym gorzej dla tych, którzy tego nie wiedzą, — lub udają, że nie wiedzą.

Judaizm nie jest religją starożytną, brak mu do tego dużo. Zrodził się w V wieku przed naszą erą w powiatach Syrii południowej, zwanej Judeą w warunkach, analogicznych do powstania Islamu. Tak jak ten, nastąpił po polidemonizmie dosyć pierwotnym, liczącym dosyć dużo miejsc kultu, zaopatrzonych w bałwany i różne urządzenia, których znaczenie nie jest dosyć jasne. Jehowa był czczony bardzo powszechnie od X wieku: z tego Boga patrona narodowego uczyniono stwórcę lub rządę świata. Tak jak Islam, Judaizm opiera się na kilku tezach bardzo prostych, lecz potrafił się z bogacić wciągnięciem pierwiastków obcych bez szkody dla swego charakteru oryginalnego.

* * *

Katolicyzmowi rzymskiemu, opuszczonemu przez Naukę, pozostają wyjścia, nie mające poważnego znaczenia. Rola, jaką odegrywa uczucie religijne u tyłu narodów, czy nas nie skłania do tego, żebyśmy uznali jego rację

bytu? Zgoda: to, czym jest alchemja w stosunku do chemji, astrologja do astronomji, tym jest wszelkie *credo* w stosunku do studjum naukowego religji. Przytoczcie modlitwę wysłuchaną, uzdrowienie skontrolowane. — Milkniecie, i słusznie. Przedmiot uczucia religijnego nie daje się dowodzić; rzekome jego skutki nie dają się sprawdzać.

Odejmiście moralności podstawę, którą znajduje w religji, a narazicie samą moralność na szwank. Twierdzenia fałszywe, bez podstawy, nigdy nie przyczyniały się do umocnienia nauki postępowania. Dekalog żydowski, wykładany dotychczas przez Kościół, powołuje się jako na najważniejszy dowód, na to, że naród Żydowski został wybrany, uwolniony z niewoli egipskiej: twierdzenie podwójnie błędne. — Z drugiej strony, Kościół zawsze był pobłażliwy dla kłamstwa. Prawda racjonalna bez wahania została poświęcona dla wiary w symbole Nicejskie i Atanazyjskie, w *Syllabus*.

CZYM POWINNA BYĆ WOLNOMYŚLNOŚĆ

List GABRIELA SÉAILLES

prof. Sorbony

do Kongresu Wolnomyślnego w Gienewie w r. 1902

Panowie!

Żeby uniknąć wszelkiego nieporozumienia, przedewszystkiem powinniśmy postarać się o porozumienie co do samego wyrażenia wolnomyślność, a jestem pewny, że będę waszym tłumaczem, gdy powiem, że powinniśmy je brać w jego znaczeniu ścisłym, które jest zarazem najliberalniejszym i najszlachetniejszym.

* * *

Wystrzegajmy się określania Wolnomyślności, jak to czynią jej najgorsi przeciwnicy, którzy nie chcą w niej widzieć nic oprócz wyrazu złożonego, hybrydnego, który oznacza, powiedziawszy prawdę, coś przeciwnego niż te dwa terminy, które łączy. Nie ułatwiamy zwycię-

stwa tym, którzy udają, iż wierzą, że wolnomyślny wyczerpuje cały запас swej inteligencji, kiedy woła: »Huzia! huzia! na księdza!« i że ten refleks zastępuje mu refleksję. Nie liczymy na namiętności. Tylko inteligencja wyzwala z przesądów tradycyjnych. Tylko wtedy jest się prawdziwie wyzwolonym z religii, gdy się ją zrozumiało. Namiętność mniej się troszczy o prawdę, niż o zaspokojenie samej siebie; na przedmiocie zależy jej nie wiele. Stąd te nagłe przewroty, powodujące niespodziewane nawrócenia.

Wolnomyślność nie jest rodzajem świeckiej nietolerancji. W Wolnomyślności jest i *wolność* i *myślenie*. Nie poświęcajmy ani myśli, ani wolności. Zaprzeczamy nie dlatego, że nie możemy twierdzić; zaprzeczamy przymusu duchowego w imię zasad wyższych, do których nawet nasi przeciwnicy odwołują się pośpiesznie, skoro spostrzegają, że są słabsi i że ich zasady zwracają się przeciwko nim samym. Wolnomyślność można określić tak: prawo do wolnego badania. Wymaga ona, żeby wszelkie twierdzenie było wezwaniem umysłu do umysłu, żeby się zjawiało z dowodami, żeby się oddawało na roztrząsanie, żeby więc żaden człowiek nie usiłował narzucić *swojej* prawdy innym ludziom w imię powagi zewnętrznej i wyższej od rozumu.

Wolnomyślnym więc jest każdy — jakie-

kolwiekby były zresztą jego teorje i wierzenia — kto, żeby je uzasadnić, ucieka się tylko do swej własnej inteligencji i poddaje je kontroli umysłowej innych ludzi.

Wolnomyślność nie wyłącza ani hipotezy, ani błędu; ona jest nawet przedewszystkiem wolnością błędzenia; odmówić bowiem człowiekowi prawa mylenia się, znaczyłoby wierzyć naiwnie, że się posiada prawdę absolutną, znaczyłoby ogłosić się za nieomylnego, ogłosić się za małego papieża. Cieszymy się raczej z różnorodności zdań, zamiast się na nią dąsać: zmusza nas ona do rozmyślenia; poruszając idee, przygotowuje nowe ich kombinacje.

Jednym słowem, Wolnomyślność jest metodą; nie jest ona doktryną, gdyż w chwili, w którejby się za doktrynę podawała, zaprzeczałaby tego, co twierdzi.

* * *

Teraz wiedząc o co chodzi, możemy określić, co Wolnomyślność wyłącza.

Prawdę powiedziawszy, wyłącza ona tylko tych, którzy wyłączają się sami przez swe roszczenie umieszczenia się poza i ponad Rozumem. I oto dlaczego Wolnomyślność znajduje nieprzejednanego wroga w Kościele katolickim. W rzeczy samej, Kościół katolicki

utrzymuje, iż posiada prawdę absolutną; dzierży zaś ją przez łaskę szczególną, przez objawienie, które od dwóch tysięcy lat nie przedstawiało płynąć i płynię z ust papieży, wielkich wikarych Boga na ziemi. Gdy się jest w bezpośrednich i ciągłych stosunkach z Wiecznym, to się nie traci czasu na dyskutowanie z ludźmi, lecz zgina się ich pod jarzmo.

Lecz to nie wszystko. Niema zbawienia poza Kościołem! A Kościół jest matką; za wszelką cenę chce nas zbawić; przypisuje więc sobie przywilej prześladowania grzechu, kontrolowania każdej myśli ludzkiej; przywłaszcza sobie misję zmuszania gwałtem buntowników, oświecania ich, czy chcą, czy nie chcą, chociażby zapomocą światła stosów.

Zbrodnie historyczne tak samo jak uroszczenia teraźniejsze wkładają na nas obowiązek zwalczania go, ponieważ nie mamy innej gwarancji dla wolnomyślności, oprócz jego słabości i niemocy. Szanujmy wolność wierzenia katolików, lecz poweźmy stałe postanowienie uczynić ich nieszkodliwymi.

Wolnomyślność wyłącza także tych, którzy, choć uznają wolność badania, ograniczają ją do pojmowania Pism świętych, które zawierają prawdę, objawioną przez Boga.

W samej rzeczy i w tym wypadku nie wymaga się dowodów od prawdy, nie żąda się, żeby się usprawiedliwiła przed umysłem;

istnieje ona poza rozumem, wypływa z objawienia nadprzyrodzonego, które umyka się prawom i kontroli logiki ludzkiej. Żeby istniała Wolnomysłność nie wystarcza, żeby wolne badanie mogło być stosowane do prawdy objawionej, należy, żeby prawda sama miała swą zasadę w rozumie i zależała tylko od siebie.

* * *

Lecz, przyznając to, czy możemy iść dalej? W imię wolności myśli narzucić granice myśli? Zechcemyż skazać na wygnanie metafizykę? Zakazać odtąd wszelkiej spekulacji nad początkiem i końcem rzeczy? Ułożyć swój własny *Syllabus*, wydać spis kwestji dozwolonych, ogłosić za wyklętego każdego, kto się da skusić zagadnieniu zakazanemu? Za wyklętego każdego, kto będzie usiłował rozmyślać nad światem nauki, szukać w nim sensu, któryby zupełnie zadowolił myśl, wyrazić go w spójnym i zrozumiałym systemie idei? Ostrożnie, żeby, odrzucając zagadnienia, które wciąż zajmują wiele umysłów, nie zachęcać do rozwiązań przesądnych; baczność, żeby, potępiając śmiałość wolnej myśli, która dąży do zależenia tylko od siebie, nie nadać autoritetowi tego, co odjęło się racjonalizmowi.

Czyż zechcemy, kierując się logiką raczej

śmieszną, ogłosić ateizm, a przynajmniej nadać mu pewien rodzaj przywileju, przywileju umysłów prawdziwie silnych. Niestety! trudniej jest, niż to sobie wyobrażają, zgoda nie zajmować się metafizyką: a najgorsza z nich jest ta, która jest nieświadoma siebie, która przypuszcza, że jest tylko wyrazem faktów, gdy tymczasem jest tylko ich tłumaczeniem samowolnym. Ateizm jest jedną z takich nieświadomych siebie metafizyk.

Więc jeżeli nie ateizm, będący także dogmatem, ogłosimyż jako obowiązujący pozytywizm? Czy zobowiązemy się uroczyście uznawać tylko fakty i ich stosunki, powstrzymywać się lojalnie tym razem i ze świadomością swego stosunku umysłowego od wszelkiej spekulacji, która poza nie wykracza; krótkimi słowy, czy zamknijemy się w dziedzinie nauki, nie potrącając o kwestję zasad, na których nauka została zbudowana, nie przekraczając z próżnej ambicji poza granice rezultatów, które wystarczają do usprawiedliwienia tych zasad. Byłoby to nieco naiwnie oddawać Wolnomysłność pod wezwanie Augusta Comte, wyrzekając się metafizyki; ten wielki człowiek, którego nikt więcej niż ja nie podziwia, wiedział, że potępia też wolnomysłność: powiedział to, powtarzał to i jako namiętny wielbiciel katolicyzmu i jego kar-

ności wziął sobie za cel odbudowanie autorytetu duchowego.

Nie wyłączając nikogo, uznajmy tylko ten fakt, że jest równie fantastycznie liczyć na metafizyki, jak na religie, jeżeli chodzi o doprowadzenie umysłów do jedności. W imię Wolnomysłności domagajmy się, żeby nie było odtąd opinii podejrzanych lub uprzywilejowanych, żeby można było być ateuszem, nie narażając się na obchodzenie, jak ze zbrodniarzem, i wierzyć w Boga, nie będąc uważanym za głupca. Porzućmy zakrystyjne sposoby mowy i postępowania: »Nierozumny, powiedziałeś w sercu swoim...« Niech ci, co sobie podobają w propagandzie, wystąpią z wodami, nie zaś z apostrofami i obelgami.

Jako program porozumienia i wspólnego działania pozostaje nam w wolności żyjąca różnorodność wierzeń, Sprawiedliwość Społeczna jako cel, Nauka jako środek. Pokój ludziom dobrej woli!

* * *

Po prawdzie, któżby się ośmielił wziąć na się odpowiedzialność wyłączenia z grona wolnomyslnych Dekarta, Spinozy, Leibniza, Fichtego, Hegla, Schopenhauera, wszystkich tych wielkich wyzwolicieli umysłu ludzkiego! Wszyscy powołują się na rozum, i nie powołują się

na nic innego, tylko na niego. Ponieważ idea Boga dla nich bynajmniej nie jest ideą irracjonalną, więc służy im jako oparcie do twierdzenia, że wszystko jest racjonalne, że wszystko jest do zrozumienia, to jest że wszystko może być przez Rozum przeniknięte, że we wszystkim może się on odnaleźć, jeżeli się szukać umie.

Lecz metoda ich jest aprioryczna, lecz poznać się zgoła nie umieli, lecz ich tak zwane »do zrozumienia« zmienia się, jak ich systematy.

Nie ustawajmy nigdy w stwierdzaniu tego; burzmy ich systematy, jeżeli nam tak dyktuje nasze serce; ignorujemy je, jeżeli to wolimy; inni zaś, przeciwnie, niech się zachwycają temi śmiałymi konstrukcjami i, przekonani, że byt ukrywa w swej głębi rozum, niech próbują szczęścia z kolei! Dla siebie w imię wolności myślenia zachowajmy prawo do hipotez, prawo do wierzeń, prawo do błędu, który wtedy tylko jest niebezpieczny, gdy chce się usunąć z pod kontroli roztrząsania i narzucić drogą przymusu.

Pójdę dalej: gdyby nawet znikła metafizyka, nie znikłyby wierzenia, które długo uważano za warunek egzystencji metafizyki. Najniebezpieczniejszy przeciwnik metafizyki, człowiek, który przeprowadził najprzenikliwszą i najwięcej decydującą jej krytykę, Kant,

przypuszcza, że Bóg istnieje, i że dusza jest nieśmiertelna, bez wątpienia, nie żeby uczynić te kwestje przedmiotami nauki właściwej, lecz jako przedmioty rozsądnego wierzenia. Największy z żyjących filozofów francuskich, Karol Renouvier, idący dalej niż Kant, nie uznający zgodnie z Augustem Comte i pozytywistami nic oprócz zjawisk i stosunków między temi zjawiskami, zamykający umysł we względności na mocy jego własnych praw, który zaprzecza, jako bałwanów potwornych, substancji, absolutu, nieskończoności, zgadza się z Kantem co do prawa, które posiada umysł ludzki, rozciągania swych hipotez poza to, co mu obecnie jest dane, do zadawania sobie pytania, jakie znaczenie ma świat zjawisk, szukania objaśnienia, któreby go czyniło prawdziwie zrozumiałym, przez uczynienie go zgodnym z wymaganiem świadomości moralnej.

Nie jest moim zadaniem wydawanie wyroku o tych usiłowaniach; dosyć, że były one robione przez ludzi, którym nikt nie zaprzeczy szczerości, wysokiej inteligencji, zupełnej niezależności, i o których można powiedzieć, że czynią zaszczyt ludzkości swym życiem, pełnym bezinteresowności, zupełnie poświęconym poszukiwaniu prawdy.

Powiedzmy to głośno, Kongres Wolnomysłny, do którego by nie mogli być dopuszczeni, lub na którym by nie mogli zabrać głosu

Dekart, Spinoza, Leibniz, Kant i Renouvier, spinozysta Goethe i heglista Ernest Renan, deista Victor Hugo, byłby parodią sekciarską.

Wolnomysłność oznacza wolne badanie, wolne użytkowanie rozumu na własne ryzyko i niebezpieczeństwo, nie zaś samowolne ograniczenie prawa rozumu do rozmyślania o Wszechświecie przez jakieś koncylium świeckie.

Bądźmy świadomi swej odpowiedzialności. Baczmy, żebyśmy nie zmienili tylko formy inercji tradycyjnej, byśmy nie wzięli za wolność dawnej tyranji w nowym przebraniu. Brońmy się przed dogmatyzmem i scholastyką; miłujmy wszystkie formy Wolnomysłności, radujmy się z różnorodności idei, bo gdyby nie ona, postępby ustał. Manja jednorodności, powagi, która upewnia, jest cechą słabości i niemocy.

W swej pięknej książce o *Obsessions et la Psychasthénie* mój znakomity przyjaciel, Dr Piotr Janet, stwierdza potrzebę, którą uczuwają pewnego rodzaju chorzy, żeby wszyscy myśleli i postępowali jak oni. Wszelka sprzecznosc wywołuje w nich zmieszanie, dekoncentruje ich, przyprowadza o cierpienie i wyprowadza z równowagi umysłowej; ich despotyzm gwałtowny jest tylko świadomością własnej bolesnej niestałości. Ich środowisko musi odbijać ich własny obraz, inaczejby się on starł, jeżeli można się tak wyrazić, pozostawiając ich

w niepokoju i pomieszaniu. »Umysły słabe, powiada autor, czują, że się chwieją w swych rzekomych przekonaniach, gdy się znajdują w obecności ludzi, którzy sądzą inaczej. Uczuwają potrzebę pokonania tych przekonań, albo przez nawrócenie, albo przez wytepienie tych, co myślą inaczej, żeby mogły wierzyć, jak im się podoba. Bowiem, nie wiara zapaliła stosy religijne, lecz wątpliwość lub raczej okropny strach przed wątpliwością w kwestjach religii ożywiał fanatyków.« Nie bądźmy podobni do tej chorej, opisanej przez Dr Janet, która nie może umyć sobie rąk »ponieważ słyszy ze swego pokoju, jak kucharka spuszcza wodę z wodociągu do zlewu i któraby chciała, żeby wszyscy w domu od góry do dołu zajęci byli robieniem porządku«, gdy ona myje ręce.

* * *

Po cóż jechać do Rzymu w r. 1904, jeżeli chodzi wyłącznie o popisanie się najnowszą formą sekciarstwa, — jeżeli tylko ona jest nowa, — sekciarstwa negacyjnego; jeżeli chodzi o odbycie koncylium ateizmu ortodoksyjnego, o uspokojenie Kościoła Rzymskiego przez pokazanie, że jego nauka, trwająca wieki, nie poszła na marne, tak dobrze przenikła w umysły, że jego najgwałtowniejsi przeciwnicy nie mogą stać się niczym innym, tylko jego obrazem,

karykaturą jego dogmatyzmu i nietolerancji. Nie idźmy do Rzymu jak żaki zbuntowane, lecz jako ludzie świadomi, »iż cała ich godność polega na tym, że myślą«; idźmy tam wznowić wielką tradycję starożytnego racjonalizmu i zbudzić ducha żywego wobec martwej litery. Nasza rzekoma niewiara nie jest negacją i nędzą; jest ona odrzuceniem w imię ideału nowego błędów starych i dogmatów przestarzałych.

Kościółowi przeciwstawmy najsamprzód sprzeczność wewnętrzną, którą w sobie zawiera. Jezus potępia wszelki formalizm, magję obrzędową i przesady, pozwalające kapłanowi żyć z ołtarza, i niezmordowanie powtarza wielkie słowa, włożone przez Ozeasa w usta Jehowy: »Ja chcę miłości, nie ofiary.« Wypędza kupczących z świątyni; potępia »Doktorów którzy chcą chodzić w długich szatach i pozerają domy wdów pod pokrywką długiego modlenia.« (u Św. Marka, XII, 40) między sobą i swojemi nie chce mieć pośredników; jakby przewidując wszystko zło, które będzie popełnione w jego imieniu, zakazuje wszelkiej hierarchji kościelnej; usuwa papieża z grona swoich uczniów: »Ale wy nie zówcie się *rabi*: albowiem jeden jest nauczyciel wasz, a wszyscy jesteście bracia. I ojca nie zówcie sobie na ziemi: albowiem jeden jest ojciec wasz, który jest w niebiesiech.« (Św. Mat. XXIII, 8).

Nie obrażając bez sensu Jezusa, który został wydany na śmierć za znową wszystkich władz ustanowionych, księży, bogaczy i książąt ludowych, — wszystkich którzy obecnie są dewotami, — stwierdźmy, że moralność, głoszona przez niego, nie może być dłużej naszą moralnością, ponieważ przestała odpowiadać wymaganiom sumienia nowoczesnego. Nauka i przemysł przekształciły nasze pojęcia o Wszechświecie i życiu. Przyzwyczajenie do metod naukowych zakazuje nam opierania rzeczy wiadomych na niewiadomych. Nie możemy dłużej uważać za dzwignię swych czynów oczekiwania wyroków przyszłości. Raj nie kusi nas; nie mielibyśmy tam nic innego do roboty, chyba to, żeby szukać środków zgaszenia ogni piekielnych i przeprowadzenia z powodzeniem buntu przeciw okrutnemu Bogu, który je zapalił. Nie chcemy dłużej marzyć o sprawiedliwości w państwie niebieskim, a zrezygnować się na zło tutaj na ziemi; pragniemy urzeczywistnić ją w stosunkach rzeczywistych między ludźmi, a żeby osiągnąć powodzenie liczymy tylko na własny wysiłek.

Wysiłek ten powinien być kierowany przez Naukę. Odtąd Nauka jako środek konieczny jest częścią składową moralności: nie wystarczą już nam ubodzy duchem. Przeciwstawmy Kościołowi to, co go rzeczywiście zwyciężyło, Naukę nowoczesną, Wolnomysłność, przeciwko

której nic nie pomogły usiłowania Kościoła; lecz nie oddzielajmy Giordana Bruno od Kopernika i Galileusza; przeciwstawmy mu to wszystko, co on potępia w *Syllabus*, który jego przeciwnicy przedrukowują, jako satyrę na autora, przeciwstawmy mu wielki ruch myśli nowoczesnej, który poczynając od Odrodzenia i Reformacji coraz i coraz więcej odsuwa go w przeszłość, oddala i zmniejsza. Potężny, bardzo potężny materialnie Kościół coraz mniej jest potęgą duchową. Jezus mówił nam o tych grobach pobielanych, które wydają się piękne naszym oczom, lecz zawierają tylko śmierć i zgniliznę.

Idźmy więc do Rzymu, nie żeby się zgorznieć jakimiś przechwałkami, lecz żeby dać uspokajające widowisko Wolnomysłności, która nie może być niczym innym, tylko spokojną refleksją, szeroką tolerancją, pojmowaniem wszystkich form poszukiwań i prawdy. Nie wyłączajmy nikogo oprócz tych, którzy się sami wyłączają. Nie rozprawiamy nad tym, co nas rozdziela, lecz uświadommy sobie to, co nas łączy. Nie szukajmy jednorodności, ortodoksji; tym mniej nie wyobrażajmy sobie, że się zrozumiało wszystko, czego się zaprzecza i nie dążmy do narzucenia spisu swoich zaprzeczeń; poszukujmy jedności nie w zrozumiałym dogmatyzmie, lecz w szacunku sumienia i osoby ludzkiej.

Tylko w ten sposób manifestacja nasza zachowa charakter poważny, bez któregoby była niewielkim hałasem o nic; w ten tylko sposób fałszywej powszechności Kościoła, który jest tylko sektą przy innych sektach, przeciwstawimy prawdziwą powszechność Nauki i Rozumu, w której mogą obcować wszystkie umysły wolne i szczerze.

LIST MARCELEGO BERTHELOT

DO KONGRESU WOLNOMYŚLNEGO W RZYMIE

w r. 1904

Pozdrawiam Kongres Myśli Wolnej, zgromadzony w Rzymie, i przesyłam jego członkom swe życzenia dla ich dzieła i dla ich osób.

Zgromadzenie się Kongresu Myśli Wolnej w Rzymie jest znakiem czasu; Rzym to bowiem był dłużej niż przez piętnaście wieków ogniskiem prześladowania nauki. Tutaj to właśnie był otwór przepaści, przepowiadanej przez Apokalipsę, z której wydobywały się zatrute dymy przesądów, fanatyzmu i inkwizycji, wzbite przez teokrację. Opierając się na swych milicjach mnisich i kongreganistycznych, usiłowała na wieki zatrzymać ludzi pod panowaniem podwójnego miecza duchowego i doczesnego. Nawet za naszych dni w Paryżu słyszeliśmy, jak z wysokości katedry naszej stolicy pewien dominikanin wzywał interwencji ramienia świeckiego.

Włochy cierpiały być może więcej niż jakikolwiek inny kraj z powodu roszczeń Kościoła w wiekach średnich, a więcej jeszcze w czasach nowych, gdy wolny rozwój myśli i nauki w epoce Odrodzenia został zduszony w zarodku przez papieństwo. Stos Giordana Bruno dymi dotychczas, a proces wytoczony Galileuszowi, nie może być nigdy zapomniany, gdyż był on uroczystym potępieniem samej nauki w imię dogmatu i Pisma świętego.

W samym Rzymie prześladowania klerykalne ustały dopiero z chwilą, gdy Włochy wzięły w posiadanie swą stolicę doczesną.

Jest to więc przedsięwzięcie sprawiedliwe i godne, zbawienne dla rodzaju ludzkiego, które nas tutaj zgromadziło, żebyśmy wyrażnie zaznaczyli ewolucję ducha nowoczesnego i tryumf nowego społeczeństwa, które czerpie swą powagę w absolutnej niezależności zdań i nieprzepartych twierdzeniach nauki.

Oto jaki sztandar wznosimy wobec Watykanu, stolicy objawienia Boskiego i nieomyślności papieskiej.

Jednak, zachowujmy zawsze życzliwą pogodę, która odpowiada naszemu szczeremu umiłowaniu sprawiedliwości i prawdy. Głos nauki nie jest ani głosem gwałtu, ani głosem bezwzględnych doktrynerów. Chociażby zbrodnie teokracji były jak największe, nie możemy nie uznać dobrodziejstw, które cy-

wilizacja chrześcijańska rozlała niegdyś po świecie. Przedstawiała ona fazę cywilizacji, stadjum, dziś w postępowym biegu ewolucji prześcignięte przez ludzkość. Byłoby przeciwnie naszym zasadom, gdybyśmy z kolei mieli prześladować swoich dawnych prześladowców, jeżeli ci ograniczą się na tym, że zostaną wierni swym przekonaniom dawniejszym, i nie będą usiłowali narzucić ich innym.

Wszystko, czego mocno pragniemy, co mamy prawo i obowiązek uczynić, to to, żeby odjąć duchowi klerykalnemu i wstecznemu oficjalne kierownictwo państw, a nadewszystko obowiązkowe kierownictwo sumień, kierownictwo oświaty ludowej i instytucji solidarności społecznej.

To pewna, że nie posiadamy takich uroszczeń, jak prorok, który zstąpił z Synaju; nie chcemy tępować swych wrogów i ogłosić Dekalogu.

Nauka, którą obwieszczamy, kieruje się nowym duchem tolerancji, powtarzam to, opartej na wolności myśli i ścisłej znajomości praw przyrodzonych. Nie mieszajmy tej metody z metodą fałszywej nauki teologicznej, która wyprowadza *a priori* swe wnioski z dogmatów fikcyjnych, z czystą scholastyką, próżną wszelkiej rzeczywistości, i nieustannie narażonej na twierdzenia przeciwnie rozumowi lub herezje. Nauka, którą my reprezentujemy, na-

rzuca swe kierownictwo we wszystkich dziedzinach: przemysłowej, politycznej, wojskowej, wychowawczej, a przede wszystkim moralnej, opierając się wyłącznie na prawach przyrodzonych, stwierdzonych *a posteriori* przez obserwacje i doświadczenia uczonych wszelkiego rodzaju: fizyków i mechaników, tak samo jak historyków i ekonomistów, chemików, medyków i przyrodników, zarówno jak psychologów i socjologów.

W ten sposób ustanowimy w świecie panowanie rozumu, wyzwolonego z dawnych przesądów i systematów dogmatycznych: to znaczy ideał wyższy, moralność wyższą i pewniejszą niż moralność czasów ubiegłych, ponieważ będzie ugruntowana na znajomości natury ludzkiej i ponieważ obwieszcza i dowodzi solidarności umysłowej ludzi i narodów.

ZASADY WOLNOMYŚLNOŚCI

Deklaracja przedstawiona Kongresowi Wolnomysłnemu
w Rzymie w r. 1904

przez

FERDYNANDA BUISSON

honorowego dyrektora wykształcenia początkowego, prof. Sorbony.

Międzynarodowy Kongres Wolnomysłny, zgromadzony w Rzymie dnia 22 września 1904, chcąc zapobiec wszelkim nieporozumieniom przez określenie zaraz z początku znaczenia, które przywiązuje do słowa »wolnomysłność«, a przez to samo określić doniosłość żądań, które sformułuje, mniema, że powinien poprzedzić swe obrady specjalne Deklaracją zasad, wyrażoną w trzech następujących uchwałach.

I

UCHWAŁA PIERWSZA.

Określenie ogólne wolnomysłności.

Wolnomysłność nie jest doktryną: jest to metoda, to znaczy sposób kierowania swą

myślą, a przez to samo i swoją działalnością we wszystkich dziedzinach życia indywidualnego i społecznego.

Cechą tej metody nie jest to, że powołuje się na pewne prawdy szczególne, lecz że zobowiązuje ogólnie do poszukiwania prawdy w jakiejkolwiek dziedzinie, wyłącznie zapomocą przyrodzonych środków umysłu ludzkiego, tylko zapomocą światła rozumu i doświadczenia.

Wolnomyślność można rozpatrywać albo teoretycznie w dziedzinie umysłowej, albo praktycznie w dziedzinie społecznej.

W jednym i drugim wypadku określa się ona według dwóch zasad następujących.

II

UCHWAŁA DRUGA.

Dwie zasady Wolnomyślności w dziedzinie teoretycznej
czyli umysłowej.

Zasada pierwsza. Wolna Myśl nie może przyznać żadnej powadze prawa przeciwstawiania się lub stawiania się wyżej od rozumu ludzkiego; wymaga, żeby jej zwolennicy odrzucali wyrażnie, nie tylko wszelkie wierzenia narzucone, lecz wszelką powagę, roszczącą sobie pretensję do narzucenia wierzeń (czy

to będzie powaga oparta na objawieniu, cudach, tradycjach, nieomyślności człowieka lub książki, czy ta powaga nakazuje skłaniać się przed dogmatami lub zasadami *apriorycznymi* religii lub filozofji, przed decyzją władz publicznych lub uchwałą większości, czy też gdy ucieka się do jakiejkolwiek formy presji, wywieranej zewnątrz na indywiduum, żeby je odwieść od czynienia na własną odpowiedzialność osobistą normalnego użytku ze swoich władz).

Zasada druga. Wolna Myśl, nie mogąc się ograniczyć na tych oznakach negatywnych względem wszelkiego dogmatu i wszelkiego *credo*, wymaga od swych zwolenników czynnego wysiłku ku urzeczywistnieniu ideału ludzkiego zapomocą środków ludzkich.

Zresztą wyrzeka się nadania własnemu pojęciu tego ideału charakteru absolutnego i niezmiennego, który przypisują sobie religje, lecz czego nie zawierają ani nauka, ani sumienie ludzkie; jedno i drugie bowiem zmuszone jest do obracania się we względności i do ulegania prawom postępu.

Daleka od tego, by ustąpić pokusie wybudowania przedwcześnie ostatecznego systemu, Wolna Myśl przynosi ludzkości, jak tego chce natura rzeczy, dążenie bez końca do *prawdy* przez *naukę*, do *dobra* przez *moralność*, do *piękna* przez *sztukę*.

III

UCHWAŁA TRZECIA.

Dwie zasady wolnomyślności w dziedzinie praktycznej i społecznej.

Zasada pierwsza. Wolna Myśl nie może się zadowalać zdaniem czysto spekulacyjnym, któreby interesowały tylko myśl indywidualną; do niej należy dostarczyć zasady życiowej zarówno społeczeństwu, jak jednostkom.

W zastosowaniu do społeczeństw Wolna Myśl jest metodą, polegającą na tym, żeby chcieć samą organizację społeczną poddać prawom rozumu.

Spółczeństwo, natchnięte tą metodą, uważa za pierwszy swój obowiązek pozbawić wszystkie gałęzie życia publicznego (administrację, sprawiedliwość, wykształcenie, pomoc społeczną i t. d.) charakteru wyznaniowego, przez co należy rozumieć, że te funkcje nie tylko będą neutralne względem różnych wyznań religijnych, lecz obce i odporne wszelkiemu wpływowi religijnemu, surowo wyłączające wszelki dogmatyzm jawny lub ukryty.

Zupełna bezwyznaniowość Państwa jest czystym i prostym zastosowaniem Wolnej Myśli do życia kolektywnego Społeczeństwa.

Polega ona na oddzieleniu Kościołów od Państwa, nie pod formą podziału atrybucji między dwiema potęgami, traktującemi jak równy z równym, lecz zapewniając opinjom religijnym tę samą wolność, co i wszystkim innym, i zaprzeczając wszelkiego prawa wdawania się w sprawy publiczne.

Zasada druga. Ponieważ Wolnomyślność nie byłaby zupełna, gdyby nie przedsiębrała urzeczywistnienia społecznego ideału ludzkiego, powinna dążyć do takiego urządzenia, przy którym ani jedna istota ludzka nie mogłaby być poświęcona dla Społeczeństwa, lub nawet przez nie zaniedbana, a co za tym idzie nie była przez nie pozbawiona możliwości lub pozostawiona w niemożności praktycznej, wprost lub pośrednio, korzystania ze swych wszystkich praw ludzkich i spełniania swych wszystkich obowiązków ludzkich.

Wolnomyślność jest więc logicznie rodzielną nauką społeczną, moralności społecznej i estetyki społecznej, które, doskonaląc się wskutek postępu sumienia publicznego zaprowadzą rządy sprawiedliwości: sprawiedliwość społeczna to tylko rozum, zastosowany przez ludzkość do rządzenia samą sobą.

Innymi wyrazami Wolnomyślność jest *świecka, demokratyczna i społeczna*, to znaczy, że

w imię godności osoby ludzkiej odrzuca potrójne jarzmo: powagi w rzeczach religii, przywileju w dziedzinie politycznej i kapitału w dziedzinie ekonomicznej.

ZASADY ETYKI NIEZALEŻNEJ

Uchwała, przedstawiona Kongresowi Wolnomyślnemu
w Paryżu w r. 1905

przez

FERDYNANDA BUISSON

honorowego dyrektora wykształcenia początkowego, prof. Sorbony.

Kongres,

Zważywszy, że systematy etyczne, oparte na wierzeniach wyznaniowych, spotykają się z niepokonanym oporem rozumu i sumienia:

Z oporem rozumu, ponieważ jest już rzeczą niemożliwą wymóc na człowieku, zdolnym do namysłu, ani posłuszeństwa względem powagi rzekomo nieomyłnej, a która przecież myliła się tyle razy, ile wszystkie inne powagi ludzkie, ani stosowania się do dogmatu rzekomo niezmiennego, a który przecież nie przestał się zmieniać, ani wiary w fakty rzekomo nadprzyrodzone, a które przecież najwidoczniej nie są autentyczne;

Z oporem sumienia, ponieważ jest już rzeczą niemożliwą dla człowieka, oświeconego przez doświadczenie wieków, zadowalać się ideałem moralnym, który narzuca mu dobro

jako przykazanie, i który czyni je zależnym od pobudek interesownych;

Zważywszy, że systemy etyki, oparte na jakiegokolwiek metafizyce, każą przypuszczać jeszcze pozostałość dogmatyzmu nieracjonalnego, ponieważ są zmuszone do budowania ogólnego pojęcia o wszechświecie, od którego chcą uczynić zależne postępowanie ludzi, przekraczać obecne granice nauk pozytywnych, doświadczenie zastępować przez hipotezy lub pośpieszne uogólnienia i przedwcześnie uzupełniać pewności naukowe przez przypuszczenia aprioryczne;

Zważywszy z drugiej strony, że z punktu widzenia myśli wolnej należy rozróżniać etykę teoretyczną od etyki praktycznej;

Że etyka teoretyczna, nauka o obyczajach lub prawach postępowania, stanowi część jednej z grup nauk socjologicznych i że wskutek tego, dopóki te nie zostaną zupełnie ukonstytuowane, musi się ograniczyć do zbierania danych stopniowo zdobywanych przez naukę;

Że przeciwnie etykę praktyczną można określić, jako technikę postępowania, innemi wyrazami jako sztukę regulowania stosunków ludzi między sobą i że jest rzeczą możliwą ukonstytuowanie stopniowe takiej nauki, biorąc w rachunek jednocześnie przyrodzenie

stałe istoty ludzkiej i zmienne dane środowiska społecznego.

Streszcza w deklaracjach następujących zasady, według których, jak mu się zdaje, powinna być wypracowana etyka czysto ludzka, zdatna do stosowania w każdym społeczeństwie demokratycznym.

I

Moralność jest *zjawiskiem przyrodzonym*: nie należy jej przypisywać ani pochodzenia, ani powagi, któreby ją szczególnie wyróżniały z pośród innych dzieł umysłu ludzkiego.

II

Moralność jest *zjawiskiem społecznym*: jest konsekwencją idei i uczuć, któremi jest ożywione społeczeństwo przy określaniu praw i obowiązków jednostek, które się na nie składają.

III

Przeto moralność nie może być bezwzględna; rozwija się jak społeczeństwa, przez które i dla których jest utworzona; wartość jej

właśnie polega na przystosowywaniu się do warunków czasu, kraju, ustroju społecznego, do którego jest stosowana.

IV

Moralność nie powinna posiadać cech rozkazu, jak dogmat narzucony umysłowi, rozkazu narzuconego woli przez siłę nadludzką, lecz przeciwnie cechę przepisu rozumu, z którego umysł ludzki zdaje sobie rachunek i któremu poddaje się, ponieważ uznaje jego słuszność i konieczność, zarówno dla społeczeństwa, jak dla jednostki.

V

Moralność ludzka nie czerpie z zewnątrz swych pobudek i motywów; uświęcenie prawa moralnego nie polega na systemie kar i nagród, dodanych do prawa moralnego; wpływa ono z samej zgody tego prawa z naturą ludzką i konsekwencjami przyrodzonymi, które pociąga za sobą jego zastosowanie, czy to w życiu indywidualnym, czy społecznym.

VI

Kongres mniema oprócz tego, że nie mając zamiaru kreślić planu nauczania moralności,

powziętego według danych poprzedzających, można od dziś jednak kłaść nacisk na pewne cechy, które powinny je charakteryzować.

To nauczanie będzie się opierać na dwóch ideach współrzędnych, które są podstawą wszelkiego społeczeństwa demokratycznego, a mianowicie, z jednej strony na pełnym rozwoju każdej osobistości ludzkiej drogą wolności, z drugiej strony na zgodzie tej osobistości ze wszystkimi innymi w imię solidarności społecznej.

Lecz ani ta wolność, ani ta solidarność nie powinny być rozumiane w sensie abstrakcyjnym i czysto formalnym, co by pozwalało stosować je tylko w dziedzinie politycznej. Jedna i druga winny rozciągać się na uregulowanie zagadnień ekonomicznych. Przyznając każdemu człowiekowi prawo do życia i pełnego rozwoju swego charakteru ludzkiego, demokracja zobowiązuje się znieść wszelkie nierówności, pochodzące nie z natury, lecz z organizacji społecznej i zastąpić je przynajmniej stopniowo ustrojem, opartym na sprawiedliwości społecznej, jedynej możliwej podstawie braterstwa ludzi i narodów.

Taka moralność, wyrzekająca się czynienia prawidła wyłącznego postępowania ludzkiego czy to z egoizmu, czy to z altruizmu, uszanowuje w tych dwóch tendencjach, uzupełniających jedna drugą, to, co w nich jest przy-

rodzonego, a tym samym prawowitego, ogranicza jedną przez drugą, a w ich równowadze znajduje sposób pogodzenia praw człowieka z obowiązkami względem rodziny, narodu i ludzkości.

WIERZYĆ CZY WIEDZIEĆ¹⁾

PRZEZ

JERZEGO CLEMENCEAU.

Niedawne wypadki zmusiły opinię republikańską do zastanowienia się nad kwestją religijnego wykształcenia dzieci. Zagadnienie, jak się zdaje, bardzo łatwe do rozwiązania w teorji, ponieważ każdy ojciec rodziny powołuje się na prawo wychowywania swych młodych latorośli w zasadach, które uważa za prawdziwe, niezależnie od tego, czy je przejął bezkrytycznie od przodków, czy za pomocą wysiłku umysłowego, zupełnie osobistego, uczynił je własnymi szczególnymi przekonaniami.

Dużo pisano o »prawie dziecka« i »prawie ojcowskim.« Nie można zaprzeczyć, że siłą rzeczy następuje chwila, gdy obydwie te prawa

¹⁾ Artykuł ten ukazał się w czasopiśmie *Le Bloc* dnia 18 sierpnia 1901.

powstają przeciw sobie. W każdej rodzinie nieubłagane wybijają godziną krytyczną dla powagi rodzicielskiej. Dziecko wyrosło, mniej lub więcej niewyraźnie odczuwa potrzebę myślenia samo za siebie, a zbieg dwóch dziedziczości, z których pochodzi, wytwarza w nim usposobienie indywidualne do różniczkowania się od swych rodziców, którzy nieodmiennie dążą do wyciskania na nim swego własnego piętna. Po mniej lub więcej szczęśliwych próbach przeciągnięcia każda ku sobie, obydwie strony dzięki wzajemnym uczuciom najczęściej zgadzają się na wzajemne ustępstwa. Dzieci muszą się pogodzić tak czy owak z ojcem urobionym »według idei staroświeckich.« Ojcowie znoszą z rezygnacją »brak doświadczenia« dzieci, które puszczają się w świat na skrzydłach swej fantazji. Żyje się, umiera, każdy to mając słuszną, to znowu jej nie mając i odczuwając wielką dumę, gdy się mu zdarzy okazja powiedzieć drugiemu: »Czyż nie przepowiedziałem, że tak się stanie?«

Rychło milczenie wieczności nad wszystkim pokój zawiesi. Lecz nim do tego dojdzie, nowonarodzone małeństwo uważa za nieskończenie słodką władzę tych, którzy je sprowadzili na świat bez uprzedniego upoważnienia. W tym okresie, nie mając innych potrzeb oprócz fizycznych, i nie będąc w stanie ich zaspokoić, dziecko znajduje, iż despotyzm ręki, śpieszącej

im zadość uczynić jest słodka. Domaga się ono go energicznie wszystkimi środkami wyrażania się i przy każdej okazji objawia swe zupełne zadowolenie z poddaństwa, w którym urzeczywistnia pełnię teraźniejszą swej istoty. Żadnych jeszcze dyskusji o »prawie« tej i owej strony. Bezwzględne zjawienie się tego wyrazu, pod którym nie kryje się nic innego oprócz brutalności narzucającego się faktu, gotuje nam nie mało zawodów, gdyż stosuje się do stworzenia, ulegającego wiecznej zmianie.

Dziecko rośnie, i od pierwszego dnia cała jego energia wzrostu dąży do tego, żeby je coraz więcej zindywidualizować, coraz więcej oddzielić od protektorów, wyzwalając stopniowo z konieczności ich pomocy. Prawo jego do życia fizycznego wydaje mu się prawem najwyższym. Korzysta z niego, nadużywa go równie nieświadomie, jak młode zwierzę.

Ale oto pierwsze objawy życia moralnego. Życie to znaczy przywłaszczanie sobie rzeczy niezbędne, a nawet zbyteczne. Instynktowne czyny dziecka polegają na przywłaszczaniu sobie wszystkich rzeczy bez troski o skutki. Ze zjawieniem się pierwszego światła pojęcia, staje w drodze przepis: »Tego czynić nie należy.« Oto ukazanie się moralności w formie rozkazu, nie zawsze dającego się wytłumaczyć w sposób przekonywający. Położona została tama, wzbudzająca nie tyle szacunek, ile prag-

nienie jej przekroczenia. Powoli, powoli otwiera się umysł na pojmowanie świata. Wszechświat zdejmuje pierwsze swe zasłony. Tysiąc pytań wybiega na usta i wywołuje odpowiedzi w postaci niejasnych formuł, które przyjmuje się tymczasowo wskutek niemożliwości analizy. Do tego czasu umysł rodziców i dziecka stanowią jedno. Lecz zbliża się czas próby.

DWAJ NAUCZYCIELE.

Przychodzi czas: trzeba studjować, trzeba pracować, trzeba się uczyć. Przed nieświadomą młodzieżą staje dwóch ludzi. Jeden ubogi, odstręczający, często skwaszony, z bolesnymi brózdami na obliczu, wyżłobionymi przez życie, ofiarowuje owoc doświadczenia, zgromadzonego przez wieki w takiej a takiej gałęzi wiedzy ludzkiej, nie mogąc się przytym powołać na żadną inną powagę oprócz powagi ludzi takich, jak on sam. Żeby go zrozumieć, dziecko czuje, że musi zrobić bolesny wysiłek umysłu, że wysiłek ten będzie wzrastał ustawicznie, aż do wstrętu, który wywołuje naprężenie odpychające, naprężenie bez końca. Jeżeli się poradzić książek, widzi się wnet, że ludzkość nie zawsze jednakowo myślała o poruszanych przez siebie kwestjach. Nauka dzisiejsza nie jest taka sama jaka była

wczoraj. Dlaczegożby nauka jutrzejsza nie miała się różnić od dzisiejszej? Tyle niewdzięcznego trudu, żeby przyswoić sobie rzeczy zmieniające się, co chwila zjawiające się pod nieprzewidzianymi postaciami, umykające się umysłowi, któremu się wydaje, że je już uchwycił, i dopinające tylko tego, że rzecz nieznana zmienia dla nas postaci! I to chodzi tylko o »rzeczy poznawalne.«

Co do reszty, zostawia się wyobraźni, żeby szukała rozwiązań, najlepiej przypadających do gustu, a jednocześnie najwięcej zgodnych z korzyścią materialną. Może też jest tak, jak mówi ten, jeżeli tylko nie jest wszystko tak, jak mówi tamten. Odkiedy człowiek myśli, wygłosił stopniowo wszystkie możliwe hipotezy naukowe, metafizyczne i marzeniowe. Z tego składu każdy bierze według swej potrzeby, buduje sobie raj na swoją miarę. Wiercie, w co wam się podoba. Lecz nade wszystko, żeby wasze wierzenia nie raziły waszych współobywateli. Darowanoby wam, gdybyście podawali w wątpliwość to, »co się daje dowieść«, na przykład teorię ciężenia powszechnego. Lecz jeżeli wasze »co się dowieść nie daje« nie może stanowić zgodnego stadła z tym, »co się dowieść nie daje« waszego współobywatela, lub waszych współobywateli, wynikną z tego dla was wielkie nieprzyjemności.

Dziecko, ma się rozumieć, nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale nawet gdy nigdy nie ma tego zrozumieć, tym niemniej czuje w każdym razie, że jego wszystkowiedzący pedagog nie posiada na wszystko odpowiedzi — daleko mu do tego — i to mu sprawia cierpienie. Czegoby ono chciało, to, żeby na każde spotkane zagadnienie, dawano mu rozwiązanie jasne, proste, ostateczne, ostatni wyraz w danej kwestji. Ta potrzeba zrodziła *magister dixit*. Niestety! Nauczyciel rzekł, lecz chociaż rzekł, zostaje, zostawać będzie zawsze jeszcze coś do powiedzenia. Z chwilą, gdy dziecko odkrywa to, — a zjawisko to spełnia się w nim o wiele wcześniej, niż się przypuszcza, — uczuwa największy zawód, niepokój, w którym pociesza je tylko lenistwo, zasklepiające się w pracy ściśle użytkowej.

Wtedy to po niedoskonałym pedagogu, — który jest zmuszony uznać, że jego nauka jest ograniczona, — występuje depozytariusz objawienia najwyższego, zadowolony z siebie, szanowany przez wszystkich, przechwalać się, że jest wyższy nad życie. Jest to człowiek, który nie zna pytania bez odpowiedzi, pan tajemnic, posiadacz klucza do wszystkich rzeczy. Ach! ten nie naraża się na niebezpieczeństwo zbłądzenia w trudnych poszukiwaniach doświadczenia, analizy. Nie zmarnotrawi on swej myśli na odsuwanie choćby o najmniejszą

odległość granic poznania, ponieważ wszystko wie odrazu, ponieważ powaga jego pochodzi nie od człowieka ograniczonego, lecz od Boga, stwórcy świata, od którego otrzymał władzę. Z kolei i on rzeknie, lecz tym razem wszelkie przeczenia są niemożliwe. Bez odmiany, wszyscy ci, którzy otrzymali to samo posłannictwo, będą powtarzali te same słowa, będą spełniali te same obrządki, i, wytłumaczywszy wszechświat bez uciekania się do pomocy jakiegokolwiek nauki, ogłoszą bez trudu formułę wieczną, bezwzględną ludzkości na ziemi.

I co najcudowniejsze, to to, że w tym wypadku nie trzeba już łamać sobie głowy, żeby zrozumieć. Wystarcza powtarzać wyrazy, przez nich podane. Poprostu żądają od was, żebyście *wierzyli*, do czego w duszach słabych wystarcza sugiestja, tymczasem gdy chodzi o tamtych, usiłowanie zdobycia wiedzy oprócz inicjatywy wymaga upartej wytrwałości na stromych ścieżkach poznania. Wiara, nie rozum, oto narzędzie losów ludzkich, i, jeśli o tym wątpicie, będą uciekali się do wszystkich argumentów rozumowych, żeby wam wykazać, że dowodzenia rozumowe są próżne.

Gdy nastąpi zgoda na tym punkcie, w istocie wszystko staje się jasnym dla wierzącego. Umie on objaśnić i przepowiedzieć wszystko. Nie potrzebuje on szukać swej

drogi, sposobu prowadzenia się. *Jego prowadzą.* Niech tylko wymawia w oznaczonej godzinie określone wyrazy, niech tylko spełnia przepisane obrzędy, — gdyż najwyższy Stwórca ma tę dziwną słabość, że potrzebuje uwielbienia od swych stworzeń, — życie jego uproszczone, ułatwione, pobiegnie drogami szczęśliwymi nie ku błogościom jednodniowym, lecz wiecznym.

Co zaś do uchybień względem zwyczajnej moralności, które mogą się zdarzyć, widzimy to codziennie, że są to sprawy najmniejsze. Spowiedź, modlitwy, posty, różne pokuty zaradzą waszemu zbawieniu, gdyż cała święta hierarchja otrzymała władzę odpuszczania grzechów, i oddaje się nawet na służbę waszych interesów ziemskich, jeżeli upatruje w tym korzyść.

Czy potrzeba przypominać, że jeżeli porządek przyrodzony jest bezsilny, żeby wam dostarczyć przedmiotu waszych pożądań, Kościół w wielu miejscach prowadzi ruchliwy handel cudami?

ZGADNIJ, JEŻELI MOŻESZ, I WYBIERAJ, JEŻELI
MASZ ODWAGĘ!

Oto staje dziecko między kapłanem, przedstawicielem najwyższej potęgi na ziemi, i nauczycielem skromnej wiedzy ludzkiej. Dwa

pojęcia o świecie kłócą się o posiadanie budzącego się umysłu. Zdaje się, że trzeba zrobić wybór, gdyż wydają się radykalnie nie do pogodzenia. Proszę zwrócić uwagę na to, że najczęściej rodzice z góry uczynili wybór za dziecko przez chrzest, jak ich rodzice zrobili wybór za nich. Cechą doktryny napiętnowana została mała istota od chwili swego pierwszego kwilenia.

W epokach wiary ten gwałt na nowonarodzonym wydawał się obowiązkiem elementarnym. Reszta wypływała z tego według ustanowionego porządku. Całe wykształcenie było religijne, dodatkowo tylko uzupełniane kilkoma pierwiastkami wiadomości pożytecznych w życiu praktycznym. To miało sens. Prawdziwa czy fałszywa, wieczna czy zmienna, harmonja społeczna wypływała z ogólnego pojmowania rzeczy.

Lecz oto te pogardzane szczątki wiedzy, ciągle wzrastające, coraz dalej wkraczające w dziedzinę niepojętego, zaczynają wreszcie porządkować się i rozwijać w olbrzymi kwiat wiedzy, utworzony w ciągu badania świata, przez usuwanie umysłowego sposobu postępowania, który się streszcza w starożytnej formule: wierzyć. I oto w tejże samej chwili »wierzenia« ukazują się już tylko jako tradycyjne legiendy z czasów, gdy człowiek był zmuszony objaśniać, rozwiązywać tymczasowo

pod wpływem natchnienia wielkie zagadki swego przeznaczenia; te same zagadnienia, do których rozwiązania postęp poznawania w ciągu wieków miał mu pozwolić przystąpić na podstawie doświadczenia.

Konflikt jest nieunikniony: nikt się od niego uchylić nie może. Konflikt społeczny, powtarzający się na każdym zakręcie życia publicznego i prywatnego, lecz nigdzie nie objawiający się z taką siłą, jak przy ognisku rodzinnym, kiedy dla każdego wybija godzina, że ma przekazać swemu potomstwu dziedzictwo umysłowe przodków, mniej lub więcej zmienione przez wysiłek kultury osobistej.

WZGLĘDY MATERJALNE.

I rzecz nieoczekiwana, gdy się temu przyjrzeć dobrze, konflikt wierzeń jest w tym rzeczą najmniejszą. Porządek ustanowiony nie zmienia się wskutek tego tylko, że wierzenia słabną. Obrzędy wyznaniowe — stawszy się zupełnie refleksyjnymi — przekazują się z pokolenia na pokolenie, przy czym nikt nie ośmiela się zbyt nacierać pytaniami na siebie, żeby ściśle zmierzyć swą wiarę. Trochę więcej, trochę mniej szczerości w spełnianiu obrzędów; tylko głębokie tajniki świadomości mogłyby ściśle to określić, a właśnie ludzie wystrzegają się za-

dawać im tego rodzaju pytań w sposób zbyt natarczywy. Ostatnie wieki pogaństwa stanowią oślepiającą jasność obraz tego rodzaju.

To samo z osłabieniem wiary chrześcijańskiej za naszych czasów. Lepiej jeszcze, zewnętrzne obrzędy religijne podwajają swą siłę, a najgrubsze przesady rozpowszechniają się tym łatwiej, że wskutek osłabienia wiary wewnętrznej, umysł nieświadomie powraca do materjalizowania Bóstwa, do fetyszyzmu, odziedziczonego po przodkach. Dzieje się tak dlatego, że wierzenie religijne było punktem środkowym, około którego skryształizowały się tradycje, obyczaje, instytucje, prawa, zasadnicze interesy społeczeństwa. Ze zniknięciem podpory, tradycje, obyczaje, instytucje, prawa, zasadnicze interesy, wzajemnie okazując sobie poparcie, istnieją na mocy dawniejszej równowagi i trwają, dopóki nowa doktryna, zdolna do przyjęcia przez wszystkich, nie stanie się z kolei nowym punktem krystalizacji społecznej.

To jest zagadnieniem naszych czasów. Wielu sądziło, że gdy zniknie wiara, pociągnie wkrótce za sobą konieczną przebudowę społeczną. Dziś okazuje się, że zjawisko odnowienia nie powstają jak *Deus ex machina*. Tradycje, obyczaje, instytucje, prawa, interesy, zrodzone przez dawne wierzenia i podtrzymywane przez nie, podtrzymują i dzisiaj kult zewnętrzny, opóźniając nieunikniony rozkład.

Oligarchje przeszłości, których jedyną racją bytu były przebrzmiałe wierzenia, czepiają się rozpaczliwie spróchniałych podpór walącej się budowli. *Wierzyć! Wierzyć!* jest to ich hasłem dziś, jak było dawniej. Dusze proste spotykają się jeszcze w szeregach tych, którzy nazywają się u nas »arystokracją«, jak ten komendant de Bréon, który, codziennie nawołując do wyświecenia sprawy z góry, uniewinnił Dreyfusa pomimo olbrzymiej presji ze strony zmysłu klasowego. Tym nie mniej jest prawdą, że nasze teraźniejsze klasy wyższe — bardzo zmieszane — widzą przedewszystkim w religii potężną organizację obronną dla pożądan zadowolonych przeciw pożądanom niezadowolonym.

Burżuazja rządząca opanowała rządy dzięki powtarzanym obietnicom, że utoruje drogę dla porządku nowego, który się przygotowuje. Lecz skoro została zainstalowana przy władzy, wszystkie moce przeszłości — tradycje, obyczaje, prawa, instytucje, interesy — zjawily się, żeby ofiarować swe służby panom dnia. Jakiej nadzwyczajnej bezinteresowności, jakiej śmiałości trzeba by było, żeby oprzeć się pokusie przywłaszczenia ich na swój wyłączny użytek. Na racjach nie zbywa nigdy, a tłum nieorganizowany, nie posiadający mocy do utworzenia siły zbiorowej, ustępuje,

pomimo buntów częściowych przed starożytnym zwierzchnictwem rzeczy istniejących.

Nie mówię nic o ludzie, bo ten jest w stanie »stawania się.« Proletariat wielkich centrów przemysłowych mozolnie szuka swej drogi i jeszcze jej nie znalazł. Wieśniacy naszych wsi ocykają się pod pierwszemi promieniami światła, lecz powolniej się poruszają.

WOLNOŚĆ NAUCZANIA.

Rozumie się samo przez się, że stan umysłu, wywołany temi różnemi sytuacjami, objawia się jednocześnie w życiu publicznym i prywatnym. O życiu publicznym mówić niema potrzeby. Klasy wyższe nie szczędzą wysiłków, żeby przyciągnąć tłuszcę do przybytków kultu. W tym powodzi się im niepospolicie, gdyż tym, którzy się zbiegają, chodzi nie o to, żeby wierzyć i odpowiednio do tego postępować, lecz żeby publicznie odprawić obrzędy i wyciągnąć korzyść z tego tutaj na ziemi.

Kiedy ci wierzący wszelkiego rodzaju, których serc nikt nie może zsondować, starają się przekazać swym dzieciom doktryny, na których opiera się ich życie, któżby się temu chciał dziwić? Któżby się na to skarżył i odmówił im środków, gdy chcą próbować urobić swych następców na wzór własny? Na tym

nawet miejscu żądałem dla nich tej wolności, której im odmawia nietolerancyjny empiryzm naszej burżuazji »wolnomyślniej«, i spotkałem się z opozycją ludzi, posiadających najwyższą kulturę, lirycznych bojowników nowego porządku, lecz zacofanych pod względem środków postępowania *compelle intrare*, nęcących więcej swoją prostotą, niż odległe nadzieje wolności, która wymaga ciągłości wysiłków.

Właśnie Izby uchwaliły prawo, około którego robi się wiele hałasu, a które zmierza w rezultacie do zadania ludziom gwałtu, żeby pewna doktryna — zawsze ta sama — była wykładana dzieciom przez mnichów w takim, a nie innym habicie. Jest to szczyt braku sensu, który ośmieszają się przedstawiać nam jako zwycięstwo. Pewna liczba postłów idzie jeszcze dalej na tej drodze, i dąży do powierzenia funkcji publicznych ludziom, którzy zamiast wykształcenia naukowego i religijnego łącznie, otrzymali oddzielnie, jedno w szkole, drugie w Kościele. Sam fakt, że się poważnie roztrząsa podobne »reformy«, wskazuje, na co zesła polityka, zwana republikańską.

JEDNOŚĆ CZY DWOISTOŚĆ NAUCZANIA.

Jakkolwiekby było, zaznaczam, że »klasy wyższe« konsekwentnie z samemi sobą, żądają

jedności nauczania, a chociaż ich nauczanie jest przeciwne temu, o którym ja marzę, nie mogę nie uznać, że zasada ich jest słuszna, wszelkie bowiem nauczanie, godne tego imienia, powinno być *jedno*, co z koniecznością wypływa już z samego określenia.

Lecz właśnie do tego nasza burżuazja rządząca zastosować się nie może. O żądaniu dla swych dzieci jedności nauczania pozytywnego, o tym ona wcale nie myśli. Zatytułowała *nauczaniem neutralnym*, nauczanie, które nie mówi ani tak, ani nie — lub które mówi i tak, i nie, zależnie od gustu nauczyciela — na pytania naczelne, rządzące życiem, i pozostawia każdemu troskę o zaopatrzenie się samemu gdzieś indziej w odpowiedzi, których żaden umysł szczerzy nie może nie uważać za pilne. Z drugiej strony ta sama Rzeczpospolita, której *Szkola bezwyznaniowa* jest wielką zdobyczą, utrzymuje wielkim kosztem świątynię, w których duchowieństwo, odpowiednio wynagradzane w tym celu, bierze na się obowiązek rozwiązywania zapomocą kilku krótkich formuł wszystkich pytań, zakazanych pedagogowi. Dzięki temu urzędzeniu, w którym hipokryzja epok przejściowych dowolnie może się rozwijać, każdy z nas może być z kolei to wolnym myślicielem, to wierzącym na swój rachunek, lub rachunek potomstwa. Bezwyznaniowy w merostwie, a nabożniś w Kościele

w dniu swego ślubu, poczciwy burżua sceptyczny, nie wierzący ani w Boga, ani w Djabła, według utartej formuły stara się dać dziecku obydwie nauki, przeciwne sobie, zostawiając samemu troskę rozsądlania następnie, który z dwóch nauczycieli powiedział mu kłamstwo, który prawdę: czy ten, który wzywał do *wiary*, czy ten, który wzywał do *wiedzy*.

Spytajcie ojca, co należy myśleć o tym, że sam sobie kłam zadaje, a odpowie wam, że szkoła bezwyznaniowa jest przedstawicielką jego doktryny, a Kościół reprezentuje dla dziecka, które rychło stanie się człowiekiem, ogół interesów, które należy oszczędzać ze względu na powodzenie w przedsięwzięciu, nazywającym się życiem. I jeżeli ten punkt widzenia nie należy do takich, któremi się można szczyścić, rozumowanie jest bardzo słuszne, jak to dopiero co wykazałem.

Innym razem, gdy ojciec jest większym idealistą, zaawanturowałby się na jednolite wykształcenie, w całości oparte na dowodzeniu, lecz matka wychowana została w tradycjach praktyk religijnych i chociaż nie zbyt się troszczy o to, w co jej syn będzie kiedyś wierzył, nie miałaby spokoju umysłu, gdyby dziecko *jak inne* nie spełniało pewnych ob-
rządków. W stosownej chwili umie ona przypomnieć wzgląd na interes. Ojciec ustępuje, żeby mieć spokój, a także z obawy przed odpo-

wiedzialnością za »chybioną karierę« w przyszłości. I oto dziecko między dwoma nauczycielami, którzy walczą z sobą o jego umysł — przy czym na stronie kapłana zupełna przewaga; — gdy je zostawia samemu sobie, potargane, ochwacone, zbite z drogi, bez nadziei, że będzie kiedyś wiedziało cokolwiek, pozostanie mu tylko wytworzyć sobie filozofję praktyczną z samych środków zrobienia kariery. Niech przyjdzie ociężalał retor, który mu wygłosi kazanie o bankructwie wiedzy, a Kościół znajdzie się w odpowiedniej chwili, żeby nieszczęśliwca przygarnąć.

PODWÓJNĄ PRAKTYKĄ.

Takie jest położenie obecne. Nie dziwię się temu. Stwierdzam tylko i objaśniam w miarę swych sił. Wszyscy wiedzą, że moje twierdzenie nie stosuje się do całego ogółu burżuazji rządzącej bez wyjątku, i że można spotkać kilku ludzi, którzy dają swym dzieciom jednolite wykształcenie, oparte na dowodzeniu wiadomości pozytywnych. Ci są rzadkim wyjątkiem, gdyż, żeby stawić czoło przesądom burżuazyjnym, trzeba łączyć wysoki idealizm z siłą charakteru.

Głosicielom ideału, którzy cofnęli się przed zadaniem, przy którym przyjaciele spodzie-

wali się ich widzieć, nie czuję prawa rzucać przekleństwa. Od Mojżesza, skazującego na śmierć niewiernych, wołę kapłankę Theano, która nie chciała potępiać. Jedynie tylko uważam za potrzebne oświadczyć się przeciw różnieniu, uważanemu jako istotne przez niektórych moich przyjaciół. Dawano nam do zrozumienia, że nie jest to samo posyłać dzieci do szkoły klasztornej, co do jakiegokolwiek kolegium państwowego, a potem na katechizm do Kościoła.

Co do mnie, nie mogę się dopatrzeć w tym różnicy. Ośmielał się utrzymywać, jeżeli nie chodzi wogóle o korzyści argumentowania, że mnich lub mniszka uczą czego innego niż zwyczajny proboszcz? Duchowieństwo może być zakonne lub świeckie, nauczanie jest to samo: oto czego nie można zaprzeczyć z dobrą wiarą. A więc jakaż korzyść z tego, że wybiera się dla syna liceum zamiast domu wychowawczego Jezuitów, jeżeli wkońcu uczniowie z tych obydwu domów mają się spotkać u stóp tych samych ołtarzów? Jakaż korzyść, jeżeli nie chodzi o łudzenie publiczności lub prawdopodobniej o łudzenie samego siebie?

Leżało mi na sercu, żeby to powiedzieć, gdyż olbrzymia większość naszej burżuazji republikańskiej, która chętnie afiszuje swój »antyklerykalizm«, uważa za rzecz zręczną tak się urządzić, iżby być w porządku wzglę-

dem obydwu stron, kolejno zmieniając w umyśle potomstwa jedno i drugie, uwielbienie dla *Szkoły bezwyznaniowej* i kult według obrzędu znienawidzonego klerykalizmu. Naturalnie, przyznaję każdemu wolność w tej sprawie. Lecz czas powiedzieć, że reformatory czy rewolucjoniści, ci, którzy uciekają się do podwójnej praktyki, mogliby przed zreformowaniem innych, przed przerobieniem społeczeństwa z gruntu lub w części, dać przykład i zacząć doświadczenie nowego porządku od samych siebie.

Jedno społeczeństwo umiera. Inne społeczeństwo rodzi się. Znajdujemy się w chwili, gdy następuje ich spotkanie. W duszach naszych zcierają się dwa pojęcia o życiu, każde z nich jest oparte na przeczeniu drugiego. *Wierzyć* lub *wiedzieć*. Do nas należy wybór. Lecz nasze »klasy rządzące« wybór odtrącają. Dekretują one z faryzeuszowską hipokryzją potworne zjednoczenie obydwu sprzeczności. Trzeba przecież stwierdzić ten fakt, ponieważ chępliwie przed nami się puszy? Nie mniej też jest prawdą, że ci dzisiaj skuteczniej przyczyniają się do oderwania społeczeństwa od dawnego porządku, którzy sami ośmielają się dawać przykład zerwania ze zwyczajami kłamstwa.

Postęp ludzki, chociaż wielu tak mówi, nie może zawierać się w potędze, dającej się wy-

należć formuły ekonomicznej i społecznej i pozwalającej się zastosować do ludzi bez różnicy z rozmaitego stopnia kultury.

Udoskonalenie ludzkości całkowicie się zawiera w samej kulturze, która pozwoli wybrać między proponowanymi formułami i przystosuje ludzi do nowej próby życia wyższego.

PIĘKNO CZYNU.

Będzie to znakiem ewolucji najpiękniejszej, kiedy większość ludzi, zraziwszy się do świętoszkostwa, przechwalającego się, że umiało subtelnie połączyć *wiedzę i wiarę*, nabędzie w dziedzinie wiadomości pozytywnych potrzeby jedności myśli, która w dziedzinie wierzeń stanowiła siłę pierwszych chrześcijan. Za tym pójdzie jedność nauczania, którą przygotowujemy z takim trudem, a jako jej konsekwencja, *jedność* życia, jakiej pragnęły pierwsze Kościoły, zamiast dzisiejszego dwulicowego, które prowadzamy od konfesjonału do laboratorium.

Ani pierwsi chrześcijanie, ani Chrystus nie urzeczywistnili swego marzenia. Treść ich nauki uleciała, pozostawiając nam tylko formy zewnętrzne, które prostaczkowo uważają jeszcze za sam chrześcijaizm.

Miłość ludzi, miłosierdzie, solidarność są środkami. Celem jest, żeby było trochę mniej cierpienia na ziemi. Dla tych dźwigni umysłowych potrzeba pewniejszego oparcia niż obietnice rozkoszy niebieskich. Trzeba odkryć prawdę o wszechświecie i o sobie samych, wszystko, co nasze zdolności pozwalają zrozumieć. I cóż nam zależy na tym, że rozum ma granice? Wiedzieć, że się nie wie, to znaczy jeszcze wiedzieć, bo to jest poznawać siebie.

W chwili obecnej przybyliśmy do punktu, w którym została wyjaśniona dostateczna liczba idei, żeby ludzie szczerzy mogli oprzeć kierunek racjonalny swego życia na rozumieniu pozytywnym. Pierwsi chrześcijanie dawali się mordować w cyrkach za swoją wiarę. Apostołowie wolności myśli szli na stosy pewnymi krokami. Nie wymaga się dziś tyle od naszych wolnomyslicieli. Poprostu niech postępują tylko tak, jak myślą, niech mają śmiałość stawiać mężnie czoło przesądowi społecznemu w swojej rodzinie, według wzoru pierwszych chrześcijan, którzy odrzucili Bogów Olimpu dla nowej wiary. Nie trzeba nic więcej. Gdyby ta wiara zmieniła była tylko oracje, Kościołby się nie narodził, Kościołby żyć nie mógł.

Słów, pism mamy nad miarę. Nie na talentie myślenia i mówienia nam zbywa. Trzeba nam czynów, żeby charakter mógł się kształcić. Człowiek zdolny do czynu znajduje naj-

wyższe zadowolenie w tym, że dał całą miarę swej siły. Jest on wyższy nad znikome nagrody ludzkie. Jest on wyższy nawet nad samo zwycięstwo. Inny zatrzymuje się w połowie drogi i niechybnie cierpi z tego powodu. Wielu jest takich, którzy sami nie będąc bez błędu, znajdują przyjemność w rzucaniu nań kamieniami. Ja wolę zawołać do niego: odwagi!

ŚWIĘTO ROZUMU

Mowa, wygłoszona przez MARCELEGO BERTHELOT
w pałacu Trocadero dnia 8 listopada 1903 roku.

Panie i Panowie!

Świętujemy dziś w tym kole święto Rozumu: święto to zostało przed wiekiem ogłoszone przez naszych ojców republikanów pośród burzy rewolucyjnej, gdy się na jeden dzień przejaśniło. Między nami a wiecznymi wrogami Nauki i Rozumu walka trwa wciąż. Jak nasi przodkowie, jesteśmy ożywieni tym samym entuzjazmem dla prawdy, sprawiedliwości i braterstwa! Lecz chociaż kierunek ducha nowoczesnego pozostał bez zmiany, rozszerzyliśmy swój widnokrąg: obecnie nie powinniśmy dać się pociągnąć przez burzę aż do odpierania gwałtów fanatyzmu gwałtem przeciwnym. Powinniśmy zawsze względem wszystkich zachowywać się z pogodną godnością i życzliwością, stosowną tłumaczom Rozumu. Postępowy rozwój idei i uczuć demokratycznych narzuca nam nowe obowiązki i sposoby.

Święta takie, jak to, które dziś obchodzimy są konieczne: ponieważ nie wystarcza ogłaszanie na zimno wielkich maksym społecznych w publikacjach pisanych, zbyt często dostępnych tylko dla wtajemniczonych. Ten, kto posiada prawdę, nie powinien jej zachowywać dla swego forum wewnętrznego; powinien się dzielić nią, starać się dla niej o rozgłos, każdy według możliwości. W odludności serca pozostają zimne; lecz kiedy ludzie zgromadzą się, uczucia szlachetne nabierają zdolności udzielania się, sympatje potęgują się. Dlatego to ustanawiane bywają święta i ceremonje, jak to, które nas tutaj sprowadziło!

To, czegoby mój słaby głos nie był w stanie dokazać, będziecie potrafili uzupełnić i powiększyć mocą swoich przekonań.

Panowie!

Rozum posiada swoją własną historję: ma swe tradycje i posiadał różne doktryny w ciągu różnych faz, przez które przeszła cywilizacja.

Nauka nie zjawiała się w pierwszych dniach rasy ludzkiej; wyłoniła się stopniowo z mętnej mieszaniny przesądów i wiadomości, cechujących istnienie plemion pierwotnych.

Najstarsze organizacje знаły tylko wiedzę w połączeniu z marzeniami religji starożyt-

nych. Upłynęło zaledwie dwadzieścia pięć wieków od chwili, kiedy zmysł racjonalny dał pierwsze oznaki swego istnienia niezależnego między rasami, które zaludniały wschodnie wybrzeża morza Śródziemnego. Lecz od tego czasu od Sokratesa do Platona i Arystotelesa, od Galileusza do Dekarta i Leibniza, od Condorceta do Hegla i do Augusta Comte, od Voltaire'a i Rousseau do Renana istniał nieprzerwany łańcuch filozofów, uczonych i myślicieli niezależnych.

Zaraz na początku chrześcijaństwa ogłoszono Słowo, to jest Rozum powszechny, który oświeca każdego człowieka, przychodzącego na ten świat. W istocie zaś ukazanie się tego światła było podporządkowane wtedy objawieniu Boskiemu i zaćmione w ciągu dziesięciu wieków przez średniowieczne prześladowania kapłańskie. Lecz umysł nowoczesny wyzwolił je z tych powijaków imaginacyjnych. Nasi poprzednicy z XVIII i XIX wieku uwolnili naukę z tego niewolnictwa; do ich to właśnie tradycji odwołujemy się i nad jej rozwojem pracujemy dla dobra rodzaju ludzkiego z energją i skutkami ciągle wzrastającymi; staramy się o to, żebyśmy ją mogli przekazać tryumfującą pokoleniom, które po nas nastąpią.

Jednak, Panowie, nasza tradycja, nie zapominajmy o tym nigdy, jest tradycją myśli

wolnej. Pomimo swego entuzjazmu dla Nauki i Rozumu, powinniśmy zawsze zachować tę zasadę fundamentalną, że chodzi o przekonanie ludzi wyłącznie zapomocą rozumu bez prześladowania kogokolwiek, bez roszczenia pretensji kiedykolwiek do nieomylności, bez domagania się i narzucania w imię rozumu monopolu dogmatów niezmiennych.

Oto dlaczego, jak nasi przodkowie, protestujemy przeciwko wszelkiej organizacji kapłańskiej i religijnej, wyłączającej zgodę indywidualną i zapożyczającej siły, doktryny i praktyk od powagi nadprzyrodzonej, której stolica i hasła są zresztą obce, poza naszą własną ojczyzną. Teokracja odgrywała zawsze w historii świata rolę pasorzyta, żyjącego kosztem narodów i rozwijającego w nich jakby zapomocą swoistego zarazka fanatyzm, nietolerancję i przesady. Jeżeli chcemy ją usunąć, to nie dlatego, żeby jej prześladowania zastąpić swemi własnymi: przeciwnie, dlatego żeby każdemu indywiduum pozostawić zupełną wolność zdania, wierzeń i praktyk osobistych.

Panowie!

Panowanie Rozumu obejmuje wszystkie dziedziny działalności ludzkiej: działalność umysłową, działalność artystyczną, działalność

moralną; obejmuje ideał społeczny w całości. Taka jest całkowita dziedzina, należąca do Rozumu. Lecz dziedzina ta nie została nam otwarta przez objawienie teologiczne, rozwinięte zapomocą dawnych metod scholastycznych: nie uznajemy powagi twierdzeń apriorycznych. Dziś w porządku moralnym, tak samo jak w porządku fizycznym, biologicznym i społecznym nowoczesna nauka i rozum spoczywają na tej samej podstawie: na znajomości faktów i ich stosunków ogólnych, stwierdzonych przez obserwację i doświadczenia zjawisk przyrodzonych. Zarozumiałość kapłańska, nieomylny i niezmienny organ myśli Boskiej, ustąpiła skromności uczonego, który stara się stać pożyteczny ludziom przez żmudne badanie faktów i ich objaśnianie, zmieniane bez ustanku wskutek postępowego rozwoju.

Czy trzeba przypominać do jakiego stopnia ta metoda przekształciła w ciągu niewielu wieków społeczeństwa ludzkie tak w porządku moralnym, jak materialnym? Nie mówiąc już o astronomji, która zrewolucjonizowała wszystkie nasze pojęcia o ustroju wszechświata i rozwiała dawniejsze marzenia o niebie i piekle, dostarczając jednocześnie prawideł kierowniczych sztuce żeglarskiej, dość wspomnieć, jak mechanika, fizyka i chemja zapewniły człowiekowi władzę ciągle wzrastającą nad przyrodą. Ograniczoną pracę ramienia ludz-

kiego zastąpiły nieokreślonym wysiłkiem sił przyrodzonych, obsługiwanych i kierowanych przez inteligencję; dzięki temu mnożą one ustawicznie powszechne bogactwo i dobrobyt. Jednocześnie nauki biologiczne przedłużyły życie ludzkie i co dzień więcej zmniejszają niebezpieczeństwa i cierpienia najuboższych, tak samo jak najbardziej uposażonych.

Zapomocą równoległego wysiłku nauki społeczne, opierając się także na coraz głębszej znajomości praw, które rządzą pochodem społeczeństw ludzkich, usiłują zapewnić każdemu obywatelowi sprawiedliwość równą dla wszystkich, to znaczy warunki najwięcej sprzyjające urzeczywistnieniu szczęścia jego i jego rodziny.

Oto jak rozumiemy panowanie Nauki i Rozumu. W rzeczy samej zlewa się ono z postępowym urzeczywistnianiem ideału, opartego na najwznioślejszych dążeniach rasy ludzkiej, która na przyszłość pragnie czerpać środki w samej sobie. Tak więc naszym celem jest zgoda i harmonja wszystkich obywateli jednego narodu i wszystkich narodów; harmonja oparta jednocześnie na naturalnym uczuciu sympatii dla podobnych do siebie, to znaczy na uczuciu, wyciśniętym w każdym sumieniu indywidualnym i na stwierdzeniu naukowym prawa solidarności powszechnej.

SPIS RZECZY.



	Str.
DLACZEGO DOGMATY NIE ODRADZAJĄ SIĘ przez Gabrjela Séailles, prof. Sorbony . . .	1
DOGMAT A NAUKA. Referat, przedstawiony Kongresowi Wolnomyślnemu w Rzymie w r. 1904 przez Gabrjela Séailles, prof. Sorbony . . .	135
DOKTRYNA CHRZEŚCIJAŃSKA W ŚWIETLE NAUKI przez Maurycego Vernès, dyrektora Szkoły Praktycznej Wyższych Studjów przy Sorbonie	156
CZYM POWINNA BYĆ WOLNOMYŚLNOŚĆ. List Gabrjela Séailles, prof. Sorbony do Kongresu Wolnomyślnego w Gienewie w r. 1902 . . .	182
LIST MARCELEGO BERTHELOT do Kongresu Wolnomyślnego w Rzymie w r. 1904 . . .	197
ZASADY WOLNOMYŚLNOŚCI, deklaracja, przedstawiona Kongresowi Wolnomyślnemu w Rzymie w r. 1904 przez Ferdynanda Buisson, honorowego dyrektora wykształcenia początkowego, prof. Sorbony	201
ZASADY ETYKI NIEZALEŻNEJ, uchwała, przedstawiona Kongresowi Wolnomyślnemu w Paryżu w r. 1905 przez Ferdynanda Buisson, honorowego dyrektora wykształcenia początkowego, prof. Sorbony	206
WIERZYĆ CZY WIEDZIEĆ przez Jerzego Clemenceau	213
ŚWIĘTO ROZUMU. Mowa, wygłoszona przez Marcelę Berthelot w pałacu Trocadero dnia 8 listopada 1903	235